



1935

KALENDARZ
KROLOWEJ KORONY POLSKIEJ



Cena 1.20 zł.

NAJNOWSZE NASZE WYDAWNICTWA:

<i>Ks. S. A. Iciek:</i>	SAMOCHEM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE, dwa tomy str. 768, bogato ilustrowane . . .	10.—
<i>Ks. Maurycy Bessodes:</i>	ŚW. MARJA MAGDALENA (Ta, która wielce umi- łowała Jezusa)	3.—
<i>Ks. Dr. St. Momidłowski:</i>	KAZANIA PRZYGDNE	5.—
<i>Ks. Dr. Władysław Staich:</i>	MATER DIVINI MYSTERII	3.50
<i>Ks. Piotr Niezgoda:</i>	DROGA ŻYCIA (kazania rekolekcyjne)	3.—
<i>Ks. Dr. Adolf Tymczak:</i>	DZIEWICA Z LUKKI, bł. Gemma Galgani	1.—
<i>Dr. Mieczysław Skrudlik:</i>	GWIAZDA POLSKIEGO MORZA	2.—
<i>Prof. Ludwik Skoczylas:</i>	POLSKA W KULTURZE WSPÓŁCZESNEJ	0.80
<i>A. Waśkowski:</i>	Z MOICH WSPOMNIEŃ O WYSPIAŃSKIM	1.—
<i>Marja Bruchnalska:</i>	CICHE BOHATERKI (Polki w powstaniu styczni- wym)	15.—
<i>Dr. M. Jarosławski:</i>	ICEK I JACEK NA MORZU (powieść)	3 50
<i>Ks. Dr. Chotkowski Władysław:</i>	HISTORJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO, pod- ręcznik dla szkół średnich. Br.	3.—
	oprawne	4.—
<i>Ks. Gadowski Walenty:</i>	DROGA KRZYŻOWA DLA KAPŁANÓW	0.10
<i>Lechicki Czesław:</i>	W WALCE Z DEMORALIZACJĄ tom I. i II. br.	6.—
	oprawne w płótno	8.—

Ponadto posiadamy stale na składzie

WSZELKIE DRUKI PARAFJALNE

na mocnym kancelaryjnym papierze, według obowiązujących
— — — przepisów, po cenach przystępnych. — — —

050
405
11

KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1935



Biblioteka Jagiellońska



1002053911

ROCZNIK JEDENASTY



WYDAWNICTWO I DRUK ZAKŁADU WYCHOWAWCZEGO
TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.



69874

11 11: 1935



A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO....

NA NOWY ROK.

Słyszycie! północ już bije,
Rok stary w mgły się rozwiewa,
 Jak sen przepada...
Krzyczmy: Rok nowy niech żyje!
I rwijmy z przyszłości drzewa
Owoc, co wiecznie dojrzewa,
 A nie opada.

Rok stary, jak ziarno piasku,
Stoczył się w czasie przestrzenie;
 Czyż go żałować?
Niech ginie! bez łzy, okłasku,
Jak ten gladiator w arenie,
Co upadł niepostrzeżenie,
 Czas go pochować.

Bywały lata, ach! krwawsze,
Z rozpaczy jękiem lecące
 W przeszłości mrok,
A echo powraca zawsze,
Przynosząc skargi palące...
Precz z smutkiem! Życzeń tysiące
 Na Nowy Rok!

Z pod gruzów rozbitych złudzeń
Wynieśmy arkę rodzinną
 Na stały ląd!
Duchowych żądni przebudzeń,
Potęgą stańmy się czynną,
Bacząc by w stronę nas inną
 Nie uniósł prąd.

Rozumu! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
 I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
 Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
 Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
 Pracą bez wieńca.

Uderzmy w kielichy z winem
I bratnie podajmy dłonie,
 Wszakże już czas!
Choć różni twarzą lub czynem,
Niech nas duch jeden owionie,
Niech zadrży miłością w łonie
 I złączy nas!

Bo miłość ta, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu,
 Jest światłem dusz!
Choć Bogu wznosi świątynie,
Potrafi zstąpić bez wstępu
I wyrwać słabych z odmetu
 W pośrodku burz.

Niech żyją pierwsi w narodzie!
Jeżeli zawsze są pierwsi
 I w poświęceniu.
Gdy z czasu potrzebą w zgodzie,
W szlachetnym czynie najszczerzi,
Swą dumę umieszczają w piersi,
 A nie w imieniu!

I ci, co żadnej spuścizny
Na grobie matki nie wzięli
 Prócz łez, niech żyją!
Jeżeli miłość ojczyzny
Jako synowie pojęli,
I na wyłomie stanęli,
 Gdzie gromy biją.

Spełnijmy pułchary do dna
I życzymy sobie nawzajem
 Szczęśliwych lat!
Niech myśl powstanie swobodna
I światło błysnie nad krajem!
Bogu w opiekę oddaję
 Przyszłości kwiat.

Tych naszych braci, co cierpią,
Miłością naszą podnieśmy
 Męczeński ród.
Niech od nas pociechę czerpią,
Nadzieję w ich sercach wskrześmy,
Wołając: jeszcze jesteśmy,
 Niech żyje lud!





ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	W	Nowy Rok. Obrz. P., Mieczysł.	19	Grudzień 1934. Bonifacego
2	S	Imienia Jezus, Makarego op.	20	Ignacego
3	C	Genowefy pn., Daniela	21	Juljanny m.
4	P	Izabeli, Akwilina m.	22	Anastazji
5	S	Wig. Telesfora p.m., Szym.	23	10 męczenników Kretejskich

1. Ewangelja u św. Mat. Roz. 2. 1—12: Pokłon Mędrców.

6	N	Trzech Króli.	24	Wig. 30 po Z. D. Św. Eugenji
7	P	Łucjana m., Kryspina b. w.	25	Narodz. Jezusa Chrystusa
8	W	Seweryna op., Teofila m.	26	Sobór Przewidy Bogarodz.
9	S	Marcjanny pn., Juljana m.	27	Szczepana m.
10	C	Agatona p., Wilhelma b. w.	28	Męczenników z Nikom.
11	P	Honoraty, Matyldy	29	Młodzianków
12	S	Arkadjusza m., Probusa b.	30	Anyzji

2. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 2. 42—52: Jezus 12-letni w kościele.

13	N	1. po 3 Kr. Św. Rodz.	31	1. po B. Nar. Melanji Rzym.
14	P	Hilarego DK., Feliksa k.	1	Styczeń. Nowy Rok 1935
15	W	Pawła I. pust., Maura op.	2	Sylwestra pap.
16	S	Marcelego pap. m.	3	Malachjasza pror.
17	C	Antoniego op., Sulpicjusza b.	4	Sobór 70 Apostołów
18	P	Katedry św. Piotra w Rzym.	5	Teopempta
19	S	Marcjusza i Tow. mm.	6	Objawienie Pańskie. (Jordan)

3. Ewangelja u św. Jana. Roz. 2. 1—11: Gody w Kanie Galilejskiej.

20	N	2. po 3 Kr. Fabjana i Seb.	7	1. po Obj. P. Sobór św. Jana
21	P	Agnieszki pn. m., Patrokl. m.	8	Jerzego
22	W	Wincent. m., Anastazego	9	Polieukta
23	S	Zaślubiny M. B., Rajmunda	10	Grzegorza
24	C	Tymoteusza b. m., Fel. b. w.	11	Teodozji
25	P	Nawrócenie św. Pawła	12	Tacjana
26	S	Polikarpa b. m., Pauli wd.	13	Ermila m.

4. Ewangelja u św. Mateusza. Roz. 8. 1—13: Setnik w Kafarnaum.

27	N	3. po 3 Kr. Jana Złot.	14	2. po Obj. P. ŚS. OO. z Syn.
28	P	Leonidasa i Tow. mm.	15	Pawła
29	W	Franciszka Salezego b. w.	16	Św. Piotra w Okowach
30	S	Martyny pn. m., Hipolita k. m.	17	Antoniego W.
31	C	Piotra z Nolas, Marceli wd.	18	Atanazego



ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łańcińskiego	dnia		według obrządku greckiego
1	P	Ignacego b. m., Brygidy	19		Makarego
2	S	Matki B. Gromniczej	20		Eutemjusza

5. Ewangelja u św. Mat. Roz. 8. 23—27: Uciszenie burzy.

3	N	4. po 3 Kr. Błażeja b. m. ☀	21		3. po Obj. P. Maksyma
4	P	Andrzeja Kors.	22		Tymoteusza
5	W	Agaty pn. m., Adelajdy pn.	23		Klemensa
6	S	Tytusa b., Doroty pn.	24		Ksenji
7	C	Romualda op., Ryszarda kr.	25		Grzegorza
8	P	Jana z Mathy	26		Ksenofonta
9	S	Apolonji m., Nicefora m.	27		Jana Złotoustego

6. Ewangelja u św. Mat. Roz. 13. 24—30: Kąkol w pszenicy.

10	N	5. po 3 Kr. Scholastyki pn. ☾	28		4. po Obj. P. Efrema
11	P	Zjaw. się NMP. w Lourdes	29		Ignacego b.
12	W	Eulalji, 7 Złożycieli Serwit.	30		Trzech Świętych
13	S	Grzegorza II pap., Kastora k.	31		Cyrusa i Jana mm.
14	C	Walentego k. m., Witalisa m.	1		Luty. Tryfona
15	P	Faustyna i Jowity	2		Ofiarowanie P. J.
16	S	Juljanny pn. m., Onezyna b.m.	3		Symeona i Anny

7. Ewangelja u św. Mat. Roz. 20. 1—16: O robotnikach w winnicy.

17	N	Starozap. Juljana Kapad.	4		5. po Obj. P. Izydora
18	P	Symeona b. m., Maksyma ☀	5		Agaty m.
19	W	Konrada p., Gabina k. m.	6		Wukoła b.
20	S	Eleuterjusza b. m., Leona b.	7		Partenja
21	C	Feliksa b. w., Eleonory kr.	8		Teodora st.
22	P	Małgorzaty z Kartony	9		Nicefora
23	S	Piotra Damjana b. w.	10		Charlampja m.

8. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 8. 4—15: O siejbie na roli.

24	N	Mięsop. Macieja Apostoła	11		6. po Obj. P. Błażeja kap. m.
25	P	Wiktoryna m., Torazjusza	12		Malecjusza
26	W	Wiktora, Nestora b. m. ☾	13		Martynjana
27	S	Aleksandra, Prokopa w.	14		Auksencjusza
28	C	Teofila m., Romana op.	15		Onesyma



ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	P	Albina, Suitberta	16	Pamfila
2	S	Pawła m., Jowina i Bazyleusza	17	Teodora
9. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 18. 31—43: O ślepy m przy drodze.				
3	N	Zapustna. Kunegundy ces.	18	Mięsopust. Leona W. pap.
4	P	Kazimierza kr., Lucjusza	19	Archipa
5	W	Jana od Krzyża, Gerazyma ☉	20	Leona b.
6	S	Popielec. Perpetuy i Fel.	21	Tymoteusza
7	C	Tomasza z Akw., Eubula m.	22	Eugenji
8	P	Bł. Winc. Kadłubka, Jana B.	23	Polikarpa
9	S	Franciszki Rz., Grzegorza z N.	24	Znal. głowy św. Jana Chrz.
10. Ewangelja u św. Mat. Roz. 4. 1—11: Kuszenie P Jezusa na puszczy.				
10	N	Wstępna. 40 Męczen. z Seb.	25	Zapustna. Tarasa
11	P	Gorgonjusza i Firmusa	26	Porfirjusza
12	W	Grzegorza W. pap. ☾	27	Prokopa
13	S	Such. Nicefora b.	28	Bazylego wyzn.
14	C	Matyldy kr., Eutychnusza	1	Marzec. Eudokji
15	P	Such. Klemensa Dw. rzaka	2	Teodata
16	S	Such. Cyrjaka m., Tacja na m.	3	Eutropjusza
11. Ewangelja u św. Mat. Roz. 17. 1—9: O Przemienieniu Pańskim.				
17	N	Sucha. Patrycjusza b.	4	1. Postu. Harasyma i Pawła
18	P	Cyryla Jer., Edwarda	5	Konona m.
19	W	Józefa Obl. Najśw. Marji P.	6	42 męc. z Amorei
20	S	Eufemji pn. m., Teodozji ☉	7	Bazylego m.
21	C	Benedykta op, Filom.	8	Teofilakta
22	P	Katarzyny szw.	9	40 męc. z. Sebastji
23	S	Feliksa m., Wiktorjana i Frum.	10	Kondrata
12. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 11. 14—28: Pan Jezus wypędza czarta.				
24	N	Głucha. Gabrjela arch.	11	2. Postu. Sofronjusza
25	P	Zwiastowanie Najśw. Marji P.	12	Teofa na
26	W	Emanuela, Teodora, Tekli	13	Nicefora
27	S	Jana Damasc., Ruberta b.	14	Benedykta
28	C	Jana Kapistrana ☾	15	Agapa m.
29	P	Éustazjusza	16	Sawyna i Juljana
30	S	Jana Klimaka op.	17	Aleksego
13. Ewangelja u św. Jana Roz. 6. 1—15: P. Jezus karmi cudownie 5000 ludzi.				
31	N	Środop. Balbiny pn.	18	3. Postu. Cyryla, Aleksandry



ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	P	Hugona b., Teodory m.	19	Chryzanta i Darji
2	W	Franciszka z Pauli	20	Męcz. w klaszt. św. Saby
3	S	Ryszarda b., Darjusza	21	Jakóba
4	C	Izydora b., Ambrożego	22	Bazylego m.
5	P	Wincentego Fer., Ireny, Emilji	23	Nikona i 200 uczniów
6	S	Sykstusa, Celestyna	24	Zacharjasza

14. Ewangelja u św. Jana. Roz. 8. 46—59: Żydzi chcą P. Jezusa ukamienować.

7	N	Czarna. Epifanusza p. m.	25	4. Postu. Zwiastowanie NMP.
8	P	Dionizego b., Alberta b.	26	Sob. Arch. Gabrjela
9	W	Marji Kleofasowej	27	Matrony
10	S	Ezechjela pr., Terecjusza	28	Hilarjona
11	C	Leona W., Anrypa b. m.	29	Marka
12	P	7 boleści M. B., Juljusza pap.	30	Jana List.
13	S	Hermenegilda m.	31	Hipacego

15. Ewangelja u św. Mat. Roz. 21. 1—9: Triumfalny wjazd P. J. do Jerozolimy.

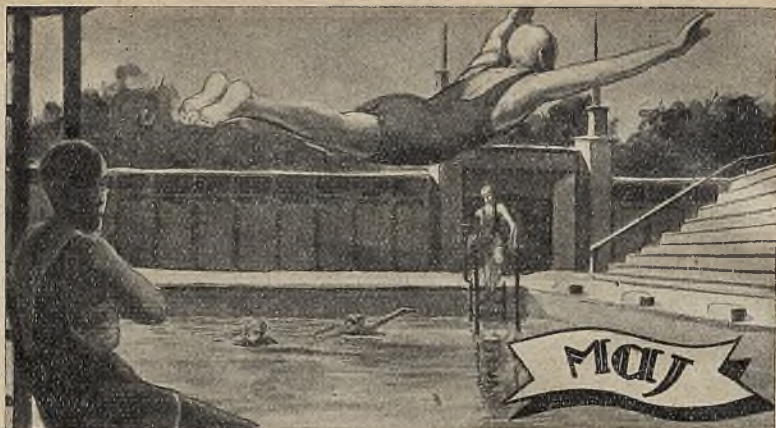
14	N	Palmowa. Justyna m.	1	Kwiecień, 5. Postu. Marji Eg.
15	P	Anastazji m.	2	Tytusa
16	W	Benedykta J. Labre	3	Nikity
17	S	Aniceta p. m.	4	Józefa
18	C	Wielki Czwartek. Apolonj.	5	Teodula
19	P	Wielki Piątek. Jerz. b.	6	Eutyehjusza
20	S	Wielka Sobota. Teodora W.	7	Gorgjasza b.

16. Ewangelja u św. Mar. Roz. 16. 1—7: O zmartwychwstaniu P. Jezusa.


21	N	Wielkanoc Anzelma	8	Palmowa. Herodjana
22	P	Poniedziałek Wielk. Sotera	9	Eupsychjusza
23	W	Wojciecha b. m.	10	Terencjusza
24	S	Fidelisa ze Sigmaring.	11	Antypy
25	C	Marka Ewang., Ewodjusza	12	Wielki Czwartek. Bazylego
26	P	M. B. D. Rady, Kleta	13	Wielki Piątek. Artemona
27	S	Piotra Kanizego w.	14	Wielka Sobota. Martynjana

17. Ewangelja u św. Jana. Roz. 20. 19—31: O niewiernym Tomaszu.


28	N	Przewodnia. Pawła od Krz.	15	Zmartwychwstanie Pańskie
29	P	Piotra z Werony m.	16	Poniedz święteczny. Agaty
30	W	Katarzyny z Sienny	17	Wtorek święteczny. Symeona




ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia		według obrządku greckiego
1	Ś	<i>Filipa i Jakóba Apost.</i>	18		Jana Dekab.
2	C	Atanazego DK., Zygmunta 	19		Jana W., Pafnucego
3	P	Król. Kor. Pol. Zn. Krz. św.	20		Teodora
4	S	Moniki wd., Florjana m.	21		Januarego


18. Ewangelja u św. Jana. Roz. 10. 11 - 16: O dobrym pasterzu.

5	N	2. po W. Piusa V pap.	22		Przewodnia. Teodora Syk.
6	P	<i>Jana w Oleju</i> , Ewodjusza b.	23		Gorgjasza
7	W	Flawji, Domiceli pn. m.	24		Saby
8	Ś	<i>Opieki św. Józefa</i> , Stanisława	25		Marka Ap.
9	C	Grzegorza z Naz. b. DK. 	26		Bazylego M.
10	P	Antonina, Izydora roln.	27		Symeona
11	S	Franciszka, Mamerta b.	28		Jazona

19. Ewangelja u św. Jana. Roz. 16. 16 - 22: Maluczko, a nie ujrzycie mnie.

12	N	3. po W. Pankracego m.	29		2. po Zmartw. 9 męcz. w K.
13	P	Serwacego b., Piotra Regol.	30		Jakóba Ap.
14	W	Bonifacego	1		Maj. Jeremjasza pror.
15	Ś	Jana de la Salle, Zofji m.	2		Atanazego Wiel.
16	C	Andrzeja Boboli	3		Teodozjusza
17	P	Paschalisa, Brunona	4		Pelagii
18	S	Wenancjusza m., Feliksa 	5		Ireny

20. Ewangelja u św. Jana. Roz. 16. 5-14: O odejściu do Ojca.





19	N	4. po W. Piotra Celest. pap.	6		3 po Zmartw. Joba
20	P	Bernardyna ze Sienny	7		Pamięć św. Krzyża
21	W	Tymoteusza m., Sinezj. m.	8		Jana teol.
22	Ś	Heleny pn., Julji p. m.	9		Mikołaja
23	C	Jana Babtysty de Rossi w.	10		Szymona Ap.
24	P	NMP. Wspomożenia Wier. 	11		Mokia, Metodego
25	S	Grzegorza VII. pap.	12		Epifanjusza

21. Ewangelja u św. Jana. Roz. 16. 23-30: O prawdziwej modlitwie.

26	N	5. po W. Eleuterjusza, Filipa	13		4. po Zmartw. Glikierji
27	P	<i>Dni krz.</i> Bedy w., Marji M.	14		Izydora m.
28	W	<i>Dni krz.</i> Augustyna b. w.	15		Pachomjusza
29	Ś	<i>Dni krz.</i> Marji Magd. de P.	16		Teodora i Modesta
30	C	Wniebowst. Pańskie	17		Andronika
31	P	Anieli Merici, Petroneli	18		Teodata m.



ŚWIĘTA KATOLICKIE


Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	S	<i>Król. Apost.</i> , Bł. Jakóba S. 	19	Patrycjusza
22. Ewangelja u św. Jana. Roz. 15. 26-27; 16. 1-4: Obietnica zesłania Ducha Św.				
2	N	6 po W. Marcelina Erazma	20	5. po Zmartw. Talalejusza
3	P	Cecyljusza k., Pauli p. m.	21	Konstantyna
4	W	Franciszka Caracciolo	22	Bazyljusza m.
5	S	Bonifacego b. m., Doroteusza	23	Michała
6	C	Norberta b. w., Kand. i Pauliny	24	Wniebowst. Pańskie
7	P	Roberta opata	25	Trzecie znal. głowy św. Jana
8	S	Wig. Medarda b., Wilhelma	26	Karpa
23. Ewangelja u św. Jana. Roz. 14. 23-31: O zesłaniu Ducha Św.				
9	N	Zesł. Ducha Św. Pryma 	27	6. po Zmartw. Teraponta
10	P	Poniedz. świąt. Bł. Bogum.	28	Nikity pr.
11	W	<i>Barnaby Ap.</i> , Paryzjusza w.	29	Teodozji m.
12	S	<i>Such.</i> Onufrego wyzn.	30	Izaaka dalm.
13	C	Antoniego z Padwy, Lucjana	31	Hermeusza
14	P	<i>Such.</i> Bazylego b. wyzn.	1	Czerwiec. Justyna
15	S	<i>Such.</i> Jolenty, Wita	2	Nicefora
24. Ewangelja u św. Mat. Roz. 28. 18-20: Dana mi jest wszelka władza.				
16	N	1. po Z. Św. Trójcy Św. 	3	Zesłanie Ducha Św.
17	P	Reinera w., Nikandra m.	4	Trójcy Przenajświętszej
18	W	Efrema diak., Marka	5	Doroteusza
19	S	Juljanny de Falkon. p. i zak.	6	Hilarjona
20	C	Boże Ciało. Silberjusza	7	Teodata
21	P	Alojzego Gonzagi	8	Teodora
22	S	Paulina b., Albanusa m.	9	Cyryła arcybisk i m.
25. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 14. 16-24: O wezwaniu na ucztę.				
23	N	2. po Z. Św. Zenona 	10	1. po Z. D. Św., Wszyst. Św.
24	P	<i>Narodz. św. Jana Chrzc.</i>	11	Bartłomieja Ap.
25	W	Wilhel. op., Febronji p. m.	12	Onufrego
26	S	Jana i Pawła mm., Wirgilj. b.	13	Akwiliny
27	C	Władysława kr., Krescenta	14	Elizeusza pr.
28	P	<i>Najśw. Serca Jez.</i> , Leona II. p.	15	Amosa
29	S	Piotra i Pawła Apost.	16	Tychona
26. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 15. 1-10: O zgubionej owcy i groszu.				
30	N	3. po Z. Św. Wsp. św. Pawła 	17	3. po Zesł. D. Św. Manuela




ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	P	Przen. Krwi P. Jezusa	18	Leontja
2	W	Nawiedz. NMP., Ottona b.	19	Judy Ap.
3	S	Anatola b., Ireneusza	20	Metodego
4	C	Teodora b., Flawjana b.	21	Juljana
5	P	Antoniego, Marji Zach.	22	Euzebjusza
6	S	Łucji m., Trankwilina k. m.	23	Agrypiny


27. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 5. 1—11: O obfitym połowie ryb.

7	N	4. po Z. Św. Cyryla i Met.	24	4. po Z. D. Św. Nar. Jana Chrz.
8	P	Elżbiety król. port. 	25	Fewronji
9	W	Weron. de Julianis zak.	26	Dawida
10	S	7 Braci mm., Rufiny	27	Samsona
11	C	Piusa I pap. m., Januar.	28	Cyrusa i Jana
12	P	Jana Gwalberta op., Paulina	29	Piotra i Pawła
13	S	Anakleta pap. m., Serapjona	30	Sobór św. 12 Apostołów


28. Ewangelja u św. Mat. Roz. 5. 20—24: O sprawiedliwości Faryzeuszów.

14	N	5. po Z. Św., Bonawent. DK.	1	Lipiec. 5. po Z. D. Sw.
15	P	Pam. rozeseł. Apostołów	2	P. K. Przecz. Bogarodzicy
16	W	M. B. Szkaplerznej 	3	Jacento
17	S	Aleksego, Generoza m.	4	Andrzeja Kret.
18	C	Bł. Szymona L., Kamila z L.	5	Cyryla i Metodego
19	P	Wincentego à Paulo	6	Atanazego
20	S	Bł. Czesława, Hieronima	7	Tomasza i Akakia

29. Ewangelja u św. Mar. Roz. 8. 1—3: O cudownem nakarmieniu 4000 ludzi.

21	N	6. po Z. Św. Praksedy pn.	8	6. po Z. D. Św. Prokopa
22	P	Marji Magdaleny 	9	Pankracego
23	W	Apolinarego, Liborjusza	10	Antoniego Piecz.
24	S	Kunegundy k., Krystyny p. m.	11	Fufemji i Olgi
25	C	Jakóba Ap., Krzysztofora m.	12	Prokla i Hilarego
26	P	Anny, Pastora k., Symfron.	13	Sobór Arch. Gabriela
27	S	Rudolfa Akw. i Tow. mm.	14	Akiły

30. Ewangelja u św. Mat. Roz. 7. 15—21: O fałszywych prorokach.


28	N	7. po Z. Św., Wiktora pap. m.	15	7. po Z. D. Św. Włodzimierza
29	P	Marty pn., Olafa kr. m.	16	Antynohena
30	W	Rufina m., Abdena m. 	17	Martyny
31	S	Ignacego Loyoli	18	Emiljana




ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	C	Piotra w Okowach	19	Makryny
2	P	N. M. P. Anielskiej, Alfonsa	20	Eljasza pr. Jana
3	S	Znalezienie rel. św. Szczepana	21	


31. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 16. 1—9: O niesprawdziwym włodarzu.

4	N	8. po Z. Św. Dominika	22	8. po Z. D. Św. Marji Mag.
5	P	M. B. Śnieżnej, Oswalda	23	Trofyma
6	W	Przemienienie Pańskie	24	Borysa, Hliba
7	S	Kajetana, Donata 	25	Zaśń. św. Anny
8	C	Emiljana, Cyrjaka m.	26	Hermolajusa
9	P	Romana m., Firmusa	27	Pantaleona
10	S	Wawrzyńca m., Asterji pn. m.	28	Prochora


32. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 19. 41—47: O zburzeniu Jerozolimy.

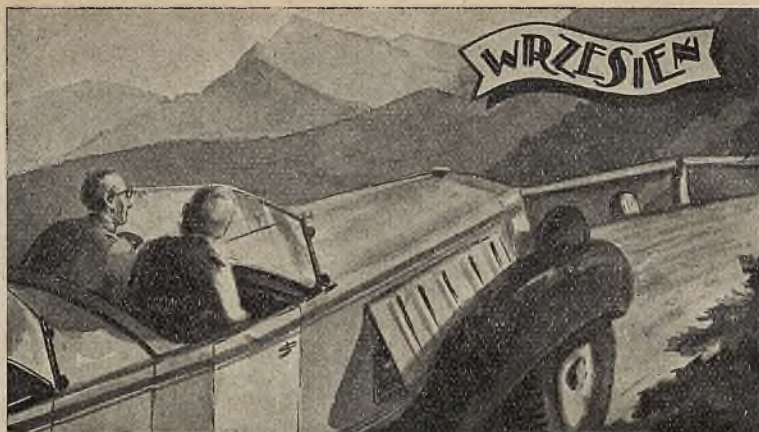
11	N	9. po Z. Św. Tiburejusza m	29	9. po Z. D. Św. Kalinika
12	P	Klary pn., Hilarji m.	30	Sylasa
13	W	Hipolita i Kasjana	31	Eudokima
14	S	Wig. Euzebjusza 	1	Sierpień. Pod. św. Krzyża
15	C	Wniebowzięcie NMP.	2	Przenies. ciała św. Stefana
16	P	Joachima, Diometa	3	Izaaka
17	S	Jacka w., Liberta i Tow. mm.	4	7 Młodzieńców z Efezu

33. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 18. 9—14: O faryzeuszu i celniku.

18	N	10. po Z. Św. Agapita m.	5	10. po Z. D. Św. Eusygnia
19	P	Ludwika Toloż., Tekli i Agap.	6	Przemienienie Pańskie
20	W	Bernarda, Lucjusza m.	7	Demetja
21	S	Joanny Franc. de Chantal 	8	Emiljana
22	C	Tymoteusza m., Hip. b. w.	9	Macieja Ap.
23	P	Filipa, Benicjusza	10	Wawrzyńca
24	S	Bartłomieja Ap., Ptolomeusza	11	Euplusa

34. Ewangelja u św. Mar. Roz. 7. 31—37: O głuchoniemym.

25	N	11. po Z. Św. Ludwika kr.	12	11. po Z. D. Św. Fotja
26	P	M. B. Częstochowskiej	13	Maksyma w.
27	W	Józefa Kalasantego w.	14	Michaeasza pr.
28	S	Augustyna DK.	15	Zaśnięcie N. M. P.
29	C	Ścięcie św. Jana Chrzczic. 	16	Przeniesienie obrazu P.
30	P	Róży Limań., Gaudencji	17	Mirona m.
31	S	Rajmunda, Optata b. w.	18	Flora




ŚWIĘTA KATOLICKIE



Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia		według obrządku greckiego
35. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 10. 23—37: O miłosiernym Samarytaninie.					
1	N	12. po Z. Św. Idziego op.	19		12. po Z. D. Św. Andrzeja
2	P	Stefana kr., Maksymy m.	20		Samuela pr.
3	W	Zenona m., Srafj. p. m.	21		Tadeusza Ap.
4	Ś	Rozalji p., Marcelego	22		Agatonika
5	C	Wawrzyńca J., Wiktor. b. m.	23		Łupa m.
6	P	Zacharjasza pror.	24		Eutycha
7	S	Bł. Melchjora Grodz.	25		Bartłomieja
36. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 17. 11—19: O dziesięciu trędowatych.					
8	N	13. po Z. Św. Narodz NMP.	26		13. po Z. D. Św. Hadrjana
9	P	Piotra Klawera, Dorot.	27		Pimena
10	W	Mikołaja z Tolentynu	28		Augusta i Mojżesza
11	Ś	Prota i Jacka mm.	29		Ścięcie Św. Jana
12	C	Najśw. Imienia M. B.	30		Aleksandra
13	P	Filipa m., Amata	31		Położ. poj. Prz. Dziewicy
14	S	Podwyższenie Krzyża św.	1		Wrzesień. Symeona
37. Ewangelja u św. Mat. Roz. 6. 24—33: O służeniu Bogu i mamoni.					
15	N	14. po Z. Św. M. B. Bolesnej	2		14. po Z. D. Św. Mamanta
16	P	Korneljusza i Cyprjana	3		Antyma, Teoktusta
17	W	Stygm. św. Franc. Seraf.	4		Wawyły
18	Ś	Such. Józefa z Kupertynu	5		Zacharjasza
19	C	Januarego m, Pompozy	6		Cud. św. Michała m.
20	P	Such. Eustachego, Teop.	7		Sozonta m.
21	S	Such. Mateusza Ap. i Ew.	8		Nar. Przen. Dziewicy
38. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 7. 11—16: O wskrzeszeniu młodzieńca.					
22	N	15. po Z. Św. Tom. z Wilan.	9		15. po Z. D. Św. Joachima i A.
23	P	Tekli pn. m., Linusa pap. m.	10		Menodory
24	W	NMP. Okupu, Gerarda	11		Teodory
25	Ś	Władysława z Gielniowa	12		Antonoma
26	C	Cyprjana i Justyny mm.	13		Korneljusza
27	P	Kosmy i Damjana	14		Podwyższenie św. Krzyża
28	S	Wacława kr., Sylwina b.	15		Nikity
39. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 14. 1—11: Uzdrawienie opuchłego.					
29	N	16. po Z. Św. Michała Arch.	16		16. po Z. D. Św., Eufemji
30	P	Hieronima DK.	17		Zofji




ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia	według obrządku greckiego
1	W	<i>Bł. Jana z Dukli, Remigjusza</i>	18	Eumenjusza
2	Ś	Aniołów Stróżów	19	Trofima
3	C	Teresy od Dz. Jezus	20	Eustachjusza
4	P	Franciszka z Asyżu	21	Kondrata
5	S	Placyda i Tow. mm. 	22	Fokasa

40. Ewangelja u św. Mat. Roz. 22. 35—46: O największem przykaz.

6	N	17. po Z. Św. MB. Różańcowej	23	17. po Z. D. Św. P. św. Jana Ch.
7	P	Marka pap., Helana k.	24	Tekli m.
8	W	Brygidy wd., Symeona	25	Eufrozyny
9	S	Ludwika Bertr., Dionizego m.	26	Jana Ewang.
10	C	Franciszka Borgjasza	27	Kalistrata m.
11	P	<i>N. M. P. Matki Zbawiciela</i> 	28	Harytona
12	S	Maksymiljana b. 	29	Cyrjaka


41. Ewangelja u św. Mat. Roz. 9. 1—8: O uzdr. powietrzem ruszonego.

13	N	18. po Z. Św. Edwarda kr.	30	18. po Z. D. Św. Grzegorza
14	P	Kaliksta pap. m., Fortun. pn. m.	1	Październik. Pokr. NMP.
15	W	Teresy pn., Jadwigi	2	Cyprjana
16	S	Gerarda Majelli	3	Dionizego
17	C	Małgorzaty Alacoque.	4	Eroteusza
18	P	<i>Łukasza Ew.</i>	5	Charytyny m.
19	S	Piotra z Alkantary 	6	Tomasza Ap.

42. Ewangelja u św. Mat. Roz. 22. 1—14: O szacie godowej.

20	N	19. po Z. Św. Jana Kantego	7	19. po Z. D. Św. Sergjusza
21	P	Urszuli pn., Hilarjona op.	8	Pelagii
22	W	Korduli pn, Melanjusza b.	9	Jakóba Ap.
23	S	Serwanda i Germana	10	Elampjusza
24	C	Rafała arch., Proklusa b.	11	Filipa Ap.
25	P	Kryspina m., Chryzanta i Darji	12	Prowa
26	S	Ewarysta pap., Rogacja	13	Karpa

43. Ewangelja u św. Jana. Roz. 4. 46—53: O uzdr. syna królewskiego.

27	N	20. po Z. Św. Chr. Króla 	14	20. po Z. D. Św. Nazar. m.
28	P	<i>Szymona i Tadeusza Ap.</i>	15	Lucjana
29	W	Narcyza bp.	16	Longina
30	S	Alfonsa Rodrigueza wyz.	17	Ozeasza
31	C	<i>Wig. Wolfganga, Nemezjasza</i>	18	Łukasza ew.



ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia		według obrządku greckiego
1	P	Wszystkich Świętych	19		Joela pror.
2	S	Dzień Zaduszny, Wiktoryna	20		Artemjusza

44. Ewangelja u św. Mat. Roz. 18. 23—25: O niegodnym słudze.

3	N	21. po Z. Św. Huberta b.	21		21. po Zesł. D. Św. Hilarjona
4	P	Karola Boromeusza b. wyz. ☾	22		Abercjusza
5	W	Zacharjasza pr., Elżbiety	23		Jakóba Ap.
6	S	Leonarda pust., Winoka op.	24		Arety pn. m.
7	C	Bł. Antoniego Bal	25		Marcjana
8	P	Gotfryda b., Klaudjusza	26		Demetrjusza
9	S	Teodora m., Oresta	27		Nestora m.

45. Ewangelja u św. Mat. Roz. 22. 15—21: O monecie czynszowej.

10	N	22. po Z. Św. Andr. z A. ☾	28		22. po Zesł. D. Św., Chr. Króla
11	P	Marcina b., Bartłomieja op.	29		Anastazji m.
12	W	5 Braci Polaków, Marc. pap. m.	30		Zenobjusza
13	S	Stanisława Kostki, Dydaka	31		Stachjusza
14	C	Jozafata b. m., Serapjona m.	1		Listopad. Kosmy i Dam.
15	P	Gertrudy, Leopolda	2		Akindyna
16	S	M. B. Ostrobramskiej	3		Akepsyma m.

46. Ewangelja u św. Mat. Roz. 9. 18—26: O córce Jaira.

17	N	23 po Z. Św. Salomei król.	4		23. po Zesł. D. Św. Joannika
18	P	P. poś. baz. św. Piotra i P. ☾	5		Helaktjona i Epistymji
19	W	Elżbiety kr., Poncjana p. m.	6		Pawła
20	S	Feliksa, Walezego	7		Łazarza
21	C	Wsp. w parafii N. M. P. Demitra	8		Michała arch.
22	P	Cecylii pn., Filemona	9		Onezyfora
23	S	Klemensa pap. m.	10		Erasta

47. Ewangelja u św. Mat. Roz. 13. 31—35: O ziarnku gorczycznem.

24	N	24. po Z. Św., Jana od Krzyża	11		24. po Zesł. D. Św. Miny, Wikt.
25	P	Katarzyny pn. m., Erazma	12		Jozafata
26	W	Jana Berch.	13		Jana Złotoust.
27	S	Walerjana b., Wirgili. ☾	14		Filipa Ap.
28	C	Zdzisławy, Sostenesa	15		Hurja, Samsona
29	P	Saturnina b. m.	16		Mateusza Ap.
30	S	Andrzeja Ap., Maury p. m.	17		Grzegorza b.



ŚWIĘTA KATOLICKIE

Dnia		według obrządku łacińskiego	dnia		według obrządku greckiego
48. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 21. 25—33: O znakach dnia sądnego.					
1	N	1 Adw. Eligjusza, Natalji	18	25.	po Zesł. D. Św. Platona
2	P	Bibjanny pn., Pauliny	19		Awadja
3	W	Franciszka Ksawerego	20		Prokła, Grzegorza
4	S	Barbary pn. m.	21		Ofiarowanie N. M. P.
5	C	Sabby op., Kryspiny m.	22		Filemona
6	P	Mikołaja b., Dionizy	23		Amfilocha
7	S	Ambrożego DK.	24		Katarzyny
49. Ewangelja u św. Mat. Roz. 11. 2 10: O Janie Chrzc. w więzieniu.					
8	N	2. Adw. Niep. Poczęcie N. M. P.	25	26.	po Z. D. Św. Klemensa m.
9	P	Leokadij p. m., Restituta b. m.	26		Alypjusza
10	W	NMP. Loretańskiej	27		Jakóba m.
11	S	Damazego m., Barbary m.	28		Stefana m.
12	C	Aleksandra m., Synezjusza m.	29		Paramona
13	P	Łucji pn., Autberta b.	30		Andrzeja Ap.
14	S	Spirydjona b., Nikazego	1		Grudzień. Nahuma pror.
50. Ewangelja u św. Jana Roz. 1. 19—28: O świadectwie Jana Chrzc.					
15	N	3. Adw. Maksymina w.	2	27.	po Zesł. D. Św. Abdakuma
16	P	Euzebjusza b. m., Walentyny	3		Sofonjusza pror.
17	W	Łazarza b., Sturmjusza op.	4		Barbary
18	S	Such. Oczekiwanie NMP.	5		Sabby
19	C	Nemezjusza m., Adjutusa op.	6		Mikołaja
20	P	Such. Teofila m., Filogona b.	7		Ambrożego
21	S	Such. Tomasza Ap., Temist.	8		Potapjusza
51. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 3. 1—6: O posłannictwie Jana Chrzciciela.					
22	N	4. Adw. Zenona m., Demetriji	9	28.	po Zesł. D. Św. N. Pocz. NMP.
23	P	Wiktorji pn. m., Serwuli zebr.	10		Miny, Hermogenesa
24	W	Wig. Adama i Ewy, Tarzyli pn.	11		Daniela
25	S	Nar. P. N. J. Chr. Zb. świata	12		Spirydjona
26	C	Szczepana m., Marin. m.	13		Eustrata
27	P	Jana Ap. i ew.	14		Tyrsa
28	S	Młodzianków, Teofili p. m.	15		Eleuterjusza
52. Ewangelja u św. Łuk. Roz. 2. 33—40: O Symeonie i Annie.					
29	N	1. po B. N. Tomasza b. m.	16		N. Praojców. Aggeusza pr.
30	P	Eugenjusza b. w.	17		Daniela pror.
31	W	Sylwestra pap., Barbacjana w.	18		Sebastjana m.

Kalendarz Marjański

wszystkich świąt i uroczystości Matki Boskiej w ciągu całego roku.

STYCZEŃ

1. Objawienie się Matki Boskiej w Saragossie jeszcze za Jej życia.
6. Gody w Kanie Galilejskiej, ostatnie słowa Marji zapisane w Ewangelji.
20. Objawienie się Matki Boskiej Alfonsowi Ratisbone w kościele rzymskim p. nazwą „Della Strata”.
23. Zaślubiny Najśw. Marji Panny.

LUTY

2. Oczyszczenie Najświętszej Marji Panny (M. B. Gromnicznej).
11. Zjawienie się N. Marji P. w Lurd.

MARZEC

18. Objawienie się Najświętszej Marji Panny Miłosiernej.
23. Siedem Boleści Najśw. Marji P.
25. Zwiastowanie Najśw. M. P.
25. Pamiątka 16-go zjawienia się N. Marji Panny w Lurd i wypowiedzenie słów: „Jam jest Niepokalane Poczęcie”.

KWIECIEŃ

26. Matka Boska Dobrej Rady.

MAJ

1. Najśw. Panna Matka Dobrego Pasterza.
3. Królowa Korony Polskiej.
13. Królowej Męczenników.
24. Wspomożenie Wiernych.
27. Królowa Apostołów.
31. Królowa Serca Jezusowego i Pośredniczka Łask.

CZERWIEC

1. Ucieczka grzeszników.
5. Matki Boskiej Dobrej Straży.
9. Matka Łaski Bożej.
13. Niepokalane Serce N. Marji Panny.
27. Matka Boska Nieustającej Pomocy.

LIPIEC

2. Nawiedzenie Najśw. Marji Panny.
16. Matka Boska Szkaplerzna.
25. Matka Boska Miłosierdzia.

SIERPIEŃ

2. Matki Boskiej Anielskiej, czyli odpust Porcjunkuli.
5. Matka Boska Śnieżna.
15. Wniebowzięcie Najśw. Marji P.
26. Matka Boska Częstochowska.
29. Matka Boska Pocieszenia.

WRZESIEŃ

8. Narodzenie Najśw. Marji Panny.
12. Imienia Najśw. Marji Panny.
15. Matka Boska Bolesna.
19. Matka Boska de la Salette.
24. Matka Boska od wykupu Niewolników.

PAŹDZIERNIK

6. Królowa Pokoju.
7. Matka Boska Różańcowa.
11. Macierzyństwo Matki Boskiej.
16. Dziewictwo Najśw. Marji Panny.
20. Matki Boskiej Przedziwnej (Mater admirabilis).

LISTOPAD

16. Matka Boska Ostrobramska.
21. Ofiarowanie Najśw. Marji Panny.
27. Matka Boska od Cudownego Medalika.

GRUDZIEŃ

8. Niepokalane Poczęcie Najświętszej Marji Panny.
10. Matka Boska Loretańska.
18. Oczekiwanie Narodzenia Pana Jezusa.



Tabela świąt ruchomych w latach 1935—1945.

Rok	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstąpienie Pańskie	Zesłanie Ducha świętego	Boże Ciało	Niedziela 1-sza Adwentu
1935	6 marca	21 kwietnia	30 maja	9 czerw.	20 czerwca	1 grudnia
1936	26 lutego	12 „	21 „	31 maja	11 „	29 listopada
1937	10 „	28 marca	6 „	16 „	27 maja	28 „
1938	2 marca	17 kwietnia	26 „	5 czerw.	16 czerwca	27 „
1939	22 lutego	9 „	18 „	28 maja	8 „	3 grudnia
1940	7 „	24 marca	2 „	12 „	23 maja	1 „
1941	25 „	13 kwietnia	22 „	1 czerw.	12 czerwca	30 listopada
1942	18 „	5 „	14 „	24 maja	4 „	29 „
1943	10 marca	25 „	4 czerw.	13 czerw.	24 „	28 „
1944	22 lutego	9 „	18 maja	28 maja	8 „	3 grudnia
1945	4 „	1 „	10 „	20 „	31 maja	2 „

Święta żydowskie.

Dzień	Miesiąc	Nazwa Święta	Dzień	Miesiąc	Nazwa Święta
18	kwietnia	I-sze Święto Paschy	29	września	Nowy Rok II-gi dz.
19	„	II-gie „ „	7	paździer.	Sądny dzień
24	„	VII-e „ „	12	„	I-sze święto Kuczek
25	„	VIII-e „ „	13	„	II gie „ „
7	czerwca	Zielone święta	18	„	Święto palmowe
8	„	„ (drugie św.)	19	„	Koniec Kuczek
28	września	Nowy Rok	20	„	Radość z prawa

Święci i błogosławieni Patronowie Polscy.

4 marca św. Kazimierz królewicz, zmarł 1484 r.

8 marca bł. Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, Cysters w Jędrzejowie, zmarł 1233 r.

15 marca św. Klemens Dworzak, redemptorysta w Warszawie i Wiedniu, zmarł 1820 r.

17 marca bł. Jan Sarkander, kapłan w Skoczowie na Śląsku, zmarł 1620 r.

23 kwietnia św. Wojciech, biskup praski, Benedyktyn, zmarł 997 r.

8 maja św. Stanisław, biskup krakowski, zmarł 1079 r.

16 maja bł. Andrzej Bobola, kapłan T. J. w Janowie na Podlasiu, zmarł 1657 r.

1 czerwca bł. Jakób Strzebię, dominikanin w Sandomierzu, zmarł 1260 r.

10 czerwca bł. Bogumił, arcybiskup gnieźnieński, zmarł 1182 r.

15 czerwca bł. Jolanta, klaryska, w Gnieźnie, zmarła 1298 r.

18 lipca bł. Szymon z Lipnicy, bernardyn w Krakowie na Stradomiu, zmarł 1482 r.

20 lipca bł. Czesław, dominikanin we Wrocławiu, zmarł 1242 r.

21 lipca św. Andrzej Żórawek, zmarł około 1011 r.

21 lipca św. Benedykt, pustelnik, zmarł około 1014 r.

24 lipca bł. Kinga, klaryska w Starym Sączu, zmarła 1292 r.

17 sierpnia św. Jacek, dominikanin w Krakowie, zmarł 1257 r.

1 września bł. Bronisława, norbertanka w Krakowie, zmarła 1259 r.

7 września bł. Melchior Grodzicki, kapłan T. J., zmarł 1619 r.

25 września bł. Ładysław (Włodzisław) z Gielniowa, bernardyn w Warszawie, zmarł 1505 r.

1 października bł. Jan z Dukli, bernardyn we Lwowie, zmarł 1484 r.

17 października św. Jadwiga, księżna śląska, cysterka z Trzebnicy, zmarła 1243 r.

20 października św. Jan Kanty, kapłan i prof. U J., zmarł 1473 r.

12 listopada święci: Benedykt, Jan Mateusz i Izaak Chrystyn, pustelnicy, wszyscy zmarli (zamordowani) 1005 r.

13 listopada św. Stanisław Kostka, nowicjusz T. J. w Rzymie, zmarł 1568 r.

14 listopada św. Jozafat Kuncewicz, bazylianin, arcybiskup połocki w Witebsku, zmarł 1623 r.

17 listopada bł. Salomea, klaryska z Krakowa, zmarła 1268 r.

Oprócz wymienionych posiada Polska liczny poczet świątobliwych mężów i niewiast, którzy zmarli w opinii świętości. Do nich należą: Iwo Odrowąż, biskup krakowski a stryj św. Jacka, bł. Czesława i bł. Bronisławy, — Stanisław Kaźmierczyk — Izajasz Boner — Michał Gedroyć — Świętosław ze Sławkowca, których ciała mieści starożytny gród wawelski. Do takich należy pozatem królowa Jadwiga, Matka Teresa Marchocka, karmelitanka, — O. Wojciech Męciński T. J. męczennik — O. Stani-

sław Papczyński, założyciel Marjańców białych, — O. Kazimierz Wyszynski, marjanin, — O. Fabjan Maliszewski, dominikanin, — O. Rafał Chyliński, franciszkanin; — z nowszych czasów: Bohdan Jański, założyciel Zmartwychwstańców, — Wanda Malczewska, — Księżę August Czar-toryski, salezjanin. — O. Rafał Kalinowski, karmelita bosy, — O. Bronisław Markiewicz, założyciel Zgromadzenia św. Michała Arch. i wielki opiekun sierót, — M. Franciszka Siedliska i wiele innych.

Dni postne.

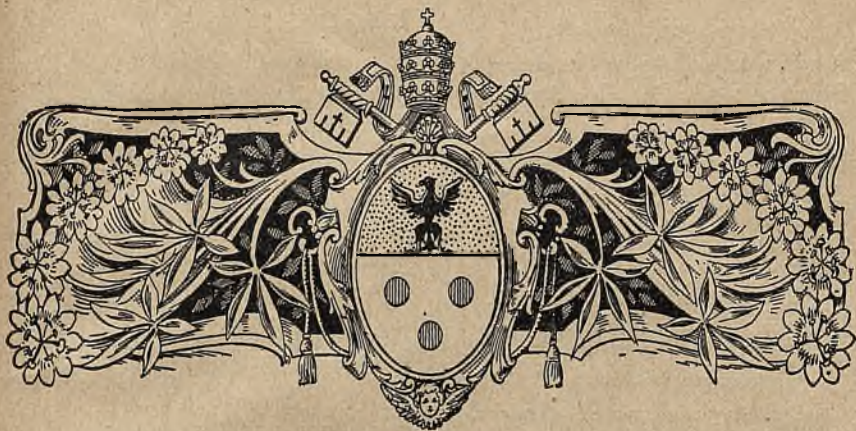
W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suche dni i wigilje Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godz. niema już żadnego postu). We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rósół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nie tylko masło i jaja, ale też i sadło, słonina (jako przyprawa), smalec i t. p. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku, również ryb wolno używać zawsze, nawet jeżeli w dni postne używa się potraw mięsnych. Uroczyste święta poza Wielkim Postem znoszą obowiązek postu i wstrzymania się od mięsa w dniu, na który przypadają. Również we wigilje z postem, jeśli wypadną na niedzielę, niema obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.

Czasy zakazane.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodz. włącznie i od Środy popielcowej do Niedzieli Wielkan. włącznie zabaw weselnych wyprawiać nie wolno



Hierarchja Kościoła Katolickiego

na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

Najwyższy Pasterz Kościoła:

Jego Świątobliwość

OJCIEC ŚW. PIUS XI PAPIEŻ

(przedtem kard. Achilles Ratti, były Nuncjusz Ap. w Polsce),
ur. 1857, obrany papieżem 6 lutego i koronowany 11 lutego 1922 r.

Nuncjusz Apostolski w Polsce

Mgr. Franciszek Marmaggi

Arcybiskup tyt. adrianopolski.

METROPOLJA GNIEZNIENSKO- POZNAŃSKA:

Archidiecezja gnieźnieńsko-poznańska.

Arcybiskup-Prymas Polski: JEm. Kard.

Dr. August Hlond.

Biskup-sufragan gnieź.: Antoni Laubitz.

Biskup-sufr. pozn.: Walenty Dymek.

Diecezja włocławska.

Biskup-Ord.: Karol Radoński.

Biskup sufr.: Wojciech Owczarek.

Diecezja chełmińska.

Biskup-Ord.: Stanisław Okoniewski.

Biskup-sufr. Konstanty Dominik.

METROPOLJA WARSZAWSKA:

Archidiecezja warszawska.

Arcybiskup-metropolita: JEm. Kard.

Aleks. Kakowski.

Biskup-sufr.: Antoni Szlagowski.

Biskup-sufr.: Stanisław Gall.

Diecezja płocka.

Biskup-Ord.: Antoni Jul. Nowowiejski.

Biskup-sufr.: Leon Wetmański.

Diecezja sandomierska.

Biskup-Ord.: Włodzimierz Jasiński.

Biskup-sufr.: Paweł Kubicki.

Diecezja lubelska.

Biskup-Ord.: Marjan Leon Fulman.

Biskup-sufr.: Adolf Józef Jełowicki.

Diecezja podlaska.

Biskup-Ord.: Henryk Przeździecki.

Biskup-sufr.: Czesław Sokołowski.

Diecezja łódzka.

Biskup-Ord.: vacat.

Biskup-sufr.: Kazimierz Tomczak.

METROPOLJA LWOWSKA:

Archidiecezja lwowska.

Arcyb. metrop.: Bolesław Twardowski.

Biskup-sufragan: Eugenjusz Baziak.

Diecezja przemyska.

Biskup-Ord.: Franciszek Barda.

Biskup-sufr.: Wojciech Tomaka.

Diecezja łucka.

Biskup-Ord.: Adolf Piotr Szelażek.

Biskup-sufr.: Stefan Walczykiewicz.

METROPOLJA KRAKOWSKA:

Archidiecezja krakowska.

Ksiązę-metrop.: Adam Stefan Sapieha.

Biskup-sufr.: Stanisław Rospond.

Diecezja kielecka.

Biskup-Ord.: Stanisław Łosiński.

Diecezja tarnowska.

Biskup-Ord.: Franciszek Lisowski.

Biskup-sufr.: Edward Komar.

Diecezja częstochowska.

Biskup-Ord.: Teodor Kubina.

Diecezja katowicka.

Biskup-Ord.: Stanisław Adamski.

Biskup-sufr.: Teofil Bromboszcz.

METROPOLJA WILEŃSKA:

Archidiecezja wileńska.

Arcyb.-metr.: Romuald Jałbrzykowski.

Biskup-sufr.: Kazim. Michalkiewicz.

Diecezja łomżyńska.

Biskup-Ord.: St. Kostka Łukomski.

Biskup-sufr.: Bernard Dembek.

Diecezja pińska.

Biskup-Ord.: Kazimierz Bukraba.

Biskup-sufr.: Karol Niemira.

WOLNE MIASTO GDAŃSK:

Biskup-Ord.: Edward O'Rourke.

Biskup polowy:

Józef Gawlina.

W Ameryce polscy Ks. Biskupi:

W diecezji Green Bay: Paweł Rhode. || Biskup-sufr. Detroit: Józef Palugnes

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi Polacy, nieposiadający diecezji:

Metropolita mohylewski: Edward Ropp
(mieszka w Warszawie).

Były biskup-sufragan łucki, Michał
Godlewski, obecnie prof. U. J.

Były biskup łucko-żytomierski, Ignacy
Dubowski, (mieszka w Rzymie).

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi innych katolickich obrządków w Polsce:

Archidiecezja lwowska obrz. gr.-kat.

Arcybiskup-metropolita: Andrzej Szep-
tycki.

Biskup-sufragan: Jan Buczko.

Diecezja przemyska obrz. gr.-kat.

Biskup-Ord.: Józef Kocyłowski.

Biskup-sufragan: Grzegorz Łakota.

Diecezja stanisławowska obrz. gr.-kat.

Biskup-Ord.: Grzegorz Chomyszyn.

Biskup-sufr.: Jan Latyszewski.

Biskup Mikołaj Czarnecki, Wizytator
Apostolski, Słowian, obrządku bi-
zantyńskiego.

Biskup tyt. patareński obrz. gr.-kat.
Ks. Nicetas Budka, (mieszka we
Lwowie).

Diecezja lwowska obrz. ormiańsko-kat.

Arcybiskup: Józef Teodorowicz.

PRZEDMOWA.

ZAKŁADY wychowawcze Ks. Bronisława Bonawentury Markiewicza są dziś jedną z najważniejszych podstaw odrażdzenia się potęgi Polski. Przynoszą one bowiem narodowi polskiemu nie tylko zdrowe i po wojnie tak zbawienne hasło: „powściągliwości i pracy“, ale także przyczyniają się do praktycznego rozwiązywania dziś tak piękającej sprawy socjalnej, jaką jest wychowywanie sierot i dzieci opuszczonych.

Wszak każdy dobrze myślący człowiek pojmuje, że tak Polacy, jak i inne narody, zniszczone długą wojną światową i wlokącym się już od kilku lat kryzysem ekonomicznym, muszą obecnie wprowadzić rozumnie pojętą „powściągliwość i pracę“ we wszystkich dziedzinach życia państwowego i prywatnego i muszą zająć się na szeroką skalę wychowaniem sierot i opuszczonych dzieci, jeżeli chcą mieć sprawiedliwy ustrój społeczny, dostarczający pracy i tem samem „chleba powszedniego“ dla wszystkich obywateli, jeżeli pragną uniknąć nieszczęść osobistych, zaburzeń socjalnych, wojen zewnętrznych i innych podobnych rzeczy, wynikłych z braku powściągliwości i pracy oraz ze złego wychowania dzieci, a zwłaszcza opuszczonych i sierot, jeżeli mają się ostać i zwyciężyć w nowych zawikłaniach wojennych i społecznych.

Sprawiedliwy bowiem ład społeczny, który może istnieć tylko przy pomocy dobrze pojętego i wykonywanego hasła: „powściągliwość i praca“ oraz za staraniem w bojaźni Bożej wychowywanych obywateli, uważał Założyciel zakładów wychowawczych dla sierot i „Towarzystwa Powściągliwość i Praca“ za „jedyny środek na zażegnanie rozruchów i wojny“. Pisze on o tem w swej „Powściągliwości i Pracy“, z lipca 1899 roku, co następuje: „Mamy wszędzie rozruchy i zbrojenia się na wojnę nigdy nieszczępane i niewidziane. Wojna w powietrzu i to nie lada, bo miliony ludzi zbrojnych od stóp do głowy uzbrajają się na lądzie i na morzu po całej kuli ziemskiej. Dreszcz przeszływa każdego człowieka na wspomnienie, że kiedyś te zbrojne rzesze ze sobą zetrzeć się mogą. Oręża i broni tak morderczej, jaką dzisiaj wojsko posiada, dawniej nie bywało. Stąd w pismach i na zebraniach mężowie wykształceni

zastanawiają się nad tem, jakby zapobiec rozruchom i wybuchowi wojny powszechnej, zwłaszcza, że wskutek nadmiernej zbrojenia się, niektóre państwa bez wojny zbankrutowały, a inne w niedalekiej przyszłości toż samo czeka, jeśli nie wynajdą skutecznego środka na zażegnanie nieszczęść wspomnianych.

We wszystkich sprawach ważnych wiara prawdziwa daje oświecenie i rozwiązanie najtrafniejsze. Toż samo i w tej sprawie.

Stuchajmy, co mówi o niej Pismo święte. W psalmie 84 stoi: „pokój i sprawiedliwość pocałowały się“. To znaczy: zawarły ze sobą przyjaźń i nic ich już nie rozdzieli na wieki. A znowu u Izajasza w rozdziale 32-gim napisano: „I będzie dzieło sprawiedliwości — pokój, a sprawowanie sprawiedliwości — milczenie i bezpieczeństwo na wieki“. Oto sprawiedliwość jest jedynym środkiem na zażegnanie wszelkich niepokojów i rozruchów na ziemi. A o tem jakoś ludzie zdają się nie wiedzieć. Wszyscy wprawdzie łamią sobie głowy nad tem, jakimby sposobem zapewnić sobie, rodzinie, społeczeństwu, a nawet światu całemu pokój nieustanny; a tymczasem prawie ci sami wyteżają wszystkie siły, aby drugich podejść, oszukać, okraść, i ani nie myślą zwrócić tego, co z krzywdą drugiemu kiedyś zabrali. Chcą tedy pokoju, a całą siłą czynnie mu się sprzeciwiają. Przecież jest rzeczą jasną, że obrazić sprawiedliwość, to to samo, co naruszyć pokój. A jednak niesprawiedliwość popętnia się na wszystkich polach pojedynczo i zbiorowo. I słyhać skargi naokół. Ten narzeka, bo go okradziono; ów, bo mu odebrano dobre imię; tamtego spotkał wyrok niesprawiedliwy; innemu zatrzymano niestusznie zapłatę; innemu jeszcze nie zwrócono należytego długu; tamtego znowu bez słusznego powodu podstępem pozbawiono posady, a więc i kawałka chleba; tym wydarło prawo nauczania w szkołach języka ojczystego; innym znowu odjęto prawo przemawiania w mowie macierzystej na publicznych zebraniach i w sądach, a wreszcie, innym nawet prawo modlenia się i przemawiania do Boga we własnej mowie; zabrano im ich ojcowiznę, samorząd, obyczaje i zwyczaje narodowe i popętniono jeszcze inne krzywdy o pomstę wołające do Pana Boga, i to w imię Boga, w imię religji Chrystusowej i władzy danej przez Opatrzność. Słowem, kędy się obrócisz, widzisz ucisk i uciemiężenie, a słyszysz skargi, złorzeczenia, wszędzie troska i zgryzota, wszędzie wyrzekanie na brak sprawiedliwości; a stąd klótnie i niezgody długotrwałe,

rujujące doszczętu procesy, nieufność pracowników do chlebodawców, podwładnych do przełożonych, kupujących do kupców i naodwrot; miliony bagnetów, krocie armat, morderstwo osób najwyżej postawionych, bankructwa kolosalne, wojny krwawe, stąd i dzisiejsza niepokojąca nietylko już jednostki, ale państwa cała burza socjalna, która drzeniem i niepokojem przejmie wszystkich, gdy lada dzień z całą grozą, jeszcze nigdy niepraktykowaną, wybuchnąć może.

Tak więc sprawiedliwość i spokój — jednostek czy też społeczeństw — to przyczyna i skutek nierozdzielnie podążające za sobą. Olbrzymie niepokoje i wojny są skutkiem potwornych niesprawiedliwości pojedynczych i zbiorowych. Grzechy same siebie najlepiej karzą. Jeśli pojedynczy ludzie i narody najpierw nie powrócą krzywdy drugiemu wyrządzonej i jej nie wynagrodzą, a nadto nie zaprzestaną rozbojów i rabunków w biały dzień, jak to się praktykuje od dwu wieków szczególnie, przyjdzie na nich klęska takich rozmiarów, jakiej historia jeszcze nie wykazała: oto bankructwo powszechne, wojna wszechświatowa nadzwyczaj mordercza, która zwyciężonych i zwycięzców doszczętnie zrujnuje; za nią zgliszczą, rozwaliny, głód i mory bydląt i ludzi, które więcej ofiar zabiorą, aniżeli bitwy i potyczki krwawe.

Wiem, że mój głos wołającego na puszczy przebrzmi narazie bez skutku, lecz go podnoszę z obowiązku, aby przynajmniej potomność wiedziała, na jakich podstawach urządzić sobie stosunki społeczne. Ona, patrząc na gruzy miast i pałaców, na potoki krwi, na miliony wdów i sierot, przeklinać będzie bezbożne zasady polityczne pogańskiej Romy, zgubne zasady bezczelnego Macchiavella i jego przewrotnych naśladowców, zaprowadzi we wszystkich kierunkach zasady prawdziwej religji, a osobliwie cnoty sprawiedliwości. A te dadzą nam okres najświetniejszy, za którym tęsknią od wieków wieszczki i święci wszech narodów i języków“.

Po przytoczeniu powyższych przestroóg i przewidywań Ks. Br. Markiewicza, widzimy, że one na jego czasy były nadzwyczaj śmiałe i uważane za nieprawdopodobne, że się dosłownie spełniły w wojnie światowej i po niej i że one odnoszą się nietylko do czasów już minionych, ale także i to nawet w większym stopniu, do doby obecnej i już wylaniającej się przyszłej.

Z tego to powodu naród polski powinien zwrócić baczniejszą uwagę na te jego przewidywania i przestrogi, gdyż

mogą mu się przydać, tak na dziś, jak i na przyszłość. A nie żąda bowiem Ks. Markiewicz rzeczy niemożliwych do spełnienia; pragnie tylko, aby jego umiłowany naród wprowadził u siebie pamiętający możliwie o wszystkich obywatelach ustrój społeczny, któryby był sprawiedliwy, zrównoważony i szybko działający, któryby ułatwił wytwarzanie i dostarczanie pożytecznej dla wszystkich pracy, któryby umożliwił wychowanie jak największej ilości sierot i opuszczonych dzieci, któryby skutecznie chronił od przewrotów podczas możliwej drugiej fazy wojny światowej.

A wojna ta prawdopodobnie już się zbliża do nas dużymi krokami. Zwiastują ją nowe wyścigi zbrojeń, nie tylko na lądzie i morzu, lecz także w powietrzu, a to przy pomocy aeroplanów i rzucanych z nich bomb z trującymi gazami. Mówią o niej wiele także nowe poruszenia socjalne, nowe zatargi międzynarodowe, a szczególnie na dalekim wschodzie i w środkowej Europie, a nawet długo już niewidziane walki religijne. I te wszystkie znaki wskazują, że ona się zbliża i będzie straszniejszą od poprzedniej wojny światowej, że obejmie wielkie obszary ziemi i że jej następstwa spowodują przewidzianą przez natchnionego kapłana najskrajniejszą nędzę.

Bystrzejsze i szlachetniejsze jednostki trwożą się na myśl o nadciągających burzach dziejowych i radzą, jak im zapobiec. Niestety, rady ich znowu są głosem wołającego na puszczy, gdyż moi tego świata nie zapobiegają powszechnemu kataklizmowi poprawą stosunków społecznych i międzynarodowych w duchu „powściągliwości i pracy“ i z nich wynikłej sprawiedliwości, nie myślą wiele o dostarczeniu ludności „chleba powszedniego“ a opuszczonym dzieciom i sierotom opieki i wychowania, ale natomiast za wiele dbają o siebie i swoich, z krzywdą innych.

A te dwie ostatnie sprawy w obecnych czasach są bardzo ważne, gdyż od ich należytego załatwienia zawisła siła państwa, tak w pokoju, jak i w wojnie. Dlatego dobrze zrobiłyby miarodajne czynniki polskie gdyby, idąc za zbawienną radą Ks. Markiewicza, postarały się, z okazji uchwalania konstytucji, o taki ustrój społeczny, któryby obie omawiane sprawy ułatwiał i realizował na szeroką skalę, któryby uczynił Polskę silną i odporną nawewnątrz i zewnątrz, któryby ją postawił na czele Słowiańszczyzny i Chrześcijaństwa.

B. G.

Ks. Bronisław Markiewicz.

MÓDLICIE się za mną, abym został Świętym, bo Polsce dzisiaj Świętych bardzo potrzeba... Tak pisał dnia 27 stycznia 1887 r. do jednego ze swoich przyjaciół Ks. Bronisław Markiewicz ze San Benigno Canavese, dokąd się udał za głosem powołania i jako starszy już kapłan w nowicjacie Zgromadzenia Księży Salezjanów szukał drogi swego przeznaczenia...

Na takie głośne wypowiedzianie tego, że się pragnie zostać Świętym, odważyć się może chyba jednak tylko dusza na drodze dążenia do świętości już daleko posunięta... Tak mógł mówić na przykład św. Wincenty Ferrerjusz, wielki apostoł i cudotwórca, który przyjacielowi swojemu, biskupowi Walencji, Ks. Borgii, późniejszemu papieżowi Kallikstowi III zapowiadał, że jako Namiestnik Chrystusowy, zaliczy go w poczet Świętych. Tak samo szczerze mógł się zwierzać z pojęcia o sobie Święty tej miary, co Franciszek Salezy, który do swej córki duchowej, św. Joanny de Chantal mówił, że zaliczenie go kiedyś do grona Świętych Pańskich, uważa za rzecz zupełnie możliwą... Podobnie też mówił nasz świątobliwy rodak, Ks. Bronisław Markiewicz...

To powiedzenie Ks. Markiewicza różni się atoli od tamtych powiedzeń owych Świętych tem, że tamci w oświadczeniach swoich stwierdzają już ten stan świętości, jakim jaśniały naówczas ich dusze, a Ks. Bronisław w wypowiedzeniu swoim wyraża tylko pobożne życzenie, że pragnie zostać świętym...

Pewien uczony znawca duchowych przeżyć ludzkich, mówiąc o Świętych, którzy tak wyraźnie przyznają się sami do świętości, powiada, że »w duszy takiego Świętego podniecają się nawzajem pokora i duma«. W ich duszach dzieje się wówczas to, co św. Paweł mówi o sobie, gdy pisze: »Jam jest najmniejszy między apostołami, którym nie jest godzien, aby mnie zwano apostołem, — a z łaski Boga jestem to, com jest, bo łaska Jego przeciwko mnie próżną nie była... Dalej zaś, zwracając się do wiernych w Koryncie i zachęcając ich do doskonałości życia, mówi do nich pełen szczerości i szlachetnej prostoty: »Bądźcie naśladowcami moimi, jakom i ja jest Chrystusów«.

Tak też działo się w duszy Ks. Bronisława Markiewicza, gdy pisał z Włoch do przyjaciół w kraju: »Módlcie się za mną, abym został Świętym«... W jego sercu podniecały się wówczas wzajemnie i ta pokora, która człowiekowi każe uważać się »za najmniejszego między braćmi«, a która jest podwaliną do całej budowy doskonałego życia — i ta święta duma, która nigdy nie pozwala przesadzać pokorze, ale dostrzegając zawsze we własnej duszy jej istotne wartości i dary łaski, każe człowiekowi jako hasło życia powtarzać za św. Stanisławem Kostką: »Do wyższych rzeczy jestem stworzony«...

W rzeszy Świętych Pańskich atoli są Święci tacy, którzy oderwali się zupełnie od świata i osiadłszy gdzieś w głuszy leśnej jako pustelnicy, lub też ukrywszy się w zaciszu życia klasztornego, przeszli przez tę ziemię prawie niewidziani i z życiem ludzkiej społeczności nie weszli zupełnie w żadną styczność. Są jednak w tej błogosławionej rzeszy i tacy, którzy ziemski swój wiek przetrwali w największym zgiełku życia społeczności i nosząc zawsze wysoko swą świętość, wchodzili głęboko w nurty tego życia i swemi wielkimi czynami wnosili w nie »Królestwo Boże«, a przez to stali się głośnymi w dziejach ludzkości.

Ks. Bronisław Markiewicz, wyrażając swoje pragnienie zostania Świętym, dodaje, że dlatego tak pragnie tej świętości dla siebie, że »Świętych trzeba Polsce«...

Pragnął więc zostać Świętym dla dobra Ojczyzny. Chciał zatem widocznie zostać takim Świętym, który idzie między potrzebujących i upadających na duchu podnosi, nieumiejętnych naucza, bezdomnym daje przytułek, a głodnych cudownie karmi. Widząc bezmiar wszelakiej nędzy w Polsce, chciał jej nieść pomoc taką, na jaką zdobywają się tylko bohaterskie duchy Świętych Pańskich, które na pożytek ziemskiej braci niosą nie tylko czyny ludzkie, ale i tę łaskę Bożą, która w dziejach każdego narodu zawsze najwięcej waży.

To wzniosłe pragnienie świętości, wypowiedziane głośno przez Ks. Bronisława Markiewicza, już w latach dojrzałych, taίło się w jego sercu od lat najmłodszych i odzywało się w niem jeszcze w wieku dziecięcym...

Ks. Bronisław Bonawentura Markiewicz urodził się dnia 13 lipca 1842 r. w miasteczku Pruchniku, w powiecie jarosławskim. Ojciec jego Jan, burmistrz pruchnicki i matka

Marja z Gryzieckich, tworzyli to bogobojne stadło małżeńskie, które oddane pracy, nawet wśród niedostatku żyje bez zbytej troski o chleb codzienny, a liczne potomstwo potrafi zawsze wyprowadzić na wyższe stanowiska społeczne. To też i państwo Markiewiczowie w Pruchniku potrafili zapracować tyle, że zdołali pięciu synów utrzymać w wyższych szkołach w Przemyśle.

Z pośród tych pięciu braci, z których każdy później zaznaczył się wybitną działalnością dobrego katolika i Polaka w kraju, jeden Bronisław obrał sobie stan duchowny. O kapłaństwie marzył młody Bronisław jeszcze jako uczeń przemyskiego gimnazjum i wtedy już dawał po sobie poznać, jak wysoko to kapłaństwo przez życie swoje podniesie. Widać to było z tego nadzwyczajnego skupienia, z jakim odprawiał zawsze swoje pacierze, z tego budującego wszystkich zachowania się przy częstem przystępowaniu do Sakramentów świętych, a nadewszystko z tego anielskiego wejrzenia, które właściwe jest tylko duszom czystym. W przyszłym kapłaństwie świętobliwego młodzieniaszka Bóg już wtedy postanowił jakies niezwykajne sprawy, które nawet objawił mu w osobnem widzeniu.

Wprawdzie to cudowne widzenie, które Bronisław Markiewicz, jako dwudziestoletni młodzian uważał sobie za wyraźne wskazanie Boże na przyszły swój żywot, według późniejszego jego opowiadania, miało dotyczyć jakiegoś jego »przyjaciela«. Ponieważ atoli Ks. Markiewicz, zawsze ściśle w określaniu każdej rzeczy, nie wspomniał nigdy nazwiska owego rzekomego przyjaciela, a o samem widzeniu zapewniał zawsze, jako o zdarzeniu całkiem pewnem, snadnie przeto sądzić można, że owym »przyjacielem«, któremu Bóg przedstawił owo widzenie, był sam Bronisław, który tylko dla pokory ukrywał tutaj własną osobę. Zresztą sam rodzaj tego widzenia i jego wielka doniosłość dla samego Bronisława zdaje się tutaj zupełnie wykluczać uczestnictwo człowieka obcego.

Oto, według opowiadania Ks. Bronisława Markiewicza w dniu 3 maja 1863 r. miało się ukazać na ulicach Przemyśla szesnastoletnie pacholę wiejskie ze skrzydłami Archanioła i tak mówić do niewidzialnych tłumów:

»Słudzy i służebnice Pańskie! Ponieważ Pan najwyższy was więcej umiłował, aniżeli inne narody, przeto dopuścić na

was ten ucisk, który obecnie cierpicie, abyście oczyściwszy się z grzechów waszych, stali się wzorem dla innych narodów i ludów, które niebawem odbiorą karę sroższą od waszej w pełni grzechów swoich. Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku strasznie morderczą... Na całej kuli ziemskiej będzie powszechna wojna, a tak krwawa, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą też jej następstwa... Ujrzycie zgliszcza, gruzy naokół i tysiące dzieci opuszczonych, wołających chleba... Wkońcu wojna stanie się religijną; walczyć będą dwa obozy: obóz ludzi wierzących w Boga i obóz ludzi, nie wierzących w Niego. Nastąpi wreszcie powszechne bankructwo i nędza taka, jakiej świat dotąd nigdy nie widział i to do tego stopnia, że wojna sama ustanie z braku sił i środków. Zwycięzcy i zwyciężeni znajdą się w równej niedoli i wtedy niewierni uznają, iż Bóg rządzi światem i nawrócą się, a pomiędzy nimi wielu Żydów. Wojnę poprzedzą wynalazki zdumiewające i straszliwe zbrodnie, popełniane na całym świecie...

Wy Polacy przez ucisk mniejszy oczyszczeni i wspólną miłością silni, nietylko będziecie się wzajem wspomagali, ale nadto poniesiecie ratunek innym narodom i ludom, nawet wam niegdyś wrogim. I tym sposobem wprowadzicie dotąd niewidziane braterstwo ludów. Bóg wyleje na was wielkie łaski i dary, wzbudzi między wami ludzi świętych i mądrych i wielkich mistrzów, którzy zajmą poczytne stanowiska na kuli ziemskiej, a języka waszego uczyć się będą na całym świecie... Najwyżej zaś wyniesie was Pan Bóg wtedy, gdy dacie światu wielkiego papieża...

Ufajcie przeto Panu, bo jest dobry, miłosierny i nieskończenie sprawiedliwy. On pokornych podwyższa i dawa im łaskę, a pysznych poniża i odrzuca na wieki. Szukajcie przede wszystkim Królestwa niebieskiego i dóbr duchownych, które trwają na wieki. Polacy! Bóg żąda od was nie tej walki, jaką staczali najlepsi przodkowie wasi na polach bitew w chwilach stanowczych, ale bojowania cichego, pokornego, a znojnego. On chce od was, abyście każdy na swoim stanowisku wiedli przede wszystkim na każdy dzień »bój bezkrwawy«...

Tak mówił ów Archanioł w postaci wiejskiego pacholęcia polskiego w owem cudownem widzeniu.

Już sam dzień tego zjawiska, którym był dzień 3 maja, poświęcony czci Królowej Korony Polskiej i pamiętce wiel-

kiego dzieła »Konstytucji Trzeciego Maja«, a nadto rok 1863, w którym do Przemyśla dochodziły żywe odgłosy walk, jakie o parę mil na północ staczali powstańcy z dziwnym ciężką Ojczyzny, były dla wrażliwego młodzieńca tem niezwyčajnem tłem, na którym oparte owo widzenie, nabrało wielkiej siły.

Nie dziw przeto, że całe późniejsze życie Bronisława Markiewicza było tylko ścisłym stosowaniem się do tych wieszczych zapowiedzi, które głosił ów tajemniczy młodzian. Przejęty silną wiarą w to, iż rzeczywiście nadejdzie wnet chwila wybuchu strasznej wojny, która wstrząśnie całym światem, a ciężcyiele narodu polskiego tak się w tej wojnie wzajemnie wyczerpią, że Polska, aczkolwiek dymiąca zgliszczami i pełna nędzy i sieroctwa, już o własnej sile będzie się mogła dźwignąć, postanowił sobie na tem pogorzeliisku stanąć mężem, który przytuli do siebie owo sieroctwo i wychowa je na dobrych obywateli wolnej Ojczyzny...

To też ukończywszy w tym samym roku nauki średnie, tem skwapliwiej jeszcze podąży za głosem tego powołania, który odzywał się w nim już od dawna, prosi o przyjęcie do seminarjum duchownego w Przemyślu.

Przejęty wciąż myślą o swem wielkiem przeznaczeniu, jakie miał spełnić w zbliżającym się przełomie czasów, pełnemi garściami czerpał z tego, czem święta Matka-Kościół karmi swych wybranych synów, jako przyszłe sługi ołtarza. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami szybko napełnił swój umysł wiadomościami o rzeczach Bożych i o sprawach społecznych potrzeb polskiego narodu, a zwłaszcza młodzieży. Aby tych wiadomości móc osiąść jak najwięcej, pilnie się starał o zdobycie odpowiednich książek, a każdą chwilę czasu poświęcał nauce, tak, że żałował sobie nawet jednej godziny poświęcić na wytchnienie.

Równie szybko atoli urastał i w cnocie. Słyszac od swoich wychowawców, iż kapłanowi więcej potrzebna jest głęboka cnota, niż szeroka wiedza, bo żywy przykład zbożnego życia daleko więcej zawsze zdziała dla dobra świętej sprawy, niż najuczestsze nawet wywody, gdy im owego przykładu braknie, — bardzo gorliwie zaprawiał się we wszystkich tych ćwiczeniach duchowych, które młodego lewitę mają wyrobić na kapłana iście »wedle serca Bożego«.

To też już jako kleryk odznaczał się wielkim duchem pobożności, prawdziwie anielską skromnością i niezwykłą uczynnością.

Wyświęcony na kapłana w r. 1867 i przeznaczony na wikarjusza naprzód do wsi Harty w powiecie Brzozowskim, a następnie do Przemyśla, już w pierwszych swoich poczynaniach zaznaczał to, co miało być główną działalnością jego kapłańskiego powołania. Oto zarówno na wsi, jak i w mieście z wielkim zamiłowaniem gromadził koło siebie ubogą młodzież, urządzał dla niej naukę katechizmu i pogadanki o rzeczach pożytecznych, zaprawiał ją do różnych godziwych zabaw i gier, chodził z nią na wspólne wycieczki, a dla najbiedniejszych z pośród niej starał się zawsze o pomoc, czyto w postaci pieniężnego zasiłku, czy dostarczania ubrania, czy też wyszukania odpowiedniej pracy.

Zwagać atoli trzeba, że w owych czasach taką opieką nad dorastającą młodzieżą jeszcze nikt się u nas nie zajmował. To też na czyn młodego kapłana patrzono z podziwem i uznaniem. Ks. Bronisław Markiewicz zaczął się w ten sposób wybijać na czoło przemyskiego duchowieństwa...

Pomny atoli ciągle tego, co miało przyjść na Polskę wedle owej zapowiedzi tajemniczego zwiastuna, zapragnął na dzień odrodzenia Ojczyzny przygotować coś więcej. Oto chciał, aby do tego »boju bezkrwawego«, który miał nastąpić, stanęły jak najliczniejsze hufce mężów, napełnionych duchem Chrystusowym. Postanowił więc oddać się wychowaniu młodzieży szkół średnich, z których wychodzą przyszli kapłani, prawnicy, lekarze, profesorowie i ci wszyscy, którzy stają później pośród ogółu społeczeństwa, jak jasne świeczniki, aby szare rzesze oświecać i prowadzić naprzód. W tych przeto przyszłych przywódców szarych rzesz zapragnął Ks. Bronisław Markiewicz tchnąć swego wielkiego ducha.

W tym celu udaje się naprzód do Krakowa, a następnie do Lwowa, aby tam, na wyższych uczelniach, pogłębić jeszcze swoje nauki.

Inne atoli były postanowienia władz duchownych. Te, widząc w Ks. Bronisławie Markiewiczu kapłana, który jeszcze jako wikarjusz w pracy duszpasterskiej przedstawiał czynnik wielce pożyteczny, odwołały go ze Lwowa i poleciły mu objąć parafję Gać, obok Kańczugi.

Ks. Bronisław, posłuszny zawsze nakazom władzy, odrywa się natychmiast od swoich nauk i udaje się tam, gdzie mu kazano. Rozpatrzywszy się w miejscowych stosunkach i zauważywszy, że główną wadą miejscowej ludności jest pijaństwo, z czego później wyradza się nieobyczajność, ciemnota i nędza, pragnie tej powszechnej w całym kraju chorobie wiejskiego ludu skutecznie zapobiec. Przeglądając jednak nawskróś duszę polskiego chłopca, wie ten świątły kapłan, że samem słowem niewiele tu dokona. Do tego słowa, które choć tak wymownie przedstawia ohydę tego występku i tak wyraźnie wykazuje jego zgubne skutki, trzeba jednak dołączyć jeszcze coś więcej wyraziście działającego na ciemną duszę chłopską.

Wiedziony więc gorliwością o dobro powierzonych sobie dusz, zakłada Ks. Markiewicz we wsi »Kasę oszczędności«, a parafjanom więcej prawi o korzyściach składania krwawo zapracowanego grosza, niż o samem pijaństwie. I tym czynem, równie w kraju naszym na owe czasy nowym, sprawia to, że pijaństwo we wsi znacznie maleje, ustaje nędza, a wielu pracowitych i oszczędnych gospodarzy dochodzi wkrótce do za-
możności.

To samo stosował później Ks. Bronisław Markiewicz na następnem swoim stanowisku proboszcza w Błazowej. Ten, który później we właściwym swoim powołaniu wychowanie młodych dusz poczynił od tego, że naprzód karmił głodne ciała, rozumiał dobrze już wtedy, że najwięcej grzechów lęgnie się zawsze w nędzy. To też, przybywszy do Błazowej, gdzie biedna ludność oddawała się tkactwu, zabrał się naprzód do tego, aby wszystkich tkaczy złączyć w jeden »Związek« i uchronić ich w ten sposób od wyzysku żydów, którzy dotąd kupując wyroby od każdego wytwórcy osobno, płacili za nie coraz mniej, bo każdy tkacz chcąc jak najprędzej sprzedać swój towar, obniżał jego cenę. Skoro jednak powstał ów »Związek«, przez który wszyscy tkacze po jednej cenie mogli oddawać swoje wyroby, wówczas też podniósł się w Błazowej dobrobyt, a z nim razem rozkwitł także w pełni duch pobożności, czego najwymowniejszym dowodem były obfite składki, za które później wybudowano wspaniały kościół.

Ta nadzwyczajna umiejętność pasterzowania Ks. Bronisława Markiewicza zwróciła nań uwagę władz duchownych, które w r. 1882 powołały go na stanowisko profesora seminarjum

duchownego w Przemysłu, gdzie mu powierzono nauczanie tego, w czym sam tak wybitnie celował, to jest duszpasterstwa.

Jak wszędzie dotąd, tak i na tem nowem stanowisku zabrał się Ks. Markiewicz gorliwie do pracy. Chcąc swych uczniów, a przyszłych kapłanów, zaprawić w umiejętności nauczania ludu, pisze dla nich podręcznik »O wymowie kaznodziejskiej«. Brak takiego podręcznika dawał się u nas oddawna odczuwać. Zaborcze rządy, wdzierając się ze swemi gwałtami nawet do spraw kościelnych, zdołały przeprowadzić nawet to, że księża mogli kazania tylko odczytywać i to z przepisanych na to ksiązek, lub też z opracowań, które przed odczytaniem ich z ambony, zatwierdzał cesarski urzędnik. To też w ostatnich dziesiątkach lat, przed ukazaniem się podręcznika Ks. Markiewicza kaznodziejstwo w Polsce bardzo było upadło. Napisanie więc nowego dzieła, które dawało początek do odrodzenia wymowy kościelnej, poczytać trzeba świątobliwemu profesorowi za wielką zasługę.

Nie tu jednak szukać trzeba głównej zasługi profesora duszpasterstwa w seminarjum przemyskiem. Aczkolwiek bowiem to jego dzieło wzbudziło w szeregach duchownej młodzi wielki zapal do kształcenia się w wymowie kościelnej, to jednak Ks. Bronisław Markiewicz, działający zawsze w kierunku budowania podstaw dla mającego nastąpić odrodzenia Polski, te zapaly młodych lewitów kierował gdzie indziej.

Jako głęboki znawca duszy ludzkiej wiedział, że i w tych szlachetnych zapalach tkwiła, jak zawsze słabość ludzka. Tak to bowiem zwykle się dzieje, że młodzi kapłani, wiedzeni zresztą prawdziwą gorliwością o przysłużenie się świętej sprawie, chcieliby już w pierwocinach swojej pracy duszpasterskiej zajaśnieć i olśnieć cały świat. Najłatwiejszą zaś ku temu sposobnością bywa głoszenie kazań w nadzwyczajnych okolicznościach lub też o osobliwie dobranym przedmiocie... Stąd też pochodzi pewne lekceważenie tej prostej nauki, która najwięcej zaniedbanym owieczkom ma tłumaczyć w sposób najprostszy najbardziej zasadnicze prawdy wiary.

To też Ks. Bronisław Markiewicz, chcąc swych uczniów zaprawić do tego prawdziwego apostołstwa, poprowadził ich w niedzielę po południu do kościoła i tam kazał im nauczać gromadzące się coraz liczniej rzesze miejskiej biedoty, zasad wiary świętej.

W tym wypadku atoli nie chodziło czcigodnemu profesorowi tyle o samych słuchaczy, ile raczej o młodych głosicieli słowa Bożego. Wiedział bowiem, że każde, najmniejsze nawet ziarenko tego Bożego słowa, rzucone na głębię serc łaknącej światła rzeszy, wyda owoc stokrotny. Ale wiedział także, jak wielce dodatnio działa na duszę młodego kapłana takie powodzenie w jego pierwszych pracach duszpasterskich. Zachęcony tem powodzeniem młody pracownik Boży rozmiłowuje się w swoim wzniosłym powołaniu i nie szuka już tego, co na chwilę olśniewa, ale tego, co zostawia owoc wiecznotrwały. To też z pod opieki takiego mistrza, jakim był Ks. profesor Bronisław Markiewicz, wychodzili kapłani rzeczywiście »wedle serca Bożego«.



Ks. Br. Markiewicz.

Lecz niestety profesorska praca Ks. Markiewicza nie mogła trwać długo. W jego sercu bowiem zaczął się teraz odzywać coraz natarczywiej ten głos, który go wołał do pracy w jego właściwej dziedzinie. Biorąc jednak i te sprawy bardzo przezornie nie chciał sam o nich rozstrzygać. Zwierzał się przeto zawsze sumiennie ze wszystkiego przed swym spowiednikiem. Ten jego spowiednik zaś ks. Łękawski, kapłan wielce światły, wglądający głęboko w duszę Ks. Bronisława i odgadujący w owym głosie rzeczywiste wołanie Boże, poradził mu, aby wstąpił do nowozałożonego we Włoszech Zgromadzenia św. Jana Bosko.

Ks. Markiewicz miał naówczas lat czterdzieści cztery. Był więc już w tym wieku, kiedy u dojrzałego męża przechodzi południe życia i gasną młodzieńcze zapały, a strudzone pracą siły pragną już pewnej folgi.

Jakież ognie musiały gorzeć przeto w sercu tego, niestrudzonego pracownika, gdy oto, łamiąc wszelkie przeszkody,

których najwięcej w tym właśnie czasie ściele mu się na drodze i w Imię Boże udaje się do San Benigno Canavese, gdzie dnia 1 stycznia 1886 r. przyjmuje go, jako nowicjusza do swego Zgromadzenia, czcigodny sługa boży, św. Jan Bosko...

Św. Jan Bosko, naówczas już siedemdziesięcioletni starzec posłyszawszy od przybywającego Ks. Bronisława opowieści o tem, co go do niego sprowadzało, przyjął go, jak syna. Istotnie bowiem między swoimi wychowankami nie spotkał może jeszcze żadnego, któryby przychodził doń z tak bliskimi jego poczynaniom zamierzeniami, jak właśnie przychodził Ks. Markiewicz. Wszak to wszystko, co u Ks. Markiewicza było dotąd marzeniem, św. Jan Bosko wcielał właśnie w czyn. To też ten wielki sługa Boży, wysłuchując opowiadania Ks. Bronisława o owem widzeniu tajemniczego młodziana, zapowiedzi wielkiej wojny i konieczności przygotowań na odbudowę wolnej Ojczyzny, widział w tym kapłanie tego, który jego dzieło miał żywo przenieść do Polski. Dopuszczał go przeto najbliżej do swej osoby i darzył tak wielkiem zaufaniem, że wyręczał się nim w bardzo wielu rzeczach, chcąc go w ten sposób jak najwięcej wtajemniczyć w sprawy swego dzieła.

W Zgromadzeniu św. Jana Bosko, nazywanem Zgromadzeniem Księży Salezjanów, dlatego, że jego założyciel oddał je pod opiekę św. Franciszka Salezego, którego znowu jeszcze w roku 1868, Ks. Bronisław obrał sobie za gwiazdę przewodnią w życiu kapłańskim, przebył ten świątobliwy kapłan lat siedm. Zapoznając się coraz głębiej z umiejętnością wychowania bezdomnej młodzieży, gorliwie też korzystał ze zakonnego porządku życia i pilnie kształcił się w doskonałości ducha chrześcijańskiego.

Słyszając raz z ust św. Jana Bosko zdanie, że Salezjanie, wychowujący ubogą młodzież w pracy, powinni też zastosowywać w tem wychowaniu jak największą powściągliwość, a dla dobrego przykładu sami żywić się tylko tem, czem się żywi okoliczne włościanstwo, zaczął od tej chwili Ks. Bronisław uprawiać jak największą surowość życia i oddawać się różnym umartwieniom.

I to umartwienie widocznie dopełniało w nim tej miary doskonałości, w jakiej trwał dotąd od początku życia, tak da-

lece, że mógł, wtedy pisać do przyjaciół w kraju: »Módlcie się za mną, abym został świętym«... To co było właściwem przeznaczeniem jego żywota, pragnął wykonywać już jako »święty«...

Do tego czynu było mu jednak spieszo. Nieustannie bowiem trawił go niepokój, że zapowiadany przez Archanioła przełom czasów już się zbliża. Trzeba więc było działać spiesznie.

Powróciwszy z początkiem 1892 r. do kraju i zwierywszy się ze swych zamierzeń przed swymi najlepszymi przyjaciółmi i równie jak on świątobliwymi kapłanami ks. Prof. Stanisławem Spisem i O. Henrykiem Jackowskim T. J. za ich poradą przyjął stanowisko proboszcza we wiosce, nazwanej Miejsce, aby tam poświęcić się wychowaniu bezdomnej młodzieży...

Było to w słotny i zimny dzień marcowy. Błotnistą drogą wiodącą z Krosna do Miejsca jechał na ubogim wózku, zamyślony Ks. Bronisław Markiewicz na objęcie nowego stanowiska, naznaczonego mu przez władze. Gdy już dojeżdżał do wioski ujrzał na drodze bose, zziębnięte i zapłakane chłopczątko otulone w strzępy brudnych łachmanów...

Nowy znak Boży!... Ks. Bronisław kazał zatrzymać wóz. Od biednego chłopczyny dowiedział się tyle, że się nazywa Jędrus, że nie ma ani mamy ani taty i że jest bardzo głodny...

Serce świątobliwego kapłana zadrgało radośnie. Oto sam Bóg spieszy mu z pomocą i żywo podaje mu do rąk przedmiot właściwego czynu jego życia... Nie namyślając się wcale zabiera Ks. Bronisław płaczącego Jędrusia i wiezie go z sobą na plebanję...

Taki był początek wielkiego dzieła stworzenia Zakładów Wychowawczych dla opuszczonej dziatwy w Miejscu, które Ks. Markiewicz nazwał »Miejscem Piastowem«. Już samo przydanie przez niego do dawnej nazwy wioski »Miejsce«, dopełnienia »Piastowe«, — dowodzi ciągłości tej jednej myśli, w jakiej Ks. Bronisław wszystko czynił. Oto, przytulając do siebie na swej ubogiej plebanji biednego Jędrusia, a w parę dni później jakiegoś Antosia, to znów Jasia, Wawrzusia, Józia, Władzia, Walusia i dziesiątki innych, budował tę nową Polskę, która miała przyjść tak, jak starą budował Piast kołodziej, ojciec Bolesławów Chrobrych, Władysławów Niezłomnych i Kazimierzów Wielkich...

Słusznie atoli powiedziano, że tylko przez Świętych odkwita Kościół i przez Świętych tylko odkwitnąć mogą narody. Gdy się patrzy na dzieło Ks. Bronisława Markiewicza w jego dzisiejszym stanie i widzi te wielkie zabudowania, mieszczące w sobie domy mieszkalne, warsztaty, drukarnie, budynki gospodarcze i to już nie tylko w samem Miejscu Piastowem pod Krosnem, ale także w wielu innych miejscach, gdy się zważy nadto, że w tych zakładach wychowuje się przeszło osmset sierót, które trzeba żywić, okrywać i uczyć, i gdy się przytem uprzytomni, że to wszystko stworzył i na przyszłość zaopatrzył ten kapłan, który na ubogie probostwo przybył tylko z torbą podróżną w rękę i z biednym Jędrusiem u boku, wtedy w myśl owego powiedzenia musi się rzec: »Zaiste, ten kapłan był Świętym«.

Tylko Święty bowiem potrafi naśladować Stwórcę i tworzyć rzecz »z niczego«; Święty tylko może czynić tak, jak czyni Opatrzność, która żywi ptaki niebieskie i odziewa lilje polne, bo Święty tylko mocen jest doprosić się u Boga łaski cudu...

Prawdziwa Świętość | jednak | najwyraziściej | ujawnia | się zawsze w czasie próby.

Ks. Bronisław Markiewicz przechowywał początkowo swoje sieroty na plebanji. Skoro atoli zastęp ich co dnia wzrastał, trzeba było pomyśleć o zbudowaniu osobnego schroniska. Mozolną pracą w polu, w ogrodzie i w pasiece, którą poza swojemi obowiązkami kapłańskimi, wraz ze swymi małymi wychowankami co dnia pilnie wykonywał, dorobił się ten świątobliwy sługa Boży wkrótce już tyle, że zdołał kupić kawał ziemi i postawić duży drewniany dom.

Ledwie atoli zdołał się w tem nowem domostwie zagospodarzyć, przyszedł nań ciężki dopust Boży... Dom spłonął doszczętnie...

»Bóg dał, Bóg wziął, niechaj będzie imię Jego błogosławione«! — powtórzył z rzewnym uśmiechem za św. Jobem wielkoduszny kapłan — i ująwszy w ręce łopatę, wkrótce przy pomocy swoich malców dorobił się znowu tyle, że w miejsce spalonego schroniska drewnianego, postawił okazały budynek z cegły...

I tem właśnie rosło dzieło Ks. Bronisława Markiewicza, aż urosło do takich rozmiarów, że zdołało w sobie pomieścić

setki młodzieży, uczącej się początkowo w szkole tego wszystkiego, czego potrzeba każdemu człowiekowi, a następnie według uzdolnienia, pobierającej wyższe nauki, lub też ćwiczącą się w odpowiednim rzemiośle.

Do prowadzenia takiego zakładu nie wystarczały już jednak siły jednego kapłana, pochylonego wiekiem i osłabionego wytężoną pracą całego życia.

W tym celu zakłada Ks. Bronisław Markiewicz nowe zgromadzenie kapłanów i braci, których powołaniem ma być wychowanie opuszczonej młodzieży i nazywa je »Zgromadzeniem św. Michała Archanioła«...

Widzenie skrzydlatego Archanioła na ulicach Przemyśla z lat młodości nie znika nigdy z oczu świątobliwego kapłana i jego znamieniem pieczętuje każdy szczegół swojego dzieła. A czyni to tem więcej dlatego, że czuje zbliżający się kres życia i pragnie, aby ci, których rękę powierzy swe dzieło, szli pod znakiem zwycięskiego Archanioła, obwołującego się hasłem: »I któż, jak Bóg«, tak wytrwale przez życie, jak wytrwale on sam szedł za nim...

Przyszedł rok, 1912, i dzień 29 stycznia, święto osobliwego patrona Ks. Bronisława Markiewicza, Franciszka Salezego. Dokoła łoża umierającego Ks. Bronisława zebrali się jego duchowni synowie kapłani i garść sierót... Zaczynało dnieć... Na dworze huczała wichura, a straszna zamieć śnieżna zasypywała świat... Wybiła już godzina dziewięta, a burza wciąż się wzmaczała i mrok zalegał dokoła... Ks. Bronisław cichutko z imieniem Jezus na ustach dogorywał... Wtem nagle rozdarło się niebo i potok słonecznego światła spłynął jasną topielą na ziemię... W tej chwili świątobliwy kapłan oddał Bogu swą duszę, która po tej słonecznej topieli poszła na wieczne odpoczywanie do nieba...

Wśród burzy szalejącego żywiołu odchodził z tego świata ten, który zapowiadał burzę szalejącej wojny, na dwa lata przed jej wybuchem. Nie było przeznaczonem, aby w łunie wojennej pozogi, stanął jak Archanioł i żywym głosem krzepił wątlejące serca...

Pomimo to jednak takim Archaniołem pozostał w pamięci ludzkiej. Oto na parę tygodni przed śmiercią pisał drżącą ręką:

«W górę serca Polacy! Oto! nadchodzi chwila ostatniej próby naszej, oraz straszliwego pohańbienia wrogów naszych. Oto teraz dokona się na nich straszliwa chłosta Boża, tak zwana w piśmie św., chłosta w zupełności grzechów... Walczyć będą na ziemi i na morzu, orężem niesłychanie morderczym, odniosą nawet zwycięstwa, ale zwycięstwa takie, jakie odniósł Pyrrhus, który zatracił wojska swoje... Po kilku latach dziękowego szału wojny reszta ocalonych od śmierci oglądnie się i ujrzy ze zdumieniem naród polski, żyjący twardo, a w zgodzie bratniej i przyjaźni Bożej i zaczną nam zazdrościć stanu naszego i rzekną:

»Wszak to naród, co przez wieki był przedmurzem naszym przed nawałą barbarzyństwa z północy. To przedmurze upadło, a nas zalało barbarzyństwo. Postawmy je znowu, bo to nasz obowiązek i nasza korzyść!«...

Tak prorokują tylko Święci, natchnieni Duchem Św. Wszak to proroctwo najdokładniej już się ziściło. Wrogowie Polski pożarli się wzajem, a narody, pomne jej dawnych zasług, pomogły jej powstać wolnej.

Jeszcze jednak w r. 1898 mówił ten natchniony kapłan do jednego ze swoich uczniów: »Na pierwszej wojnie nie skończy się jeszcze nieszczęście ludzkie. Koniec jego nastąpi dopiero wtedy, gdy wszystkie narody uznają się za braci, a wolność Polski będzie całkowicie ubezpieczona«. Wtedy różne narody wyciągną ku nam ręce i wołać będą: »Dajcie nam mistrzów, a nauczcie nas, jak żyć na ziemi szczęśliwie, podobnie wam«..

Ta część zapowiedzi ma się dopiero spełnić tak, jak się spełniła tamta.

I tak jak na spełnienie się tamtej części zapowiedzi o wielkiej wojnie świątobliwy sługa Boży przygotowywał sierocińce, tak znów na spełnienie się tego, że mamy przodować światu, zostawia nam ten natchniony kapłan w spuściźnie swego wielkiego ducha w tych sierocińcach setki ubogiej młodzieży, z której mają wyrósć owi mistrze, uczący świat szczęśliwego życia i każe każdemu kto jeno polskie serce w sobie czuje iść temu sieroctwu z ofiarną pomocą.

Z wypracowania uczenicy IV klasy:

„Bohater powieści był z magnackiego rodu, przez jego żyły przepływało szesnastu przodków“.

Jak Ks. Markiewicz budował Zakład.

Miejsce Piastowe to wieś w województwie lwowskim, w pow. krośnieńskim. Najbliższą stacją kolejową jest Iwonicz. W pobliżu są dwa źródła leczniczo-kąpielowe Iwonicz i Rymanów, stąd ruch kolejowy na tej linii szczególnie ożywiony, zwłaszcza w miesiącach sezonowych. Dawniej gościńcem przez Miejsce



Stara plebanja w Miejscu Piastowem.

Piastowe — Duklę — Barwinek wiódł trakt kołowy do Węgier, których granica oddalona była o 29 kilometrów. Wioska to mała, położona na skrzyżowaniu dróg Jasło—Sanok i Przemyśl — Dukla, w okolicy pięknej, zdrowej, silnie pagórkowatej.

W tej to wiosce Ks. Bronisław Markiewicz jako proboszcz osiadł w marcu 1892 roku. Obejmował parafję z gotowym planem pracy wychowawczej nad opuszczonymi sierotami, której wzór jaśniejący widział w działalności św. Jana Bosko w Turynie, gdzie bawił kilka lat.

Już w drodze — jadąc do swej parafji — przygarnął pierw-

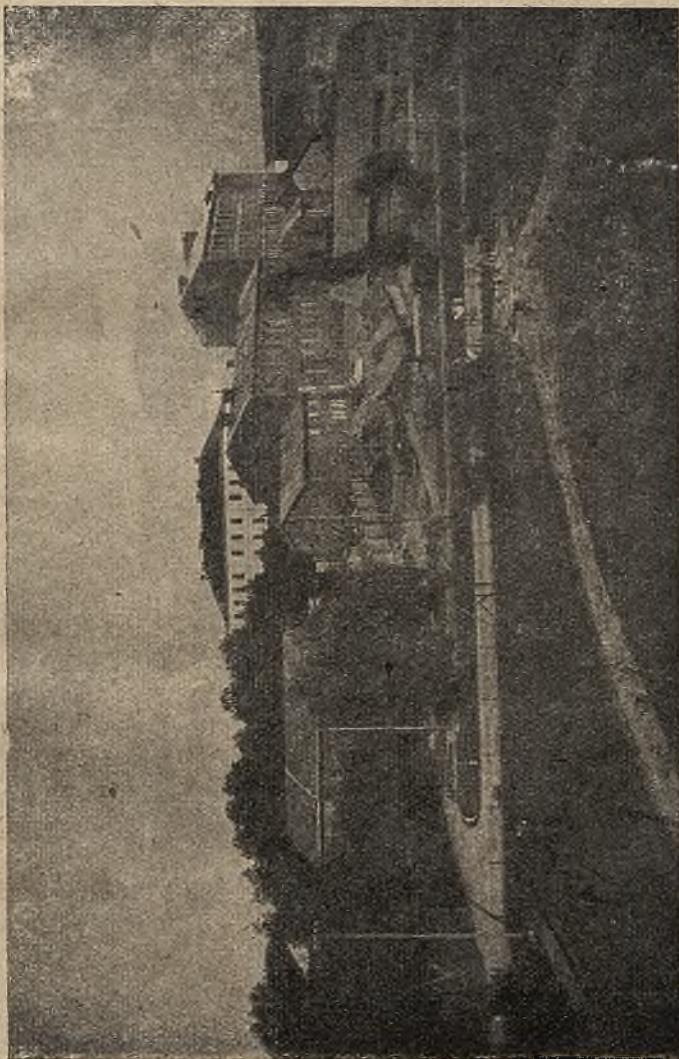
szego znalezionej i opuszczonej sierotę Jędrusia i tem dał początek swojemu Zakładowi. Pierwszym zakładem była plebanja. Szczęśliwy traf złożył, że Ks. Markiewicz miał do dyspozycji dwie plebanje — nową i starą. Nędzna wprawdzie była ta stara plebanja, trzeba było dach naprawiać, drzwi łątać, ściany podierać, nic dziwnego. Wieś mała, ludność uboga — do budowy nowej plebanji przystąpiła dopiero wtedy, gdy już stara była całkowicie zrujnowaną. Ale jeszcze stała.



Nowa plebanja w Miejscu Piastowem.

Dziwiła się ludność okoliczna, dziwili sąsiedzi, że nowemu proboszczowi tak bardzo zależy na starej plebanji, zrujnowanej spleśniałej ruderze, ale wkrótce czemu innemu poczęli się dziwić. Oto różnemi drogami — nierzadko i miedzami, jak do cudownego lekarza, poczęły tu zdązać chłopięta po jednym, po dwóch a wszystko pytało o Ks. Markiewicza. Dziwne to były typy. Małe i większe, bose i bez czapek, z węzełkiem lub bez, każdy odziany „w co ta miał“. Wydeptywali ścieżki i szli jak do mickiewiczowskiej stolicy króla lwa — gdzie każdy wchodził, a nikt nie wychodził.

Patrzyła ludność zdziwiona — a tu co dzień nowe twarze, nowe figurki. W kościółku codziennie większa gromadka. Zapełniła się plebanja nowa i stara, i wkrótce począł Ks. Markiewicz do-

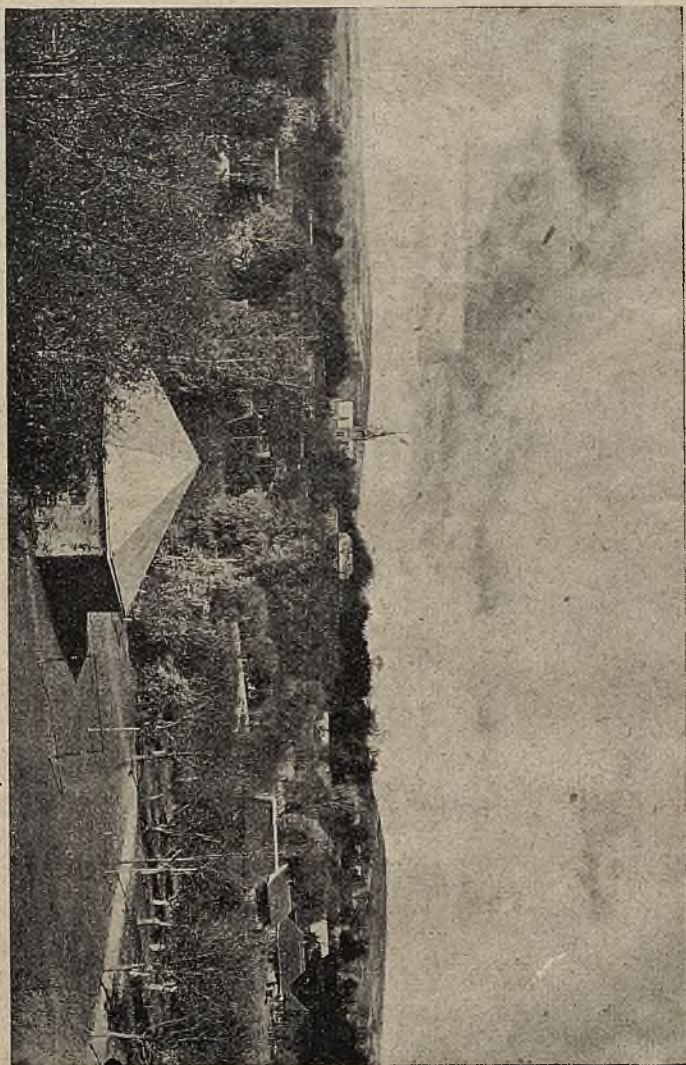


Widok ogólny Zakładu Wychowawczego.

pytywać się strapiony, czyby tu jeszcze jakiej chałupy wolnej nie znalazł. Jakoż i znalazła się stara, obok stojąca, poczciwa a wysłużona już sumiennie t. zw. „Jakubówka“.

Wkrótce i ona już była pełna.

Nie koniec był dziwom. Przybysz wchodzący do plebanji, patrzył zdumiony, jak te chłopaki plebańskie, osiadłszy na łasce



Widok ogólny Miejsca Piastowego.

księdza, rządziły się tu, jak szara gęś. Jeden większy i zapewne mądrzejszy dzwonił kluciami jak klucznica we dworze — wziął w posiadanie całą spiżarnię. Inny warzył przy kuchni, inny zaś piekł chleb — a gdy przypadkiem kto trafił w czas obiadowy,

ujrzał zdziwiony, jak otoczony gromadką swoich chłopców siedział w pośrodku Ks. Proboszcz, tę samą ubogą pożywając strawę.

Tak począł się Zakład Ks. Markiewicza. Wielu przybywało tu boso — w stroju łątanem albo i niełątanem, tak, że potrzeba było niejednemu nagwałt ratować to skromne odziewadło, aby jeszcze czas jakiś przetrwało. Opłaci to się do tego najmować krawca? Krawiecby się uśmieł z takiej łątaniny. Łatwiej



Aleja wjazdowa.

tu kupić igły i nici, a choćby i starą maszynę — w ten sposób powstał pierwszy warsztat krawiecki.

Podobnie było i z butami. „Proletariusz siadł na koni i w ten sposób powstała kawalerja bolszewicka“. — Tak chwalił się Trocki w okresie triumfów jazdy Budiennego — tutaj chłopak wziął za igłę i tak powstały warsztaty szewski i krawiecki w Zakładzie w Miejscu Piastowem.

Tak się to niby mówi — ale tak całkiem znów proste to nie było. Trzeba było jakiegoś majstra, nauczyciela — bo chociaż Ks. Markiewicz dużo umiał, ale w szewstwie i krawiectwie tak

bardzo przekonywająco nie celował. Ale Pan Bóg ze swej strony o tem myślał. Po dniach niewiele zmienił się obraz. Prócz chłopaków małych, zmierzających wciąż dobrze już wydeptaną ścieżką, poczęli tu zmierzać i inni. Młodzieńce i męże poważne — osoby fachowe i użyteczne. Jeden legitymował się jako krawiec, inny szewc, inny znów stolarz, inny zaś introligator. Ks. Markiewicz witał ich z uśmiechem, jakby na nich czekał uprzedzony przez Boga o ich przybyciu. Sadzał przy stole obok siebie i zażenowanym



Zakład w zimie.

tem ubóstwem, które tu widzieli, wyjaśniał poważnie i spokojnie, że maluczko maluczko, a tu będzie Zakład, warsztaty, maszyny, setki chłopców, nauczycieli, majstrów — dzieło na całą Polskę, Polskę wyraźnie — nie Galicję, ba i na cały świat. A tu jakby umyślnie przybywali do Ks. Markiewicza ze Śląska, z Poznańskiego, z Prus wschodnich i zachodnich, z Królestwa, Litwy, Ukrainy, Podlasia cała Polska — wszystkie gwary i narzecza, zwyczaje i stroje.

Wkrótce potem w piwnicy plebańskiej ustawiono warsztat, śrubsztak, miech kowalski, znalazło się parę młotków i siekiera i tak powstał warsztat kowalski. Gdzieindziej podobnie

egzotyczne ustawiono maszyny i „stał się warsztat stolarski. W innej zaś ubikacji na strychu, inszy znów pan przyniósł krzywy nóż i garść wiklin i powstał warsztat koszykarski. Wszystkie miały co robić — bo młodzieży już było do setki niedaleko, a trzeba było to wszystko wyżywić, ubrać i utrzymać szkołę. Tutaj to majstry i kierownicy znalazły pole do popisu. Różne ślązaki, poznaniaki, lwowianie i podlasianie — wzięli się za bary w potężnem współzawodnicwie, kto da więcej? Oczywiście



Dom warsztatowy wieczorem.

dochodu. Żaden dużo nie dał, bo nie było z czego, nie było narzędzi — ale co dali, to dali i jakaś pomoc była...

Z tem tylko bieda, że wkrótce miejsca brakło na te warsztaty i dla chłopców. Zajęli wszystkie strychy i piwnice — a na ścieżkach udeptanych wciąż się roi. Przychodzą już zdalsza, nierzadko jaki ksiądz lub magistrat kogo przyśle, a tu przepłnienie beznadziejne.

Coraz częściej wychodził Ks. Markiewicz przez podwórze plebańskie, obok stodoły i stawku na wschodnią część wsi, patrzył tam i dumał. Wreszcie pewnego dnia „po konferenc” z wła-

ścicielem tych pól p. Janem Trzeciekim — wezwał swoich chłopaków na pola i kazał im kopać. Stanęli do roboty szewcy i krawcy, stolarze i ślusarze, przywiódł swoją gromadkę koszykarz i introligator — przybyło paru murarzy na pomoc i w r. 1897 stanął nowy, duży dom drewniany na wysokim podmurowaniu, obliczany na 100 wychowanków, i oczom zdziwionej Polski całej ukazał się Zakład Ks. Markiewicza... Póki się to gnieździło w plebanjach i w Jakukówce wydawało się, że to



Sport saneczkowy.

niby nic, ale jak stanął dom okazały — zobaczono dzieło potężne.

Już się znalazły i urządzenia warsztatowe i szkolne, — teatr i orkiestra. A Książdz Markiewicz uśmiechnięty i spokojny dalej rozważał i medytował.

W nowym domu popłynęło życie rozgłośne i bujne. Stukały młoty, warczały maszyny, nierzadko po korytarzach rozlegał się gwar i pisk, to znów zapanowała cisza — a wszystko regulował dzwonek, obsługiwany przez małego bystrego chłopaczka, który tę funkcję spełniał z powagą i namaszczeniem, z przekonaniem, że od niego wiele zależy.

Już teraz nie musiał Ks. Założyciel być sam Dyrektorem i nauczycielem i guwernerem i majstrem i mistrzem i pomocnikiem. Miał obok siebie gromadkę swoich pomocników fachowców, którym zlecił rządy, określił funkcje i sposób ich sprawowania. A więc na czele domu stanął Dyrektor, nie ksiądz, ale pan Dyrektor. Sam Założyciel został Rektorem. Tak go nazwano.

Dyrektor objął kasę i całą reprezentację nazewnątrz. Jak p. Zagłoba stworzył sobie kancelarję, w której sam pisał i sam



Na stawku.

pieczętował. Przyjmował chłopców, zamawiał i kupował, sprzedawał, gromadził, pisał rachunki, upomnienia, prośby i podania, jak prawdziwy dyrektor. Do pomocy Dyrektora stanął czujny i ochoczy prefekt. Ten przejął zarząd spraw wewnętrznych — funkcję marszałkowską i podkomorską. Ten opatrywał skrętnie czy są braki w dumu, w kuchni i spiżarni, czy wodociąg działa, czy piec nie kurzy, czy szyby w całości — czy chłopcy mają całe buty i ubrania. On nagradzał i karał, w domu pilnował porządku — pomagał i zastępował Dyrektora.

Była to praca nie mała, bo musiał być wszędzie, mieć po dziesięć par oczu i uszu, na zmianę ręce i nogi. Bo tak zarzą-

dził i kazał Ks. Założyciel, aby w domu rządono się systemem uprzedzającym. To znaczy, aby nie czekać, aż chłopiec coś zbroi — a który chłopak nie broi — a potem go ciągnąć za fryzurę i tłumaczyć aby tego nie robił, tylko nie dać mu zbroić. Być przy nim wszędzie. Razem się bawić, razem pracować i odpoczywać, nad wszystkim czuwać. Niełatwo tego dokonać, bo przecież do zajęć chłopcy rozchodzili się w dziesiątki miejsc. Jedni do warsztatów, inni do kuchni, do pola, ogrodów, na podwórze — jak tu wszędzie być i wszystko upilnować.



Nad stawkiem.

Otóż do tego Ks. Założyciel powołał specjalnych, t. zw. asystentów, starszych młodzieńców, najczęściej z wychowanków, którzy później sami stali się pomocnikami w pracy wychowawczej i nauczycielami. Jeden zpośród nich, starszy asystent był prawą ręką prefekta. Wyznaczał zajęcia i dysponował chłopcami, inni mieli bardziej określony zakres działalności, ale też byli do specjalnych poruczeń.

Był pewien cenzus, który trzeba było opanować, aby być pasowanym na asystenta. Ks. Założyciel pomimo skromności środ-

ków, miał obszerny plan nauczania i wychowania. Umiał wzbudzać w wychowankach ambicję. Sam pierwszorzędny pedagog i człowiek bardzo wykształcony, silny nacisk kładł zawsze na umiejętność uczenia się bez cudzej pomocy. Wiedział, że na początek musi sobie ludzi urobić tylko w ten sposób, bo nie miał za co posyłać ich do szkół. Więc się uczyło bractwo z różnych podręczników starych i nowych, jak się trafiło, wspólnie sobie pomagając i wzajemnie się prześcigując. Naukę zaczynali starsi już wiekiem chłopcy — bo kto ich miał przedtem uczyć,



Zakład i kaplica od str. północnej.

ale zapamiętał naderbiał braki. Otóż ci starsi wychowankowie, którzy już opanowali pewien stopień wiedzy, stawali się asystentami. Były między nimi mądre głowy — dzisiaj mają po parę doktoratów, są księżmi, profesorami, urzędnikami, oficerami. A wówczas nierzadko, kopiąc z chłopcami kartofle, skandowali bukoliki Wirgiljusza albo pieśni Horacego — lub wreszcie Odysseę Homera. — Dojrzewały samorodne talenta. Bywało, że chłopak który parę miesięcy pełnił rolę furmana — oddawszy później bat i lejce w ręce swego następcy — zakładał cwikiery, czy okulary i mówił jak profesor. Widząc go lekko tłumaczącego Liwijusza gra-

jącego biegle na fortepianie, była taka stara machina — niktby nie uwierzył, że tenci to jest, który wczoraj jeszcze jeździł jako furman z prefektem na jarmark, ale już wówczas brał na drogę do kieszeni Mickiewicza lub Krasickiego, aby mu się nie nudziło.

W swoim zakresie i chłopcy warsztatowi dokazywali cudów. Roboty kunsztowne i artystyczne, wykonane słabemi stosunkowo środkami, ale z ogromną pomysłowością, przytem rysunki



Kaplica — widok od str. południowej.

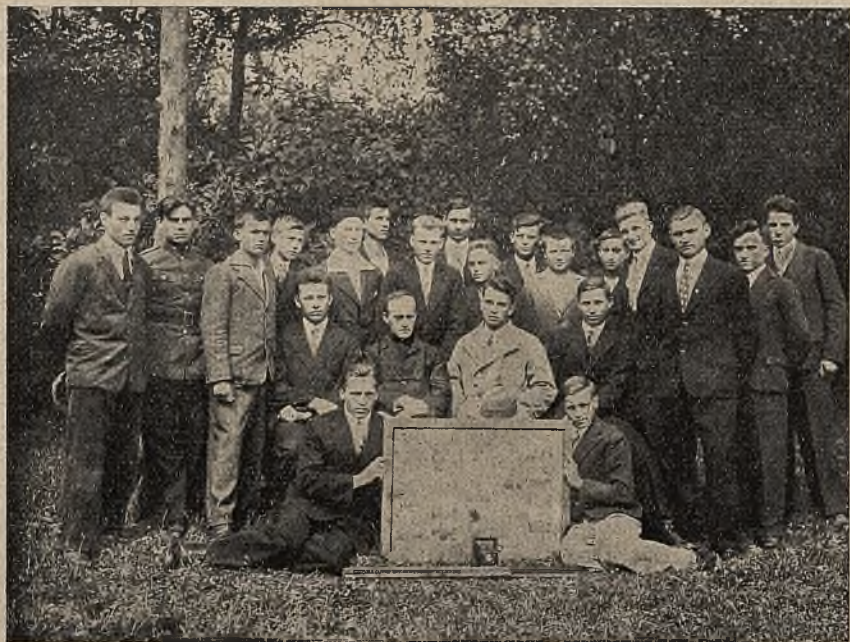
techniczne, do których niejednen student politechniki chętnieby się przyznał, do dzisiaj są pięknym objawem, że wówczas w Zakładzie był rozmach i zapał na każdym polu.

Stworzyło się swoje własne życie Zakładowe tak odrębne od innych — jakby niepodległa, od nikogo niezależna Rzeczpospolita Polska. Ks. Markiewicz był ojcem i jedynym prawodawcą swojej gromadki. Na każdym polu kwitło życie narodowe i patriotyczne.

Już w pismach swoich Założyciel objawiał światu wieszczce przeczucia przyszłych losów Polski i Europy. To, co czytamy

w redagowanych przez Niego zeszytach Powściągliwości i Pracy w Boju bezkrwawym — to drobna cząstka tego, co miał do powiedzenia i co głosił swoim najbliższym.

Gorący patriota — chętniej patrzył w przyszłość niż w przeszłość naszych dziejów. We wszystkich budził szlachetną dumę narodową — uczył kochać swój naród, niesplamiony w dziejach żadną niesprawiedliwością, a mający do spełnienia wielką misję ideową. W okresie największego natężenia zbrojeń — wśród



Kurs fotograficzny w Zakładzie.

miljonowych armij butnych trzech zaborców, z uśmiechem nadziemskim mówił, że to się wszystko rozleci, że Polska powstanie wielka i potężna, że przyszłość do nas należy. Wypadki przyszłych wojen widział jak na dłoni. Nieraz wieczorem otoczony gromadką dzieci — patrzył na południowe pasmo wzgórz — w stronę Dukli i mówił:

— O, tędy pójda Rosjanie na Duklę na Węgry, — poczem wyjaśniał — tu będzie wojna, naokoło was będą kule padały, będą szły ogromne armje, ale wam się nic nie stanie. Ale po tej wojnie powstanie Polska. — I w duszach słuchaczy zebranych

z Galicji, Poznańskiego, Królestwa, Litwy i Śląska budził się jakiś ogromny sentyment a zarazem i szacunek dla tej wieszczem przecuciem wymarzonej Polski nadchodzącej.

Dzieciska, jak dzieciska — słuchały zadumane — trochę pomarzyły, ale później żwawo wyciągały z tego konkretne wnioski. Ma być wojna, a po wojnie Polska, a więc jazda gotować się do wojny — i rozpoczęły się manewry. Znalazły się mundury, czaka, pałasze, gwery, a nawet i armaty, dziwną sztuką przez kowali ukute, nierzadko wyciągano ze stajni chabetę dla dowódcy i wojna wrzała zacięta.

Prefekt ręce załamywał, asystenci biegali i krzyczeli, ale kto potrafi opanować żywioł, jakim jest wojna. Wojna to „czteryjędźcy Apokalipsy“ a na takich mocarzy niema rady.

Zresztą — jak to dość sprytnie wybadano — prefekt ręce łamał, nie tyle z tego powodu, że miał coś zasadniczego przeciw wojnie, ale drażniła go niezdarna taktyka obu dowódców, więcej wrzasku jak strategii, jak mawiał, a asystenci, sami chcieli wziąć udział w tej narodowej wojnie, ale ich nie zaproszono. Ale oczywiście porozumiano się rychło. Potężne umysły zawsze spłyną do jednego strumienia. Skończyło się na tem, że w następnych manewrach brali już udział wszyscy wraz z Prefektem i asystentami, a Dyrektor skwapliwie kazał sobie dostarczać raportów z przebiegu akcji.

Tak się gotowano do wojny u nas, zanim jeszcze p. Marszałek Piłsudski zaczął formować strzelca.

Dom rósł i pęczniał — dziw, że się ściany nie rozepchały. Udeptane ścieżki zmieniły się już w dobrze ubite szlaki — do dyrekcji już szły nie wędrownie bezdomne ptaszyny, ale urzędową kurjerską drogą poczęły płynąć podania uroczyste i urzędowe o przyjęcia — Prawdziwe podania ze świadectwem ubóstwa zdrowia i pilności — znów miejsca brakło.

A więc w r. 1898 gdzieś w maju Ks. Założyciel znów wyprowadził swoją gromadkę na ustronne miejsce trochę wyżej — uderzył laską w ziemię i kazał kopać. Parę murarzy przyszło do pomocy i cieślów niewielu i na grudzień stanął gmach, zamczyisko — pałac okazały. Dom dwupiętrowy cały murowany od suferen do poddasza o sklepionych kurytarzach — szerokich kamiennych schodach — weneckich oknach — kalowych piecach — luksus, komfort, zbytek — cud prawdziwy. W dzień świecił bielą wyniosłych murów, w nocy na całą okolicę błyszczał setką oświetlonych okien, jak drapacz chmur. Wokoło domu podrastał już sad

owocowy, miejscami jesiony, cieniste kasztany i lipy rozłożyste. Pustka doniedawna, zmieniła się w czarodziejski ludny ogród, na którym wrzała praca ochocza a rozgłośna.

Tak było do 1903 r. Postęp i rozwój na każdym polu. W nowym gmachu zbudowano stałą scenę — przedstawienia zakładowe ilustrowane doskonałą grą orkiestry stały się głośne na całą okolicę.

O dziele Księdza Markiewicza popłynęła wieść na całą monarchję austrjacko-węgierską, zainteresowali się niem dygnitarze we Lwowie i Wiedniu. Ważniejszym dla Ks. Założyciela było to jednakże, że usłyszała o niem cała Polska i wkrótce prawie trzecia część wychowanków to byli już Polacy z pod berła carskiego i pruskiego. Zakład liczył już dwustu wychowanków — ale, że zgłoszeń o przyjęcie było wciąż dużo — rozejrzał się Ks. Założyciel za drugą placówką. Miejsce Pan Bóg sobie sam opatrzył. Ks. Założyciel zawołał jednego ze swojej starej gwardji, dał mu kilku pomocników, a opatrzywszy błogosławięństwem na drogę, wysłał aż pod Kraków do Pawlikowic — aby wiernie powtórzył to samo, co widział na początku w Miejscu Piastowem, czyli innemi słowy — otworzył w Pawlikowicach zakład. I stało się tak.

Niezmordowaną działalnością swoją ks. Założyciel zadziwiał obecnych. Obowiązki kapłańskie pełnił w parafji i w Zakładzie. Prócz tego pisał książki, artykuły — redagował gazetę „Powściągliwość i Praca“, codziennie miewał przemówienia i nauki. Interesował się wszystkimi szczegółami życia zakładowego. Znał wszystkich chłopców — ich potrzeby, charaktery, zalety i wady. Zyskał sobie grono sympatyków i współpracowników, dobrodziejów i ofiarodawców. Tak silne podstawy założył pod swoje dzieło, że chociaż później przyszła klęska pożaru, która zniszczyła pierwszy gmach — kolebkę Zakładu i wiele innych ciosów — choć wreszcie sam Założyciel umarł, i wojna przeszła ponad Zakładem i różne klęski i kryzysy, to jednak on przetrwał wszystko i przetrwa szczęśliwie — bo zbudowany jest na silnym gruncie — na bezinteresownej miłości bliźniego.

Jest jeszcze dużo ludzi w Miejscu Piastowem, którzy opowiadają o tem, jak to w rozmokły marcowy dzień przyjechał do Miejsca Piastowego nowy proboszcz ze znalezionym na drodze chłopczykiem, jak to do niego zbiegały się dzieci sieroty z całej okolicy, jak tenże kapłan mając 60 koron w kieszeni, rozpoczął budować dom obliczony na 200.000 koron i jak wreszcie było szczere puste pole na miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się kompleks budynków zakładowych z piękną orzechową aleją.

Historje Pawlikowickie.

W roku 1903 Ks. Bronisław Markiewicz powziął myśl nabycia Pawlikowic (w powiecie wielickim) na własność i założenia temże zakładu wychowawczego na wzór takiegoż zakładu w Miejscu Piastowem.

Zakład w Miejscu Piastowem był podówczas w najwyższym stopniu przepełniony, a zgłoszenia o przyjęcie napływały codziennie.

Złożyło się tak, że właśnie kompleks gruntów i budynków w Pawlikowicach był do nabycia. W tym samym czasie wpłynęła do kasy Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem kwota 4.000 koron i w całości przeznaczoną została na przeprowadzenie pierwszych czynności kupna Pawlikowic. W lipcu 1903 został podpisany kontrakt, a dnia 2 sierpnia tegoż roku przybyło do Pawlikowic 30 wychowanków z Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem i objęło w posiadanie dworek pawlikowicki. Na czele tej gromadki był Jan Latusek, jako dyrektor nowego Zakładu, Franciszek Wawer, jako zastępca dyrektora, teolog Antoni Sobczak jako nauczyciel i katecheta. Drużyna ta przybywszy do Pawlikowic, z zapalem wzięła się do pracy.

Wieś Pawlikowice jest oddalona 3 klm. od Wieliczki. Wysokość ponad poziom morza wynosi tu 320 mtr. Dwór na wzgórzu malowniczo położony, z widokiem otwartym na daleką Babią Górę i na Tatry, ma obecnie 130 morgów ziemi. Dom mieszkalny otoczony pięknym czteromorgowym starym parkiem. O kilkaset kroków za zabudowaniami, na pochyłości łagodnie ku nim zwróconej, szumi na 17 morgach ośmdziesięcioletni las dębowy na dworskich gruntach.

Szematyzm diecezji krakowskiej podaje, że w Pawlikowicach istniał socynjański dom modlitwy, a do dziś dnia są tamże groby murowane, (lecz już zatarte) po całym parku; leżą w nich prochy możnych rodzin arjańskich w okolicy Wieliczki osiadłych, które żyły w błędach arjańskich 100 lat, od 1560 do 1660 roku.

Przez sześć lat ostatnich Pawlikowice były własnością powiatowej Kasy oszczędności w Wielicze. Instytucja ta, no-

sząc się ciągle z zamiarem sprzedania Pawlikowic, uchylała się od wszelkich inwestycji na poprawę budynków, co zresztą samo przez się jest zrozumiałem. Stan więc budynków był bardzo opłakany. Kompleks budynków składał się z kaplicy domowej, domu mieszkalnego, w którym, jak wieść głosi, miał znajdować się zbór arjański, oficyn, czyli budynku murowanego, w którym w jednej połowie pomieszczona była wozownia i stajnie, w drugiej zaś pustką stojącej połowie stała napół łockia cuchnąca



Dom Zakładu Wych. obok dawnego dworku w Pawlikowicach.

woda, pełna żab; wreszcie ze stajni nawpół rozwalonej i dwóch stodół. Dachy na wszystkich tych budynkach, prócz kaplicy, były podobne do tych, jakie czasem spotkać można na stajniach zajezdnych przy karczmach gdzieś w zapadłej górskiej okolicy. Ze 100 morgów ornego pola, zaledwo $\frac{1}{3}$ była nędznie obsiana, reszta leżała odłogiem, pokryta mniej lub więcej bujną trawą. Pomiedzy budynkami w ogrodzie warzywnym urósł prawdziwy las z pokrzyw i innego zielska. Pokrzywy dochodziły do $2\frac{1}{2}$ metra wysokości i nikt przez dłuższy czas nie zapuszczał się w tę gęstwinię. Drogi były porozrywane i zabagnione. Pierwszą

czynnością nowoprzybyłych było wyciąganie koni zapadłych w błoto na drodze zakładowej, na którą zabłądził właśnie jakiś obcy człowiek.

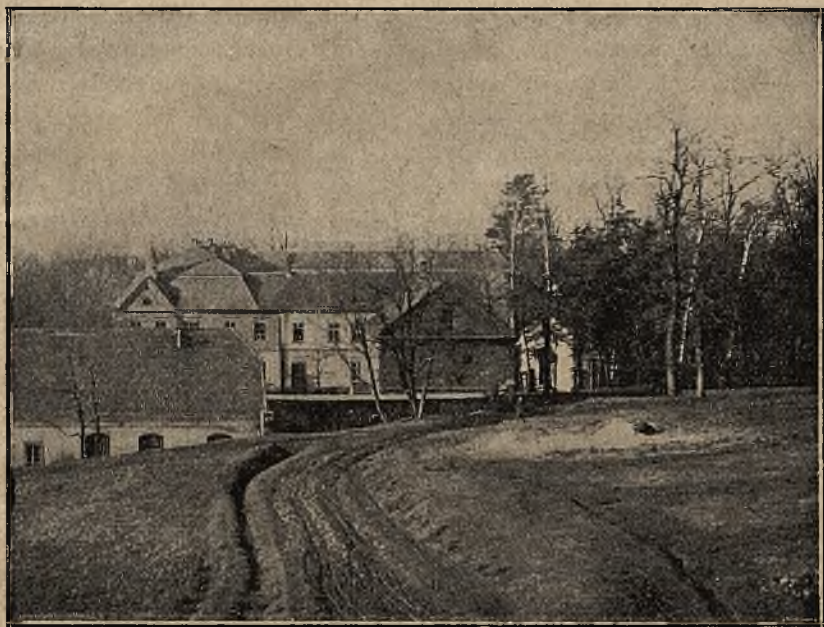
W tych więc pustych ścianach, pokrytych dziurawym dachem, rozpoczęło się życie zakładowe. Inwentarza nie było żadnego. Była tylko jedna krowina, lecz nie własna, tylko przyjęta na paszę. Po śniadaniu i rozglądnięciu się naprędce po nowej siedzibie, nazroszono siana do mieszkania, na którym po trudach całonocnej podróży wszyscy znaleźli się wnet w objęciach głębokiego snu. Gdy wszyscy spoczywali, dyrektor pojechał do Wieliczki, skąd powrócił z wozem dobrze wyładowanym. Już pod wieczór był garnek i do garnka co włożyć, były łyżki i miski, oraz trochę najpotrzebniejszych narzędzi, którymi tego samego jeszcze dnia jedni pousuwali grubą warstwę błota z przed domu, inni zajęci byli prowizorycznem urządzeniem mieszkania, kuchni, sypialni i t. p. Wieczorem po ukończeniu pracy pod dyrektywą starszego wychowanka rozbrzmiewały wesołe śpiewy i zabawy. — W taki sam sposób spędzano wszystkie inne wieczory wśród wesołych gwarów, śpiewu i zabawy, a niejeden w ciągu dnia chciał pilnością w pracy tak mile spędzany wieczór przyśpieszyć.

Po pacierzu wieczornym, przed udaniem się na spoczynek dyrektor, jak zwykle dzieje się w Zakładzie, miał krótką przemowę na temat o znaczeniu fundamentów pod budowę, wywodząc, że im głębszy i silniejszy będzie fundament, tem silniejszy i wspanialszy gmach na nim może stanąć. Chociaż fundament jest zakryty w ziemi i nikt go nie widzi, jednak on na sobie cały gmach trzyma — tak i my, chociażby nam przyszło całe życie spędzić w zapomnieniu i pracy, jaka przed nami w tej chwili się otwiera, mamy zbudować dom pożyteczny dla siebie i przyszłych pokoleń. Trzeba jednak być takim kamieniem węgielnym, o którym Pan Jezus powiedział: „Kamień, który odrzucili budujący, ten się stał głową węgła”. — Mat. XXI. 42. I my wyrzuceni niejako ze społeczeństwa, mamy stać się kamieniami węgielnymi w życiu i cnotach chrześcijańskich.

Przez dwa następne dni wszyscy w komplecie naprawiali drogę. Tymczasem przysposobiono najpotrzebniejsze narzędzia rzemieślnicze i materiał tak, iż w ciągu jednego tygodnia były już stoły i ławki, a na drugi tydzień i łóżka żelazne własnego wyrobu.

Pierwszym gościem, który odwiedził Zakład, był egzekutor, upomnieć się o należytość skarbową od kontraktu kupna, która wynosiła 2.900 kor. Niestety, cała ruchomość przedstawiała wartość zaledwie około 400 koron, więc nie było co egzekwować. U sąsiadów Zakładu było niedowierzanie, powiadali oni: „Jak se przyśli, tak se pójdą”.

Po prowizorycznem w najściślejszem słowa znaczeniu urządzeniu się w domu rozpoczęła się robota w polu. Chociaż to



Ogólny widok Zakładu Wychowawczego w Pawlikowicach.

już sierpień, a tu jeszcze pierwszy pokos siana na łąkach; z sianem jednak przy sprzyjającej pogodzie wnet się uprzątnięto. Trochę nędznego żyta, nędzniejszej jeszcze pszenicy i odrobinę owsa wnet zwieziono. Więcej roboty było z uprawą pod oziminy. Odłogiem leżąca ziemia nastroczała wiele mozolnej pracy, lecz zato pierwsze żniwa przyniosły plon przewyższający oczekiwanie.

Pierwszym wychowankiem, przyjętym tu do Zakładu, był Antoś, 12-letni chłopiec z Pawlikowic. Wychowanie u tego chłopczyny było w najwyższym stopniu zaniedbane. Umysł jego

był tak przytępiony, iż na najprostsze pytanie nie umiał odpowiedzieć i zdawało się, że ludzkiej nie rozumie mowy. Umiał tylko płakać, przyczem kładł się na ziemię, podnosząc ręce i nogi do góry. Był to jednak skarb w śmieciach zapomniany. Przez jedną zimę nauczył się pacierza, czytać i pisać; w pojmowaniu zasad religijnych okazał się bardzo pojętnym. Nurtująca w nim jednak choroba piersiowa rozwinęła się szybko i w rok po przybyciu do zakładu przeniósł się do wieczności. W czasie choroby, a osobliwie po zaopatrzeniu na drogę wieczności, wciąż i aż do ostatniego tchnienia odmawiał „Zdrowaś Marja”.

Zabudowania jak wspomniałem wyżej, znajdowały się wszystkie w opłakanym stanie, toteż z nastaniem wiosny zabrano się kolejną do naprawy, a względnie przebudowy tychże. Na pierwszy plan wysunęła się naprawa nawpół rozwalonej stajni. Wzmocniono ściany, przybudowano kilka metrów i pokryto ogniotrwałym dachem. Jeden z wychowanków, 17-letni Władzio, porobił w stajni żłoby betonowe, tak, iż w połowie lata można już było wprowadzić tam nieliczny dotychczas inwentarz. Następnie przebudowany został dom mieszkalny, w którym pomieszczono sypialnię dla całego zakładu. Funduszu na ten cel w kwocie 4.000 koron dostarczyła Pani Andrzejowa hr. Potocka, z zastrzeżeniem, iż znajdzie tu pomieszczenie pewna liczba dzieci, poleconych przez Stowarzyszenie „Rady Opiekuńczej” w Krakowie. Jeszcze tego samego lata postawiono murowaną cieplarnię. Murarzami byli sami ogrodnicy. W roku następnym wybudowany został nowy budynek, w którym mieści się na parterze warsztat stolarski, na piętrze spichlerz. Postawiono też osobny budynek murowany na pomieszczenie kuźni. W tym samym czasie wykonany został własnego pomysłu wodociąg, doprowadzający wodę rurami żelaznymi do kuchni, piekarni i stajni. Trudy i prace wnet się opłaciły sownicie. Zima następna, aczkolwiek z natury ciężka, już się nie dała we znaki; jedynie wskutek znacznego przyływu wychowanków w ciągu lata dokuczała jeszcze ciasnota w salach naukowych i pracowniach, a dla niektórych działów zupełnie brakło pomieszczenia.

W ciągu zimy przeto zapadło postanowienie dobudowania nowego domu, a na podstawie nabranego już doświadczenia co do własnych sił i zapału postanowiono wybudować dom ten własnymi siłami. Przemawiała zatem także i strona finansowa. Na rycinie (str. 55) obok starego domu parterowego widzimy

nowy dom piętrowy, wystawiony przez wychowanków Zakładu. Starsi pracowali kielnią, inni rozrabiali i donosili wapno i podawali cegłę. Najmłodszy z wychowanków 7-letni Kazio brał po jednej cegielce i donosił do budowy. Zato, gdy już dom stanął pod dachem, mógł sobie każdy powiedzieć: „postawiliśmy dom”. Fakt ten ma nie tylko znaczenie ekonomiczne i pedagogiczne, ale ma także znaczenie społeczne. Małoletni, bezdomni, mieszkańcy straganów i rozmaitych zaułków, ci, o których były poważne obawy, że mogą stać się ciężarem społeczeństwa, sami sobie dom postawili! Tak więc pozbierane ułamki społeczeństwa nie tylko niezginęły, lecz przyczyniły się do powstania społecznego, pożytecznego dzieła, z którego korzystać będą jeszcze tysiące ich następców. Ci sami, oprócz zajęcia przy budowie domu, pracowali jedni jako krawcy lub szewcy, robiąc ubranie lub obuwie dla całego Zakładu, inni jako stolarze lub ślusarze wykonywali roboty budowlane i umeblowanie dla Zakładu; inni wreszcie pracowali w polu i w ogrodzie, hodując zboże, ziemniaki i warzywa na potrzebę kuchni. Nikt więc nie był tu ciężarem Zakładu i społeczeństwa. Ofiary i składki, jakie społeczeństwo przysyłało do Zakładu, nigdy nie wystarczały na spłacenie rat i procentów, które wynoszą około 5.000 koron rocznie. Na sprawienie materiału budowlanego i na urządzenia zakładowe zaciągano coraz to nowe pożyczki, z tą błogą nadzieją, że może kiedyś nastaną lepsze czasy.

Przy końcu roku 1908 miał Zakład 138 wychowanków. Gospodarstwo i ogród prowadził wzorowo. W czterech warsztatach: stolarskim, ślusarskim, szewskim i krawieckim terminuje kilkudziesięciu starszych wychowanków.

Przyszły później ciężkie lata wojenne; zakład się konsolidował wewnątrz, utrwał swą egzystencję, wytwarzał własną tradycję, zdobywał uznanie i rozgłos. Rychło już doszedł do tego stopnia rozwoju, że mógł współzawodniczyć z domem macierzystym w Miejscu Piastowem. Miał warunki, jakich Miejsce Piastowe nie posiadało. Klimat łagodny, zakryty od wiatrów — wokoło domu wspaniały, szumiący potężnymi lipami park, z cudownym miejscem do zabawy „w wojnę“.

Czynił cuda prawdziwe, a wszystko z rozmachem amerykańskim. Pawlikowiczanie słysząc, jak to w Miejscu Piastowem odbywają się manewry i gry wojenne, z szarą pelżającą po

ziemi piechotą i własnego wyrobu armatami, uśmiechnęli się z politowaniem i urządzili Grunwald. Dosłownie.

Było to w roku 1910 w rocznicę wiekopomnej bitwy. Sprawcą oczywiście był Sienkiewicz. „Krzyżacy” przewróciły im w głowach. Zebrali się tedy konno i zbrojnie, czarne charaktery przebrali za Krzyżaków, ubrali ich w pancerze, hełmy i pióropusze, białe płaszcze z krzyżami i batalję stoczyli srogą.

Byli tam wszyscy: i król Władysław i Zbigniew z Oleśnicy i Zawisza Czarny i Zbyszko z Bogdańca i stary Maćko — chłopstwo i rycerze, knechty i mnichy. Lud z okolicznych wzgórz podziwiał to widowisko, a skutek był ten, że zaraz po bitwie począł kupować i czytać „Krzyżaków” aby się przekonać, czy tak się rzeczywiście działo, jak pokazali.

Tak to tam współzawodniczyli z nami. Mieli swoją orkiestrę, chór i teatr, szkołę i warsztaty, swoje wielkości i sławy, gwiazdy i gwiazdory. Trudno im było dorównać.

Podczas wojny łudziliśmy się nadzieją, że tu nam nie dorównają. U nas odbywały się przemarsze wojsk, niesłychane sensacje i emocje nadzwyczajne, pełne przygód pierwszorzędných — utarczki patroli, bitwy piechoty i artylerji, szturm i odwroty, wojna wspaniała. Zdawało się, że tutaj Pawlikowice ucichną i nie będą mieli nic do gadania. Ale gdzie tam. I do nich zaleźli kozacy i piechota rosyjska, i tam były kwaterunki i przemarsze — a już, jeśli chodzi o artylerję, to nasze wrażenia i przeżycia są niczem wobec nich.

Oto kilkadziesiąt metrów od domu jak nie gruchnął 30·5 mm. merserek z fortu krakowskiego, to zrobił odrazu i dół i staw. Dzisiaj tam się kaczkę kąpią, malcy kartofle płuczą przed struganiem, a wieczorami mile żaby rechoczą.

Do kąpieli mają dwa stawy bardzo porządne, położone uroczo, u podnóża ładnego zalesionego wzgórza.

Nic dziwnego, że do zakładu szczyłającego się takimi walorami i reputacją wprost nieprześcignioną, szły ustawiczne procesje z prośbą o przyjęcie.

Dyrektor najpierw się martwił — że nie może tyle przyjąć — później niecierpliwił, a później milczał zrezygnowany, aż wreszcie się ocknął, uderzył ręką w stół i — począł budować. Bo i cóż miał robić.

I tak poczęły się Pawlikowice rozbudowywać, wznosić piętra, oficyny i fasady, najpierw w kąć prosty, później w pod-

kowy, a wreszcie w jakieś swastyki „hackenkreuzy“ czy inne figury symboliczne. Trzy piętra postawili, zanim po tyłu trudach odetchnęli. Mają tam szkołę powszechną, zawodową i gimnazjum, warsztaty szewski, krawiecki, ślusarski, stolarski, młyn, ogrodnictwo i do tego jeszcze nowicjat.

Ale mają i kryzys. Ten sam natarczywy, zjadliwy kryzys, który jako szakal jadowity krąży, szukając, kogoby użarł.

Przed wojną warsztaty dawały znaczniejsze dochody — wyroby wychowanków szły na okolicę, do Wieliczki i Krakowa, dziś zastój, bezrobocie — słowem kryzys.

Ale dyrektor, mąż wspaniały i poważny, chodzi po długich krętych kurytarzach piętrowych, przemierza szerokie kamienne schody, ciche w tej chwili i opuszczone, bo wszędzie lekcja i praca w warsztatach i myśli zuchwale a urągliwie: „Co tam kryzys, jest Zakład, dom okazały, i to jaki dom. To mur, to fundament, jądno, grunt, potęga, historia i tradycja wieków starych i zamierzchłych.

A w starym arjańskim parku potężne dęby i jodły szumią na grobach starych dysydenckich dziedziców tego dworu i tych majątności, którzy po życiu burzliwym i trosk pełnem legli tu w kryptach podziemnych, z tabliczką na piersiach „Scio, cui credidi“.

I rzecz dziwna. Ile razy w dzień deszczowy i ponury, czy w noc burzliwą a bezsenną zaszumi stary park — wszystko co w tym domu jest, drzewa i mury i sklepienia wiekowych piwnic szumią jednostajnym echem: „Wiem, komu zawierzyłem“. A dyrektor patrzy na portret Ks. Założyciela.

Jak długo można głodować?

Pijawka może głodować cały rok. Przedtem jednak wypić musi krew równą jej wadze w 5-krotnej ilości. Krew przetrawia przez 6 miesięcy, poczem uzyskuje takie zapasy tłuszczu, że może, jak wspomnieliśmy, rok głodować.

Ryby mogą z głodu utracić nawet do trzech czwartych ciała a będą żyły i normalnie pływały.

Pluskwa wytrzyma bez jedzenia do 6 lat.

Żaba może pościć cały rok.

Łosoś głoduje dobrowolnie trzy czwarte roku.

Mysz może obywać się bez jedzenia do 6 dni, gołąb tylko 11 dni, kondor do 40 dni, psy do 60 dni.

A człowiek? Może głodować najwyżej 75 dni. Zdarzył się taki wypadek.

gozbioru nie wydaje mi się dotychczas wyczerpanem do dna. Kierownik p. Kot, również tę myśl podziela i czeka, a z nim czekają i chłopcy.

Miły to Zakład i bardzo kochany. Kiedy byłem tu już dość dawno — widząc taką sympatyczną gromadkę patrzącą na mnie ciekawie, com zacz i skąd przychodzą — uprzedzając pytanie, sam ich zapytałem.



Zakład we Lwowie w pierwszym tygodniu istnienia.

— Jak się macie, dzieci? Ile was jest?

— Dwunastu — odpowiedział jeden.

— Dobrze wam tu?

— Dobrze — odpowiedziano gromko.

Tem mię złapali za serce. Zawsze żwawi i weseli, jedyni do śpiewu, do roboty i do piłki nożnej.

Wszyscy z pod znaku „Pogoni”. Nasza mistrzowska drużyna lwowska nawet sama nie wie, jakich ma w nich zwolenników i przyjaciół. Wszakże do naszej Zakładowej „Pogoni“ w Miejscu Piastowem dali swego najlepszego bramkarza, Edzia Maśluka.

Dom jest zaciszny i przytulny. Chłopcy przez wielką część dnia są w szkole, chodzą na różne przedpołudniówki

i popołudniówki, lekcje i ćwiczenia praktyczne. W pogodne rekreacje napełniają gwarem i piskiem niewielki ogródek — w dnie deszczowe śpiewają, grają, albo wtuleni w kącik, opowiadają sobie niezliczone historie chłopięce, widziane i przeżyte na szerokich, pełnych czaru i legendy przedmieściach lwowskich. Jakże cudną jest wtedy gwara lwowska w ustach małego bystrego chłopczyny, który jest mądry, mądrością miasta, które ma serce, a w sercu zbiór najmiłszych historycznych wspomnień.



Zakład we Lwowie w pierwszym miesiącu istnienia.

Tak się tam nasze chłopaki — Janki, Staszki, Wacki, Józki, Ceśki, Mietki, Władki i Tadki — bawia, uczą, biegają i marzą z pewnością o Bajanie i Pogoni. A kierownik p. Kot z asystentem łamią sobie głowy, jak to dorównać Miejscu Piastowemu. — Dodać jeszcze jedno piętro, wyzyskać strych — zabudować ogródek... myśli tysiące, ale na wszystko potrzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. W ten jednostajny refren przemawia, gwar uliczny i deszcz po szybach dzwoniący i mokry wiatr jesienny i świerszcz za kominem i mysz, która coś gryzie w kącie i dzwonki spóźnionych tramwajów.

Co to za gwar?

Echa z Warszawy.

Jesteśmy w Warszawie. Tramwajem nr. 1 od dworca kolejowego, ulicą Marszałkowską jedziemy na ulicę Pułaską, hen za kościół św. Michała Archanioła pod dom nr. 97. Przystanek tramwajowy na miejscu. Przez furtkę, wykonaną z pewnym kunsztem ślusarskim, wchodzimy na otwarty do przodu dziedziniec, o pięknej, dobrze utrzymanej zieleni i już tutaj z drugiego dziedzińca dochodzi nas gwar rozbawionych chłopaków. Drugi dziedziniec oddzielony od pierwszego poważnym o kolumnowej fasadzie gmachem piętrowym. To jest Zakład pod zarządem XX. Michalitów w Warszawie, na Mokotowie. Piszemy wyraźnie pod zarządem XX. Michalitów — nie własność ich — „bo nie było nas, był las” i ten Zakład stoi więc nieco dłużej, niż istnieje nasza młoda kongregacja. Niewiele — może o sto lat. Jeszcze król Staś oglądał jego mury, a chłopcy z za parkanu patrzyli zapewne na lśniącą, zwierciadlaną karetę króla Jegomości, gdy otoczony lauframi i kozakami, jechał do dostojnego brata swego księcia Prymasa. Być może, że i król Jegomość obejrzał się nieraz w jego stronę z frasobliwym pytaniem, które później przeszło i do historii i do literatury, co to za gwar? a wówczas układni szambelanowie, krzyżem Orła białego strojni, skwapliwie udzielali Królowi Jegomości wyjaśnień:

— To Zakład, Najjaśniejszy Panie, fundacji Imci hr. pana Pusłowskiego.

— Ach tak, słyszałem już o tem. Wielce to zasłużony dla kraju obywatel. Szkoda, że rzadko go widuję. Ależ gwar...

— Oni tak zawsze, ale jeśli Najjaśniejszy Pan rozkarze... i tu p. Szambelan zataczał koniem, uprzedzając rozkaz pański, ale go Król hamował z wyrozumiałym uśmiechem:

— Ach nie, daj im spokój, niech się weselą.

Ani chybi, tak to musiało być, bo nie mogę sobie wyobrazić zakładu na ulicy Pułaskiej bez gwaru.

W Miejscu Piastowem jest 200 z górą chłopaków — ale to są chłopcy z różnych stron Polski. Ze wsi i z miast, większych i mniejszych, rozśpiewani krakusy, gwarni mazury, mrukliwi podlasiacy, poważni litwini, i. t. p. i t. p. Patrzą na się —



Wizytacja Zakładu w Warszawie przez J. Em. Arcb. Kakowskiego.

badają, naśladową z powagą i roztropnością, wszędzie kurtuazja, bonton, a wreszcie regulamin i dzwonek.

To samo w Pawlikowicach i gdzieindziej. We Lwowie jest 26 — lwowiaków o dobrym temperamencie, ale jest ich tylko 26.

Tutaj warszawiaków 80. I skąd, proszę uniżenie? Z Mokotowa, Czernikowa, z Woli i Kercelaka, z Żoliborza i Marymontu, z Solca, z Powiśla i Żelaznej bramy, z Brudnego i Czystego, z dołów i spod mostów. Zewsząd.

Pyszne typy, wspaniałe temperamenty. Niema dla nich przeszkód, niema więzów ani murów. Trać takiego przypadkiem, tak, że spadnie z piętra głową na ostry kamień, zanim ochłoniesz z przerażenia, on ci ten sam kamień odrzuci „do głowy“ i potem możecie obaj płakać czy śmiać się — zależy od nastroju i pożądanego efektu. Złamię sobie nogę, dopiero po dwu latach dowie się prefekt czy asystent, że ten gdzieś kiedyś miał nogę złamaną (presada! przyp. korektora). Koleżeństwo między nimi rozwinięta do bohaterstwa. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jak się takich dwóch bije — nie pchaj palców pomiędzy nich, boś zginął; nie dwóch, ale wszyscy ośmdziesięciu pójdą na ciebie. Jak bawią się głośno i z humorem, to nie przeszkadzaj, jak coś cicho szepczą — unikaj ich, a jak milczą, udając, że ich cały świat nic nie obchodzi — to uciekaj czempredzej jak najdalej. Nie jesteś bezpiecznym przed niczem, nie wiesz, czy ci się sufit nie zwali na głowę, czy rozłożysta lipa nie runie na ciebie całym ciężarem swoich konarów, czy sztuczny deszcz wody wrzącej nie spadnie na ciebie, czy z błękitnego nieba pioruny nagle nie zagrzmia.

Ale wszystkiego unikniesz, tylko idź do nich z dobrym uśmiechem i z miłością w sercu.

Prześwidrują cię nawylot, po warszawsku, aby zbadać, coś zasz, ale jak egzamin wypadnie pomyślnie i poznają, że w zanadru nie chowasz żadnych złości ani knowań, a poznają to w lot, wówczas możesz wśród nich spocząć bezpiecznie. Nic ci nie grozi, otoczą cię wielkiem kołem, usiądą u nóg i na nogach, na karku i za karkiem i wówczas usłyszysz coś, czego nie znajdziesz w powieści ani w filmie, serdeczne dziecinne opowieści o twardem życiu dzieci ulicy. Chłopczyzna z wybladłą ładniutką twarzą, o czarnych marzących oczach dziecka, które tęskni za pieśczętą, opowie ci z humorem o swoich

dniach i nocach. Ale ta opowieść ściska cię za gardło. Mówią, wszyscy mówią, oczy im się świecą, oczy piękne i łagodne, lub palące i zuchwałe, oczy figlarne i wesołe, to znów poważne i smutne. — Twarze się mieniają, a złote i czarne czupryny wicherzą się i migocą w obszernym kolisku, jak w pięknym kalejdoskopie. Tryska dowcip, humor aż dzwoni srebrną kaskadą śmiechu, a przytem te niezrównane warszawskie powiedzonka. Ale to nie jest wesołe. Pod pancierzem humoru i dowcipów kryje się tragedia dzieci ulicy.

Wczesne sieroctwo w opuszczonych, mchem porośniętych domkach na przedmieściu, lub w mrocznej suterenie, borykanie się z losem w rozpaczliwej, beznadziejnej walce o życie, na arenie wielkiego miasta, o własnych dziecięcych siłach. Myśl się budzi — ileż ich jest, tych bohaterów wielkiego dramatu, któremu imię „Legjon ulicy“, którzy własnem życiem, radością i szczęściem chłopięcych lat, głodem i nędzą płacą swój krwawy i łzami obłany podatek wydziedziczonych, aby jakiś ucyldrowany snob miał wciąż nowe wrażenie do filmu i na estradę.

W Zakładzie chłopcy mają własną szkołę zakładową powszechną, kilku tylko popularnie zwanych „akademikami” chodzi na miasto do gimnazjum. W domu rozwijają się dwa małe warsztaty, krawiectwo i stolarstwo. Ale chłopcy naogół więcej marzą o tem, aby stąd po ukończeniu szkoły pojechać do Miejsca Piastowego lub do Pawlikowic. Przeważnie są mali od 8—15 lat.

W domu jest kaplica, w której kapłan Zakładowy stale odprawia Mszę św. Bardzo chętnie garną się do służenia do Mszy św. i do św. Sakramentów. Śpiewają na jeden lub dwa głosy i jakoś dziwnie umieją każdą melodję ożywić po swojemu.

Do zabawy mają obszerne podwórze, urządzenia do gier i zabaw sportowych, a osobista pomysłowość dostarcza im tyle nowych rodzajów zabawy, że w żadnym podręczniku tego nie znajdzie. Chłopcy są żywi, roztrzepani, niespokojni, nieraz zdawałoby się żywiołowi i nieopanowani, ale jest w nich ogromnie dużo uczucia i szlachetności. Imponuje im bohaterstwo i odwaga i to mniej z przeszłości historycznej, a raczej z teraźniejszości. Życie wspólne w Zakładzie, prowadzonym w dobrym systemie uprzedzającym — przy troskliwej opiece, wydobywa im z duszy najlepsze czynniki ambicji, oglądy

wzajemnej i kontrolowania swoich czynów ze stanowiska życia wspólnego. Ale potrzeba okazać im dużo miłości, dużo cierpliwości, wtedy zwłaszcza, gdy chcą porozmawiać swobodnie, pytać o tysiące rzeczy i sami opowiadać.

Mam tam dużo szczerych „przyjaciół” i zawsze do tego Zakładu chętnie myślą się zwracam, co też tam porabiają nasze Zbyszki i Zdzisie, i Jurki, Staszki, Felki i inni tem wspólnem mianem objęci. Jest tam i najmniejszy z pośród nich Hipek — moja pociecha i ulubieniec, bo go tam z innego Zakładu przywiozłem. Chłopczyzna regularny jak zegarek. Co kwadrans płacze i śmieje się naprzemian, niby, że go inni szturkają, ale w rzeczy samej to więcej on szturka innych, chociaż najmniejszy, niż inni jego. A z tym płaczem także nie jest tak tragicznie, bo maleńki Hipek nawet nie umie płakać, tylko tak udaje, jak nie może dostać czegoś, czego w tej chwili chce. Są to spazmy modne, tak naturalne w 9 wiośnie życia, a tyle właśnie sobie liczy mój Hipuś.

Miły to Zakład. Tak samo trudno z niego wyjechać, jak trudno jest wyjść z zacisznego pokoju, gdzie ktoś opowiada bajki czarowne, bajki cudowne. W nastroju miłym płyną godziny jedna za drugą, a w pokoju poczynają się dziać dziwne rzeczy. Zanika rzeczywistość, a wraca przeszłość nieprzebrzmiała, albo fantazja złocista promieniami tęczy oddziela nas od szarzyzny dnia.

Z głową pełną wrażeń i marzeń opuszczam ten Zakład, i jak ze snu budzi mię głos, który mię szarpie za serce...

— Co to za gwar? Czy znowu Hipek płacze?

Nie, to mój Zbyszek i Jurek i Zdziś i Bolek i dziesięciu innych wołają zdaleka:

— Kiedy Ksiądz znowu przyjedzie?

Ach, te dzieci...

Nauczycielka, kierująca kompletem czworga maleństw, wyjaśnia dzieciom pogładową metodą pierwsze pojęcia o kulistości ziemi. W tym celu bierze do ręki jabłko i zaczyna:

— Patrzcie, dzieci, tutaj mam jabłko. Jeżeli będziecie uważały, to potem do śliczne jabłuszko między was podzielę. Więc słuchajcie. Tu, na górze, jest biegun północny, a na dole południowy i ziemia kręci się około swej osi, tak, jak ja w tej chwili kręcę jabłko między dwoma palcami. No, rozumiecie dotychczas wszystko?

— Tak proszę pani — oświadcza sześćioletnia Inka — tylko niech pani to samo zrobi teraz z balonem, bo ja jabłek nie lubię.

Zakład — ogród.

Od roku 1925 Towarzystwo Św. Michała Archanioła posiada Zakład w Krakowie, przy ulicy Karmelickiej 66. Zakład ten, pod wezwaniem Św. Józefa, stanowi specjalną fundację im. s. p. Piotra Michałowskiego. Nam oddany jest tylko w tymczasowy zarząd i administrację. Szczupłe stosunkowo budynki mieszczą mało co więcej ponad 50 chłopaków, prócz personelu. Personel zakładowy stanowi dyrektor X. Józef Machała, prefekt i paru asystentów.

Chłopcy chodzą do szkół miejskich, kilku do gimnazjum. Są to same sieroty z Krakowa i z okolic. W domu są dwa warsztaty, szewski i krawiecki, ale jest prócz tego coś, czem żaden z naszych domów poszczycić się nie może. Ogród — piękny, czarowny ogród Walhali, pełen uroczych zakątków, egzotycznych kwiatów, strzyżonych klombów i cudów natury uszlachetnionej sztuką ogrodniczą. Ogrody takie widziałem tylko w Indjach (oczywiście na obrazku). Wspaniałe inspekty i cieplarnie dostarczają wciąż świeżych nowości we wszystkich czterech porach roku. Od frontu gmachu zakładowego piękna wystawa kwiatowa wabi oko przychodnia i gromadzi grupki, tak licznych w Krakowie miłośników kwiatów.

Ten ogród to największa atrakcja Zakładu. Daje dużo przyjemności, trochę dochodu, a przytem wielu chłopaków może się tutaj w doskonałych warunkach uczyć ogrodnictwa.

Do zabawy mają chłopcy prócz tego podwórze, ale stanowczo za małe dla takiej gromadki żywych i ogromnie ruchliwych małych krakowiaków. Brak im ruchu i pola do zabawy i biegania. Niedostatek ten uzupełniają w czasie dłuższych feryj i wakacyj, robiąc dalekie wycieczki turystyczne i krajoznawcze. Chodzą po okolicznych górach i zamczyskach — do polskiej Szwajcarii, w Skały Ojcowskie i hen do Tatr. Zawsze na piechotę, nierzadko biwakując pod gołym niebem.

W domu jest kapliczka z Najśw. Sakramentem, w której codziennie odprawia się Msza św., a wieczorem okolicznościowe nabożeństwa w miesiącach maju, czerwcu, października i w grudniu przed Bożem Narodzeniem.

Młodzież z okolicznych ulic, spiesząc do szkół, wstępuje tam na chwileczkę nawiedzić i pozdrowić utajonego w ołtarzu P. Jezusa. Prócz tego jest grono panów i pań, którzy są tu codzien-

nymi gośćmi P. Jezusa na każdym nabożeństwie. Wyrabia to serdeczną atmosferę i wielkie zbliżenie się pomiędzy Zakładem a otoczeniem i sprawia, że Zakład Św. Józefa jest w Krakowie tak znany i popularny.

Chłopaki marzą o tem, aby kiedyś mieć własną salę teatralną i własną orkiestrę, aby okazać się miastu i społeczeństwu w pełnym blasku młodzieńczych pragnień i wspaniałych możliwości.

Tymczasem cicho w Zakładzie. Cechą charakteryzującą ten sympatyczny domek jest spokój. Nie znaczy to, aby nie było wogóle dziecięcej wrzawy i pisków — dzieci zawsze muszą być dziećmi, ale przytem wszystkim wrażenie ogólne, jakie uderza każdego zwiedzającego dom i Zakład, jest jakiś dziwny spokój i porządek. Spokojem tchnie dom sędziwy, pamiętający czasy Rzeczypospolitej krakowskiej, podwórze z załamanemi w różne figury parkanami, a nadewszystko ogród wielki, barwny, skąpany w zdrowej, jędrnej zieleni i złotych blaskach słońca. Również spokojem błyszczą oczy chłopaków, gdy w równych szeregach, czyściutko ubrani i weseli spieszą z książkami do szkoły.

PIERWSZY...

Pierwszy cukier był „odkryty“ przez rycerzy krzyżowych, którzy w Trypolisie napotkali trzcinę cukrową, nazwaną przez nich obrazowo: miodowe rurki. Trudności transportu uczyniły import tego artykułu niezmiernie kosztownym i dopiero od połowy osiemnastego wieku, gdy do wyrobu cukru zastosowano buraki cukrowe, cukier staje się przedmiotem codziennego użytku. Pierwszą cukrownię założono na Śląsku 130 lat temu.

Pierwszy wideliec użyty był we Włoszech w XV stuleciu. Do XVII wieku włącznie widelcem posługiwali się jedynie sfery arystokratyczne. Dopiero od początku XVIII stulecia wchodzi w powszechne użycie.

Pierwszy kapelusz filcowy nosił cesarz Karol V w roku 1547 na manewrach swych wojsk. Kapelusz był malutki, przybrany aksamitem. Podczas deszczu cesarz chował go pod płaszcz, by uchronić od zmoknięcia.

Pierwsze pończochy jedwabne włożyła królowa angielska Elżbieta z okazji zaślubin córki Henryka III Walezjusza.

Pierwsze koszule płócienne posiadała małżonka króla Francji, Karola VII.

Pierwsze papierosy używane były już w kolonjach hiszpańskich, dopiero jednak w 40-tych latach ubiegłego stulecia weszły w użycie w Europie.

Pierwszy omnibus pojawił się na ulicach Paryża w XVII wieku, jako własność towarzystwa omnibusowego, którego założycielem był słynny filozof i matematyk, Pascal. Pierwotne przeznaczenie omnibusów było czysto dobroczynne dla przewożenia za niską opłatą, starców, kobiet, dzieci i chorych. Fakt, iż na czele towarzystwa stanął książę de Rohau spowodował, iż jazda omnibusem stała się modną i w wyższych sferach.

Wieści z Berteszowa.

Miejsce Piastowe jest dla Zakładów Tow. Św. Michała Archanioła stolicą, ich macierzą. Tutaj idea wielkiego Założyciela poczęła kiełkować, zanim wydała plon wspaniały. Stąd, jak z centrali poszły w różne strony Polski wyprawy, zakładać ekspozytury po prowincjach.

Pierwszą taką prowincją naszą jest Berteszów, wieś w województwie Lwowskiem, pow. bobreckim. Fundatorem Zakładu był ś. p. Palac Józef, właściciel dóbr, własną pracą nabytych. Przed śmiercią zapragnął majątek swój oddać na dobre cele społeczne i narodowe i za osobistą poradą X. arcybiskupa lwowskiego ś. p. X. Józefa Bilczewskiego oddał wszystko naszemu Towarzystwu z życzeniem, aby tam powstał Zakład.

Było to w smutnych latach 1918—1920. Przez kraj przechodziła nawałnica bojów. Szły tędy pułki i szwadrony, ryły brzozy głębokie ciężkie baterje i tabory, a potem widety i pikiety, patrole i sztafety, marsze, odwroty, kwatrunki i biwaki, a nadewszystko koszarne, groźne, przerażające rekwizycje i podwoły. Dwór został zniszczony do ostatniego snopa, do ostatniego konia. Później przyszły nowe ciosy; zaroily się lasy i pola szwadronami czujnej, krwiożerczej kawalerji Budiennego. Przeszło jeszcze niemało wichrów i burz, zanim wreszcie znużona ludność mogła odetchnąć i jąć się zaniedbanej, zarosłej chwastem gleby na opuszczonym zagoniu. Zakład ciężkie miał początki i one to zaważyły na całym późniejszym rozwoju.

Okolica jest piękna, ziemia urodzajna, czarnoziem, piękne łąki i lasów dostatek. Ale drogi złe. Od Zakładu do stacji kolejowej w Wybranówce gościńcem bardzo marnym 14 kilometrów, a na krótsze drogi 9 klm. (och, te krótsze drogi). — W dnie słotne i śnieżne dojazd prawie uniemożliwiony. To także utrudnia ogromnie egzystencję Zakładu, zarówno jak i okolicznych dworów.

Szczupłe budynki dworskie, nieprzystosowane na pomieszczenie Zakładu — z trudem mieszczą 20 wychowanków z dyrektorem p. Januszem Franciszkiem, z prefektem i Ojcem duchownym Zakładu X. Michałem Szteligą i jednym asystentem.

Utrzymanie Zakładowi daje rola, ale ciężkie warunki dla rolnictwa, niemożność zbytu owoców pracy i zabiegów, są powodem katastrofalnego braku gotówki. Bardzo złe drogi i kosztowny przewóz nie pozwalają nawet przesłać zboża czy ziemniaków do

innych Zakładów, bo nierzadko kosztą przewozu przewyższają wartość przesyłki. Z tego powodu Zakład nie może się rozwinąć.

Chłopców możnaby utrzymać więcej, ale brak pomieszczenia. A nie można budować, bo brak pieniędzy, dlatego dyrektor jest bezsilny, nie mogąc zużytkować swoich sił i zapału i niewątpliwie wielkich możliwości, ale paraliżowanych tak nieszczęśliwymi okolicznościami.

Placówka to prawdziwie kresowa i życie kresowe. Był czas, kiedy w okolicy panował „czerwony kogut“ i co noc płonęły sterty i stodoły.

Wówczas cały personel domowy pełnił czujną straż, jak w strażnicy żołnierskiej. Pewnej późnej już jesieni, roku 1931, bawiąc tu kilka dni, byłem uczestnikiem i trochę pomocnikiem tej naprawdę ciężkiej i ofiarnej służby. W ciemną, dżdżystą a zimną noc błądziliśmy jak duchy po ogromnym ogołoconym parku i ogrodzie, wokoło stert i stodół. Tej samej nocy o 2 kilometry od nas płonęła duża, wyraźnie widoczna sterta. Tak, wówczas nie żartowano. Był to trud nielada; w dzień praca, w nocy czuwanie.

Wychowankowie to przeważnie sami mali chłopcy, dzieci ciche, spokojne i bardzo uległe. Ciężko im tam żyć. Brak im tych atrakcyj, które może posiadać Zakład liczniejszy i w lepszych położonych warunkach. Ale mały ten ilościowo Zakład rusza się i nie zasypia w letargu, starając się usilnie podtrzymać życie kulturalne i oświatowe. W lepszych czasach potrafił się zdobyć na własną orkiestrę, uświetniając urządzane przez okolicznych Polaków uroczystości narodowe, a dyrektor, p. Franciszek Janusz na koniu ogromnym, jak hetman kresowy wiódł liczny orszak z kapelą janczarską na czele wspianągo pochodu w dzień 3 Maja.

Dzisiaj młodzież od czasu do czasu urządza przedstawienia teatralne, chętnie nawiedzane przez mieszkańców okolicznych wiosek. Wielką pomocą dla Zakładu jest dobrze zorganizowana kolonja polska, osiadła na t. zw. kolonji, a zwłaszcza najbliższy sąsiad Zakładu dziarski i szczerzy mazur p. Kwiek Józef.

W domu jest szcupła wprawdzie ale doborowa biblioteczka i parę instrumentów do nauki muzyki. Obszerny park i ogród, dużo miejsca do zabawy i stawek blisko domu bardzo uprzyjemniają wychowankom życie i uzupełniają wiele innych braków. Chłopcy uczą się we własnej szkole domowej. Codzienna Msza św. a zwłaszcza uroczyste nabożeństwa, w niedziele i święta odprawiane, skupiają wielkie masy ludności, która szczelnie zapełnia

nietylko kaplicę ale przyległe pokoje, sień, schody i podwórze przed kaplicą.

Życie tu płynie spokojnie i bez nerwów. Wieści ze świata przychodzą późno i nieregularnie. Praca na roli i w lesie, jednostajna i wciąż odnowa, uczy ludzi tej najlepszej filozofji — cierpliwości, głosząc, że wszystko to już było i że wiosna zawsze powróci.

Szerokim łanem pokryte pole i las szumi poważnie i dostojnie:

Tak, tak, wszystko to już było... Cierpliwości — i kryzys się skończy.

KS. ST. KRAWCZYK.

Te Deum.

My Ciebie, o Boże, chwalimy:
 My Ciebie za Pana uznajem.
 I Ciebie wiecznego Ojca
 Czci ziemia wszelkim rodzajem.
 I Tobie wszelacy Anieli,
 I Tobie Nieba i Moce,
 I Serafini, Cheruby
 Wieczyście nucą śpiew luby,
 I całe niebo szczebioce:
 O święty, o święty, o święty,
 O Panie i Boże mnogości,
 Niebiosa i ziemia pełne
 Pochwały Twojej wielkości:
 I Ciebie czci chór Apostołów,
 I Ciebie liczba Proroków,
 I Ciebie sławi na zmiany
 Pułk Męczenników wybrany,
 Wszyscy mieszkańcy obłoków.
 I Ciebie przez okrąg tej ziemi
 Ogłasza hen Kościół Twój święty,
 Najchwalebniejszego Ojca,
 Co w mocy jest niepojęty.
 Najczcigodniejszego też Syna,
 Co jeden jest i prawdziwy;
 A także Ducha Świętego
 Pocieszyciela naszego
 W czas nieustannie burzliwy.

Tyś Królem jest chwały, o Chryste,
 Tyś Ojca wieczystym jest Synem.
 Tyś dla zbawienia człowieka
 Nie wzgardził łonem Matczynem.
 Tyś śmierci skruszywszy siedlisko,
 Niebiosa otwarł wierzącym.
 Po Bożej siedzisz prawicy
 I przyjdiesz znów ze stolicy
 Być sędzią rozstrzygającym.
 Więc Ciebie błagamy, krzep sługi,
 Boś przecie zapłacił krwią za nie
 Z Świętymi wlicz je do chwały.
 Ocalaj rzeszę swą, Panie.
 Błogosław swojemu dziedzictwu,
 Rządź nimi, broń ich wieczyście.
 Co dnia Cię błogosławimy
 I Twoje imię chwalimy
 Na wieki przewiekuiście.
 Racz, Panie, w terminie idącym,
 Zachować nas wszystkich bez winy.
 Miej litość dla nas, miej litość,
 Nasz Zbawicielu jedyny.
 Niech stanie się Twe miłosierdzie
 Nad nami, co Twej opieki
 Czekamy sercem wytrwałem.
 Ja Tobie raz zaufałem,
 Bezpieczny jestem na wieki.

W nowogródzkiej ziemi.

Niedaleko od Świtezi, w województwie nowogródzkim, gminie Nowa Mysz, we wsi Działkowicze, starej rodowej posesji Korsaków, później hr. Jelskich, „na pagórku niewielkim w brzo-zowym gaju“ osiadł pośród gromadki swoich pacholików, jako Dy- rektor Zakładu Ks. Michalitów, ks. Andrzej Andreasik, Imć. Le- gjonista 3 p. p., żołnierz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, boha- ter Mołotkowa, Polskiej góry, Kaniowa, Kijowa i t. d. obecnie kapłan naszego Zgromadzenia. W bojach ciężkich i pracowitych ranny i odznaczony czworokrotnie, osiadł jako osadnik na rubieżach Rzeczypospolitej, na ziemi, którą bagnetem wydarł z paszczyki wroga, a zamieniwszy bagnet na pług, a karabin na kropidło, rozpoczął pracę kapłańską i społeczno-narodową.

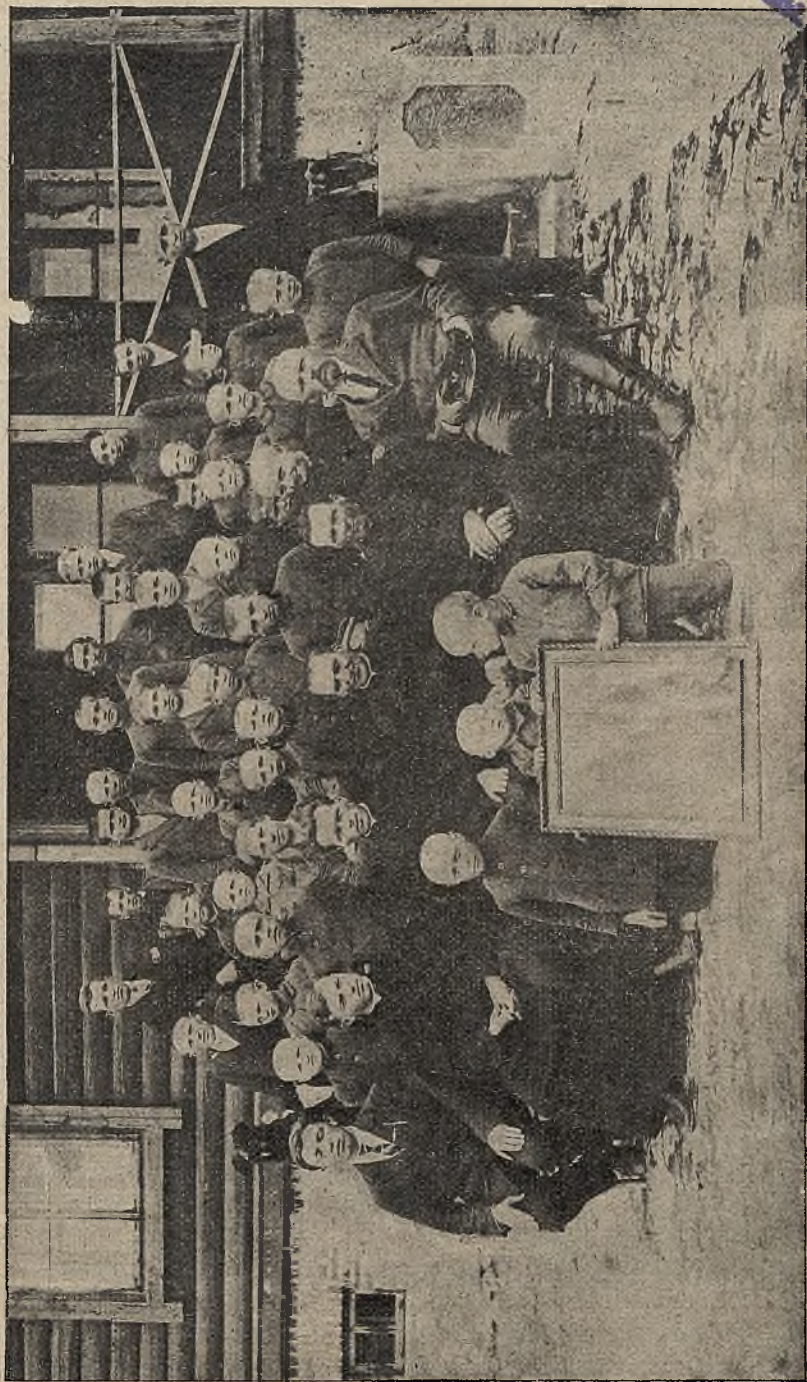
J. W. Pani hrabina Helena Jelska wraz z córką Konstancją oddała tę majątność Towarzystwu Św. Michała Archaniola z prze- znaczeniem, aby tu powstał Zakład. Dawna to ziemia magnacka; ongiś hucznie buńczucznie żyło tu roje szlachty. Tu pracowali, odprawowali zjazdy i sejmiki, budowali zamki, pałace i zaścian- kowe osiedla. Tu przyjmowali królów, dostojników koronnych i litewskich, świeckich i duchownych, a mieli czem przyjmować — wszakże były łąny, jeziora i lasy a w nich ryby, grzyby i wę- dliny i własny miodek — mospanie.

Włóczyłem się i ja po owych ziemiach z karabinem w rękę, po mokradłach i uroczyskach, wypatrując żółte burki moskiewskie, pracowicie ryłem w niej okopy i sztelunki jako żołnierz, towa- rzysz broni ks. Andreasika. Ale to było dawno.

Gdy więc po latach, przyszło mi jechać w one powiaty i zaścianki — a było to w roku 1932, jechałem z radosną cie- kawością, zobaczyć znane okolice, przypomnieć zastarzałe wspo- mnienia i trafić w gościnne progi towarzysza broni na owe ryby i grzyby.

Była to jesień. Poranki były już zamglone a wieczory ciemne, ale dnię stosukowo ciepłe i ciche. Słońce operowało mocno.

Niestary dwór szlachecki wyglądał okazale. Obszerny, po- dzielony na mnóstwo komnat i alkierzy, mieścił bez wielkiego trudu 70 wychowanków wraz z personelem. Tylko sypialnie były gdzieindziej, w budynkach gospodarskich, ale w samym dworze zajmowały jeczce swoje pokoje mieszkalne obie ofiaro-



Grupa wychowanków Zakładu w Działkowiczach.

dawczyni i fundatorki J. W. hr. Jelskie. Dom oczywiście drewniany aż pachnie swojszczyzną, pełen uroku i wdzięku. Przed wejściem weranda na słupach, wokoło kryty szerokim okapem chodnik, regularne sionki i pokoiki ciepłe, przytulne i zaciszne. Wokoło domu las duży i gęsty, poprzerynany wewnątrz starym zrujnowanym okopem, w którym butwieją belkowania schronów i nasypów. Dzisiaj w tych jamach gnieźdzą się lisy, a może i wilki, bo w okolicy ich nie brak. Przed domem jest staw duży, obficie zarosły trzciną i szuwarem — na stawie łódki a tuż przy stawie młyn. Niczego nie brakuje do całości nastroju, w tym starym dworze, pamiętającym różne czasy.

Zakład istnieje tutaj od r. 1925. Miejsce na zakład jest dobre i możliwość pracy wymarzona — bo może tu stanowić twierdzą polszczyzny i doskonałą placówkę pracy misyjnej, kulturalnej i oświatowej, — ale warunki życia ciężkie.

Jedynym utrzymaniem rola i las. Ale las jest pod ochroną, a rola — wiadomo, w jakim jest położeniu. Chleba wprawdzie nie brakuje, ale o grosz rozpaczliwie trudno. A przecież trzeba kupić naftę i cukier, dodatki do kuchni, buty i ubrania dla chłopców, książki i przybory szkolne. W domu jest szkoła własna i nie-mało kosztuje.

Chłopcy zorganizowali sobie orkiestrę i teatr, co się przyczynia do utrzymania żywego kontaktu z całym okolicznym sąsiedztwem, bez różnicy wyznania i narodowości. Jest warsztat szewski i krawiecki a co najważniejsza szeroka nieograniczona możliwość pracy, której tu poddostatkiem. Ziemia niewykorzystana, nieuporządkowana, słabo zaludniona, pomieści dużo jeszcze pracowników, byle nie spekulantów. Przetrwa kryzys jeden i drugi, zapłaci z procentem za każdy włożony tu trud.

Okolica doskonała dla pszczół, rybna, zalesiona, bogata w pastwiska może stać się krainą mlekiem i miodem płynącą, tylko potrzeba pracy, a nade wszystko wytrwałości, zwłaszcza w obecnej tak bardzo nienaturalnej konjunkturze.

Zakład tu może nieźle prosperować, ale musi rozwinąć własną wytwórczość do ostatnich możliwych granic. Stworzyć własną samowystarczalną rzeczpospolitą, jak to bywało w pierwszych latach, za życia Ks. Założyciela, w Miejscu Piastowem i rozwijać warsztaty dostosowane do potrzeb i warunków miejscowych. A miałby ten pierwszorzędny walor, że szkoliłby i wychowywał chłopców tamtejszych w tych samych warunkach, w jakich później żyć będą, czyniąc ich pionierami postępu w kraju, pozostającym bądźco bądź, dość daleko od ośrodków dzisiejszej kultury i techniki.



Zakład Sw Józefa w Krakowie — wycieczka w Tatrach.



Zakład w Działkowiczach — nad stawem.



Zakład w Działkowiczach — grzybobranie.



Zakład w Działkowiczach — łowienie ryb.



PROF. WL. DANIŁOWICZ.

Polska Królestwem Marji.

Błękitne rozwińmy sztandary.
 Czas wstrząsnąć zwątpienia już pleśń,
 Niech w sercach zagorze znicz wiary
 I gromka niech ozwie się pieśń.
 Z pod znaku Maryji
 Rycerski my huś,
 Błogostaw, nam Chryste, na bój
 Stajemy jak ojce, by służyć Ci znów.
 My Polska, my naród, lud Twój!
 Już świta, już grają pobudki,
 Już Jezus przybliża się k'nam,
 Żyj, święta radości! precz smutki!
 Pan idzie, pierzcha w cień kłam.
 Pan idzie, słoneczność
 Rozlewa się wkrąg,
 Pan idzie na świata sięść tron!
 Drży szatan, wysuwa
 Mu berło się z rąk!
 Słyszycie? Zwycięstwa gra dzwon!
 O BOGA RODZICO DZIEWICO.
 Tchnij SIŁĘ w MARJAŃSKI ten zew!
 Z otwartą stajemy przyłbicą
 I serca Ci niesiem i krew...

Siać miłość będziemy
 Wśród burzy i słońca
 W zwycięski Ty prowadź nas ślad
 A gdy nam tchu będzie,
 I mocy już brak,
 Do nieba pokieruj nasz lot!

Miłość rodzinna, przywiązanie do ziemi karmicielki i umiłowanie piękna, to trzy główne rysy polskiej duszy i podstawa naszego narodowego ustroju!

Pierwotny bowiem ustrój państwowy Polski, jak wogóle i wszystkich Słowian, opierał się na związkach rodowych.

Miłość ojcowska była najwyższym prawem. Ster rządu dzierżyli najstarsi ojcowie rodu, a w synowskiej miłości młodszych, znajdowali posłuch swej woli.

Obsiadłszy szerokie rozłogi, od morza Czarnego aż po Bałtyk i hen na zachód poza Łabę, gospodarzyli, oddani pracy na roli, wydzielali karczom leśnym ziemię, krwawicą swą użyźniali ją, a jak matkę-żywicielkę kochali. Po mozolnej pracy zbierali się społem i gęźbą a śpiewem, czas sobie uprzyjemniali! Żyli jednak w pogaństwie, pilnie oddając cześć różnym bożkom i boginkom. Przeciw bóstwom złym, które upatrywali w niszczących siłach przyrody, stawiali bóstwa dobre, uważając je za pełne życliwości, starania i siły.

Wszystkie sprawy życia Słowian, musiały w religii ZNALEŹĆ ZASPOKOJENIE!

Toteż do tej religii, która była odbiciem Polskiej duszy, przywrzał naród niezmiernie silnie i religijność Polaków wycisnęła swe piętno na wszystkich przejawach ich życia! Szujski w swej historii polskiej podaje, że wedle religii kształtowało się życie jednostki, jej przykazania zacieśniały związki rodzinne, a uroczystości ku czci bóstw były jedynymi ogniskami życia społecznego! Dlatego religijność i narodowość zespoliły się tak silnie w duszy Słowianina, że po dziś dzień jeszcze u nas Polaków wiara stanowi o narodowości rdzennej, a skoro wobec naporu odwiecznego „Drang nach Osten“ mogli byli Polanie urósć w państwo tylko przez przyjęcie chrześcijaństwa, przeto powyższe cechy narodowości Słowian zostały w duszy Polan przypieczetowane przez Chrzest święty, a stało się to tak i w naszym narodzie, jak i w dziejach całej ludzkości, *przez Marję*. Niemłoda ale pobożna księżna Czeska Dąbrówka, oddając rękę naszemu

królowi Mieczysławowi I, pozyskała go tem łatwiej dla wiary prawdziwej, że prawiła mu wiele o Matce Bożej i do czci zachęcała, czego dowodem ów pierwszy na ziemi polskiej kościół, który też Dąbrówka postawiła na Ostrowcu Lednickiego jeziora, poświęcając go pamiątce Wniebowzięcia N. M. P. na znak, że odtąd wszystko w Polsce ma się dziać w Imię Marji Panny. Jak wówczas, tak i dziś nielada trzeba pracy, by w mrokach dusz rozniecić znicz wiary czynnej, wypłenić różne bożyszczka, a pozatykać w niej krzyże Chrystusowe, te godła poddaństwa ziemi Niebu! Pracę tę, którą rozpoczęła wówczas Dąbrówka, a kontynuował św. Wojciech, precyzowały nasze tysiąc-letnie dzieje, my dziś dalej mamy prowadzić. Zatykać krzyże w sercach bliźnich, to dopomagać do pogłębienia życia religijnego, do wyswobodzenia zjawisk życiowych od płytkiego i błędzącego ducha czasu, opromieniając je światłem Krzyża św.

Pochód św. Wojciecha przez ziemię polską, od Krakowa aż do Gdańska i Prus, był taką dzienną wędrówką słońca, przedzierającą ciemności pogaństwa, budzącą narodową świadomość, odkrywającą społeczną odrębność naszych przodków. Na apostolski zew św. Wojciecha zbudził się naród do prawdziwego życia, przejrzał w prawdzie Bożej, przez chrzest św. odrodził duszę ku żywotowi wiecznemu i stanął godnie w swem chrześcijaństwie w rzędzie innych narodów, do rozwoju dziejowego. Św. Wojciech bowiem przejrzał duszę naszego narodu, pozyskując ją dla prawdziwej wiary tem, ku czemu ta dusza lgnęła! Więc tej duszy, łagodnej, miłującej spokój, uwielbiającej piękno, miłość rodzinną i ziemię ojczystą, przedstawiał głównie postać Niepokalanie Poczętej Dziewicy, odwiecznej Wybranki Boga Ojca, Dziewiczej Matki Boga Syna, przeczystej Oblubienicy Boga Ducha Św. a stosując tak dalej wszystkie prawdy wiary św. do tej, która była współodkupicielką rodzaju ludzkiego i jako przemożna pośredniczka stanęła między grzeszną ziemią a sprawiedliwym Niebem. Łatwo tym sposobem trafił do serc polskiego ludu, który już z przyrodzonych właściwości swego ducha lgnął do św. Pani, Matki Boga i ludzi, a poznając coraz dokładniej Jej święte postąnictwo w Boskiem dziele odkupienia, coraz więcej też z dziedziną św. wiary się zaznajamiał. Wielki Apostoł Polski, św. Wojciech, nauczał naszych przodków w gontynach, pogańskich gajach, i wszędzie tam, gdzie stały ich pogańskie bożyszczka, by po wykazaniu ich niemocy, stawiać na ich miejsce posągi Bogarodzicy,

która go jako dziecko jeszcze w kościele Libickim do życia przywróciła. Głosząc ten cud św. Pani i widząc, że słuchaczy swych dostatecznie dla Niej pozyskał, strącał bożyszczka, i aby nawrócony lud do czci tej nowej Pani tem snadniej zaprawić, pobożne pieśni z nim o Niej śpiewał. W rozważaniu więc wielkiej Bożej Matki, uczył się naród Polski u kolebki swego rozwoju, zasad wiary św. a w naśladowaniu Jej cnót zaprawiał się w chrześcijańskiej obyczajności. Słusznie więc N. M. P. trzeba nazwać Matką i Królową naszego narodu, jeśli bowiem Chrześcijaństwo było kolebką i ostoją bytu Polski, to cześć N. M. P., jako powszechny wyraz tego chrześcijaństwa w Polsce, była jej duszą, jak z imieniem N. M. P. na ustach budziła się Polska do narodowego życia, tak później, we czci Jej, urastał Cześć Naj. Marji Panny przejmując wszystkie dziedziny Polskiego życia. Wedle tej czci kształtują się całe dzieje Polski.

Pierwiastek Marjański przebija się w rozwoju polskiego narodu, zarówno nazewnątrz jak i wewnątrz. Widać go w życiu społecznym i rodzinnym, w piśmiennictwie i sztuce. Jest on ostoją życia narodowego zawsze i wszędzie, bo i na kresach i na dalekiem gorzkim wychodźtwiel N. M. P. przejęła całe nasze życie, więc śmieje może Polska rzec o tej swojej Matce, za mędrcom Pańskim: „przyszły mi pospołu z Nią wszystkie dobra i niezliczona pocziwość przez Jej ręce“. I zaprawdę podwaliną historii i narodowości Polskiej jest religja, zaszczerpiona nam na kulcie N. M. P. W czasie państwowego rozbicia Polski w XII i XIII wieku, jedyną spójnią potarganych i zwaśnionych z sobą ziem, był Kościół katolicki i jego kult dla N. M. P. I to tylko uchroniło nas wówczas od zalewu niemieckiego, i to tylko zdolne jest chronić nas i dziś, zarówno od niebezpieczeństwa zachodniego jak i wschodniego. Świadectwem religijnego nastawienia Polski jest jej chrześcijańska sprawiedliwość w stosunku do obcych, boć przecież naród polski, począwszy od Kazimierza Wielkiego, warował sobie samemu prawo stanowienia o wojnie, co Sejm warszawski za Zygmunta III tak określił: „żadnemi wojski sąsiadom bella affensiva inferre, nie mamy sine consensu. et scitu omnium ordinum, chybaby nas, Boże strzeż, pierwej jakim zgwałceniem przymierza, albo niespodziewanym, a nagłym impetem sięgać chcieli“. Toteż Polska — jak powiada St. Kutrzeba w swej pracy p. t. „Prawo wojny w Polsce“ — krom obrony swej ziemi i chrześcijaństwa, innych wojen nie prowadziła i zaczepnie w stosunku do sąsiada



nie występowała nigdy. Ta prawda przeto, że w dziejach naszych niema ani jednej wojny zaborczej, jest największą naszą chlubą. Słusznie więc mógł pisać Mickiewicz w „księgach pielgrzymstwa narodu polskiego“: naród polski czcił Boga, wierząc, iż kto czci Boga, oddaje cześć wszystkiemu co dobre. Polscy królowie i ludzie rycerscy nie napastowali nigdy żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwa od pogan i barbarzyńców, niosących niewolę. Nigdy króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności“. W 4-tym t. Przykładów Ojczystych Mokotowicza, czytamy, że nawet cudzoziemiec, bo amerykański uczony Norman, tak mówi o nas: „Za obronę Europy przed zalewem barbarzyńców Polska nie żądała nigdy wynagrodzenia ani w postaci wojsk, ani pieniędzy; nie pragnęła wdzięczności. Postępowanie Europy wobec niej jest z tego powodu jedną ze zbrodni dziejowych. Polska strzegła wiary Chrystusowej, podczas gdy większość Europy tonęła w krwawych wojnach rabunkowych“. Treścią więc dziejów Polski, nawet w ustach obcych, jest obrona sprawiedliwości, a czyż inaczej było w sierpniu 1920 r. t. j. prawie nazajutrz po odzyskaniu niepodległości? Przecież Polska w roku tym ocaliła Europę, — znów przy pomocy swej Matki Królowej N. M. P. — od bolszewickiej dzumy. W dziedzicznym umiłowaniu piękna, ukochali je Polacy, w jego najwyższym wyrazie, t. j. w czystości serca; wpatrzeni zaś w swą świętą przewodniczkę, którą Kościół nazywa „zwierciadłem sprawiedliwości“, służyli za Jej przykładem jeno świętej sprawie, chcąc osiąść w swych prawych duszach, na wzór N. M. P. odbicie odwiecznego piękna.

Toteż niema w świecie drugiego narodu, któryby się mógł wykazać podobną czystością dziejowej swej sprawy. Polska sięgała od morza do morza i w jej granicach żyły różne ludy, nie było tam jednak, ani skrawka ziemi zdobytej najazdem, lub podstępem. Polska bowiem rosła siostrzaną miłością, opartą na chrześcijańskiej sprawiedliwości, a gdy podnosiła obronny miecz, to jeno dla świętej potrzeby, boć „potrzebą“ każdą wojnę u nas nazywano, a ponieważ w tej świętej służbie długie wieki trwała i pierś swego rycerstwa osłaniała całą Europę przed zalewem mongolskiej dziczy, nabyła, krwią swą serdeczną, chlubny przydomek: „przedmurza chrześcijaństwa“. Niedziw to wszakże, boć Bogarodzica, Matką Polsce była i wedle Jej macierzyńskiego

wzoru kształtował się duch narodu, który w narodowej swej pieśni powtarzał raz wraz prośbę: „ziści nam, spust winam“ i tak czystość swą odnawiał! Gdy w drugiej połowie XVI wieku poczęły się w Polsce krzewić nowinki lutersko-kalwińskie, wówczas powoli przycichała pieśń Bogurodzica. Śpiewano ją jeszcze tak, jak i dziś, jeno w katedrze gnieźnieńskiej, u trumny św. Wojciecha. Zamilkła natomiast w obozach i na polach walki. Po raz ostatni śpiewało ją polskie rycerstwo podczas odsieczy Wiednia 1683 r. Ale też ówczesna odsiecz Wiednia, której 250-cio letnią glorię obchodziliśmy w zeszłym roku, była ostatniem, aż do sierpnia 1920 r. polem naszej chwały przedrozbiorowej. Pierwszem zaś Polski Zmartwychwstającej to cud nad Wisłą w św. Wniebowzięcia 1920 r., przez co stała się znowu przedmurzem chrześcijaństwa. Po odsieczy wiedeńskiej, po tym wiekopomnym czynie sługi N. M. P. Króla Sobieskiego, poczęła więdnąć w duszy narodu ta święta krasa, a tem samem poczęło słabnąć i jej ciało. Zwątlony wewnętrzną niemocą, a dobity gwałtem trzech czarnych sępów-narodów — i to w chwili dźwigania zrębów swej państwowości, odnowionej Konstytucją 3-go maja — poszedł w niewolę, od której przez tyle wieków tak bohatercko bronił niewdzięczną Europę. Śnać w wyrokach Bożych pisanem mu było, że póty jego wolności, póki owego piękna w duszy. Lecz oto, dziś naród nasz staje na przełomie! Polska, którą Napoleon Bonaparte określił jako zwrotnik sklepienia europejskiego, musiała odzyskać wolność, jeżeli to sklepienie nie miało się całkowicie zapaść. Uwolniona z kajdan 1½ wiekowej niewoli, za którą Europa zapłaciła morzem krwi, wylanej w wielkiej wojnie, stanęła Polska jako samoistne państwo w rzeszy państw świata. Marzenia pokoleń stały się rzeczywistością: Polska zmartwychwstaje i nowe poczyna życie. Zatem nam synom tej zmartwychwstającej Macierzy, koniecznie pomnić należy, czem Polska czasu swej potęgi i chwały stała, a czem potem upadła! Otóż stała czystością swego ducha, który rozmiłował się w pięknie bożem, a upadła, gdy ten duch grzechem się skalał. Zygmunt Krasiński, ten najgłębszy nasz wieszcz, proroczym swym wzrokiem przeniknął z woli Bożej, dzisiejszą przełomową chwilę Polski, mówiąc tak w Psalmie „dobrej Woli“:

Teraz, gdy rozgrzmiał się Sąd Twój w niebie,
 Ponad lat zbiegłych 2-ma tysiącami
 Daj nam, Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego — samych wskrzesić siebie!...

Ukochawszy całą potęgą swego gorącego serca sprawę narodu, jasno przejrzał natchniony wieszcz ducha dziejów Polski i wyrzekł tę ostateczną prawdę, iż bez nas samych Bóg nas nie zbawi! My sami jeno możemy wskrzesić siebie rzeczywiście, a potrafimy tego dokonać tylko świętymi czynami, bo niemi tylko Polska stała czasu swej chwały! Wszak każdy z tych czynów, który praojcowie nasi podejmowali dla świętej sprawy, był świętym, kiedy bowiem przystępowali do spełnienia go, to zawsze Bogarodzącę ze skrucą prosili: „ziści nam, spust winam“. Wiedzieli bowiem, iż kiedy po odpuszczeniu win, otrzymają łaskę poświęcającą, to każdy czyn dobry, w tej łasce spełniony, dla nadprzyrodzonego piękna, którem wówczas promienieje, ma u Boga wielką wartość, którą też Bóg sownie wynagradza. Tak też i nam dziś czynić trzeba, by móc świętymi czynami samych siebie wskrzesić! Niejednemu atoli zdaje się, że owe święte czyny dotyczyć muszą jakichś nadzwyczajnych spraw narodowych, a tymczasem z szarych codziennych czynów zawodowych, urasta życie całego narodu, jak to wskazywał Brodziński w tych słowach:

Czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży...

Do pracy więc! W imię starego hasła: dla Boga i ojczyzny, odnowmy co prędzej w świętym sakramencie nasze dusze, a utrzymując je przez ciągłą czujność i często powtarzane akty skruchy w nadprzyrodzonym pięknie łaski poświęcającej, imajmy się pług codziennej pracy, a wówczas każdy nasz czyn, choćby najmniejszy, będzie świętym, a gdy Bóg miłosierny te czyny policzy, to zbierze się ich tyle, że pozwoli nam wskrzesić nareszcie siebie samych! Byśmy atoli mogli wytrwać w tem świętem przedsięwzięciu, słuchajmy dalej natchnionego wieszca Kraśńskiego, który w tymże samym Psalmie „Dobrej Woli“, każe nam tak modlić się razem z naszą Panią, — co za nas u Pana doprasza się słuchu:

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serca czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud zdradzieckich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę...

Idźmy za głosem również listu pasterskiego, naszego Episkopatu, której na krógu bił niedawno po wszystkich kościołach Polski, jak ona długa i szeroka.

O! Biada nam, jeśli serca polskie nie usłyszą tego bicia na trwozę o egzystencję narodu, toć jeszcze Krasieński kazał nam: przeciw piekłu podnieść kord...

Wiosna idzie! Idzie i tchnie życiodajnym wiewem i radość w sercach ludzkich budzi! Ludziom jakoś lepiej na wiosnę, ale i tęskno jakoś. Tęskno im po dniu minionym i tęskno do nieznanego jutra! Za sobą i przed sobą im tęskno! Ale i radośnie jakoś! Budzi ona w człowieku radość i tęsknotę, bo tam, w sercu jego, co jest obrazem i podobieństwem samego Boga tai się nieśmiertelność, a wiosna, zmartwychwstanie łąk kwiecistych, urodzajnych pól i lasów szumiących, toć to obraz tej nieśmiertelności, bo wiosna zawsze młoda! To też kiedy świat wiosną dzień poczyna, wówczas obraz tej nieśmiertelności budzi radość serca, a jej wspomnienie tęsknotą je przyjmuje, a gdy serce polskie wzbierze tą radością i tęsknotą wiosny to śpiewa: „Chwalcie łąki umajone, chwalcie doliny zielone, chwalcie cieniste gaiki, góry i kręte strumyki. Chwalcie z nami Panią świata!...”

I brzmi tą pieśnią cała polska ziemia. I bije jej echo po zielonej runi od przydrożnej kapliczki i gruszy na miedzy polnej, kędy wisi Jasnogórski obrazek Marji, wydziera się z wnętrza wiejskiego kościółka i leci pogłosem w kwitnące sady i do chat się wciska. Trzęsą się od tej pieśni mury miejskich świątyń, a jej słowo przebija się głosem radości ponad uliczny gwar zwątpienia...

Cała polska ziemia, gdy nieśmiertelnością wiosny dyszeć pocznie, cześć Marji śpiewa! O tak! Wszak w tej ziemi tai się nieśmiertelna żywotność, i kiedy wiosna tchnie w nią zmartwychwstaniem, do źródła tej żywotności bieży! Garnie się wtedy polski naród do swej Matki, od której wziął życie i u niej czerpie tę nieśmiertelność żywotną, dzięki której przetrwał niewolę, i przetrwa też jej następstwa! Chodźmy więc do niej wszyscy, i na każdy dzień maja tego wielkiego miesiąca Marji, stawajmy gęstwą u jej ołtarzy i sercami a czynami wołajmy:

O, stąp, Przczysta, na tę smutną ziemię,
Kędy o Tobie plemię śni, błędne, tułacze,
A na swych barkach, dźwiga grzechu brzemię,
I na drogach rozstajnych za tobą wciąż płacze.
O, stąp, Przczysta, dobra matko świata,
I otocz swem skrzydłem ową rzeszę biedną,
Którą ogromem swoim grzech przygniata,
A która w Tobie ma ucieczkę jedną!...

Jurek-drań.

Zwano go w domu Jurkiem, dopóki nie podrósł na tyle, że zasłużył na ów, mało pochlebny przydomek: drań. Zaciętą bitwę na języki stoczył jego ojciec z rodziną, jakie mu dać imię; chłopskie, — nie idzie, bo Rogalów, to nie wieś, ale miasteczko i szewc tam mieszkający nie jest zwyczajnym sobie chłopem, choć uprawia trochę pola. Ale i panem z miasta też nie jest, bo wiadomo, panowie, to wrogowie chłopów i mieszczan-rzemieślników. Mimo wszystko jednak był „panem“ przy wyborze imienia dla jedynaka, ale chłopem... przy wyborach.

Z Jurka był straszliwie dumny; bo to i zdrowe było chłopczysko i niebrzydkie, — a już czarne ślepka to takie miał jakieś niesamowite, że nie można się im było napatrzeć. Raz wyglądały z nich jakoweś niesłychane figle, potem znowu wyzierała z nich żadna wrażeń ciekawość, to znowu jakiś smętek i jakieś — zda się — wielkie i piękne uczucie.

Nieraz ojciec, zapatrzony w oczka Jurka, rzucił matce złościwie:

— Ma twoje ładne oczy, tylko już teraz o wiele mądrzejsze od twoich!

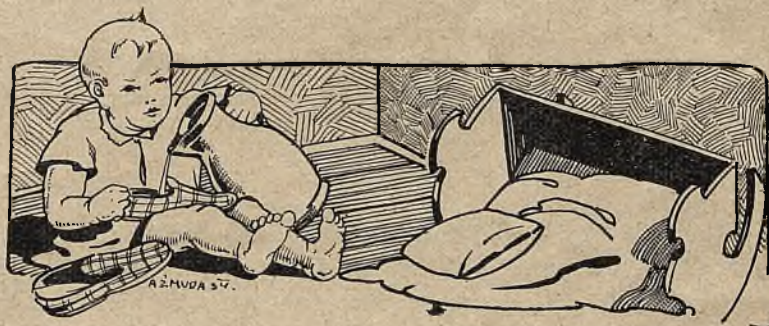
— Doje ci jeszcze dobrze, gdy podrośnie, — wiadomo: jaki ojciec, taki syn! prorokowała.

— W każdym razie nie dogryzie tyle, co ty! odcinał się.

Niestety — prorocstwo matki zaczęło się iść aż zbyt prędko, bo już pierwsze samodzielne kroki Jurka były połączone z wcale piękną awanturą.

A było to tak. Rodzice obydwójce kochali Jurka bardzo i choć już chłopak był spory, nie pozwolili mu stanąć na nogi, — „bo to kosteczki w nogach jeszcze miękkie, więc mogą się pogiąć w pałaki, a figurę może mieć potem ciężką, przysadzistą, — wiadomo, jak wygląda Józek od krawca; a Jurek musi być chłopiec szykowny, prosty jak świeca, więc trzymać go jak najdłużej w kołysce“. I nie pomogły nic groźne ryki malca, ani pioruny, rzucane z pięknych oczek na rodzicieli; — kołyska trzeszczała, ale chłopca nie puściła. Raz obudził się, — nikogo nie było blisko. Zobaczył jakiś sznurek, przywiązany do okna; wyciągnął rączyny i chwyciwszy sznura oburącz, mocno zaczął go ciągnąć — i spowodował przewrócenie się kołyski. Ani pisnął, mimo

iż czołem grzmotnął o podłogę; a potem wykazał wiele przedsiębiorczości i samodzielności: wylazł jakoś z krępujących go więzów, wypatroszył z kołyski startą na sieczkę brudną słomę, — następnie niezgrabnie, ale mocno stąpając, dotarł do dzbanka z mlekiem, które najpoważniej w świecie jął przelewać do... matczy-



nych trzewików... Nie opisuję, co było dalej, bo zbyt skomplikowane były uczucia i rozważania rodziców na temat dalszej edukacji Jurka, dość, że odtąd już chodził, a nawet nieźle kopał.

Oryginalnie też zaczął mówić; matka z dziwną miną zawiadomiła raz ojca:

— Juruś dziś przemówił!

— Jakież pierwsze słowo? — zaciekawiał się ojciec.

— Wcałe wyraźnie powiedział: psiakrew! — relacjonowała.

— O! cholernik! drań! — dziwił się po szwsku.

Tegoż dnia, — pewnie z radości nieźle podchmielił. Ale to słowo: drań, — przywarło do Jurka na stałe. Zrazu wymawiane było pieszczotliwie i żartobliwie, ale potem, w miarę jak Juruś coraz więcej broił, — z pasją i... przekonaniem. Gdy ojciec Jurka ukarał, tłumaczył mu, dlaczego zwie go draniem.

— Bo to widzisz, to słowo mieści początkowe litery z najgorszych przezwisk: d, — dureń, drańcia, drapieźnik; r, — rabuś, rakarz; a, — awanturnik, „analfabeta“; ń, — niecnota, niedołęga, nicpoń i t. d. Pomyśl, na jakie piękne tytuły zasłużyłeś!

Ale mimo wszystko, Jurek tylko jeden z tych tytułów zamieślał przekreślić: analfabeta; zaczął chodzić do szkoły.

Złamałbym pióro przed opisem tego, co nasz pupil wyrabiał w szkole, gdyby nie to, że mię kosztowało kilkadziesiąt złotych. Zresztą warto zwrócić uwagę na ciekawe zjawisko: Juruś prawie

nigdy, mimo figlów, nie bywał karany. N. p. podłożył komuś na ławce t. zw. bombę, tj. chytrze spreparowaną torbę papierową wypełnioną wodą. Ile podejrzeń na biedaka, co na taką bombę usiadł, ile chichotów po klasie i złośliwych uwag, zanim wykryto, że woda na ławce pochodzi z „bomby“ i że winowajcą jest Jurek-drań.

— Czemuś to zrobił? — groźne pytanie.

— Psz pana, ja już nigdy tak nie zrobię!

— No, tym razem darowane; aha! ty tak nie zrobisz ale pewnie inaczej?

— Nie!

— No!

I ku zdziwieniu całej klasy Jurkowi darowano, choć w takich razach nikt od kary się nie wykręcił. Cały sekret był w tem, że Jurek, mimowoli, nie wiedząc o tem, gdy był sądzony, tak ślicznie umiał popatrzeć na swego sędziego, tak jakoś niewinnie i pokornie, że nawet „twarde“ serce dyrektora szkoły miękło i — Jurek obmyślał nowe kawały; wszak obiecał: tak nigdy nie będzie, ale zawsze inaczej, zawsze oryginalniej.

Obietnicy dotrzymał solidnie, bo już nazajutrz z kolegą Władkiem zrobił zakład: kto prędzej przerznie ławkę szkolną na dwie połowy — i to w czasie polskiego? (wiek rekordów). Koziki w ruch — i za chwilę nauczycielka, zwabiona trzaskiem operowanej ławy, woła:

— Władek, — łapę! Jurek też!

Władek pokornie przyjął cios, ale Jurek, w momencie, gdy nauczycielka machnęła trzcina, porwał rękę, a trzcina, trafiwszy w próżnię, wyrwała się nauczycielce z ręki i — o jedną szybę było okno uboższe. Rozgniewana wychowawczyni chwyciła oburącz dłoń Jurka i — swoim zwyczajem zaczęła tłuc o kant ławki. Ale i na to miał Juruś sposób: opierał się, że ręka początkowo ani tknęła ławki, a następnie krzepko obydwoma dłońmi chwycił dłonie nauczycielki i, obróciwszy je gwałtownie, sprawił, że nauczycielka w ferworze obtłukła o ławkę własne pielęgnowane palce. Widząc, że sobie z nim nie poradzi, dla zawstydzenia — wsadziła Jurka z Władkiem między dziewczęta (z Władkiem miała jeszcze dawniejsze porachunki). Kara była wielka i hańba wobec klasy straszliwa, jakiej szanujący się drań nie zniesie; trzeba się było jakoś rehabilitować. Sporządzić którejs dziewczynie bombę z wodą? to za mało (zwłaszcza, że przed dwoma godzinami już ją którejs

ze skutkiem podłożył.) „Trzeba coś takiego zrobić, by nas nauczycielka nawet i zpośród dzierlatek wywaliła“. Pomógł mu Władek, bo gdy nauczycielka zaczęła opowiadać interesującą bajkę i dzieci się zaszuchały, ostrożnie związał wstążeczki, jakimi były zakończone warkoczyki dwu siedzących w przedniej ławce dziewczynek; następnie Jurek, wlot pojawiwszy plan Władka, nagle wetknął swą głowę między głowy dziewcząt i okropnie zacharczał:
— Pfchyl

Przerazone dzieci odskoczyły od siebie, związane warkoczami naprężyły się gwałtownie i jeden słabszy na końcu urwał się ze wstążeczką...

Płacz, besztanie, trzcina w ruchu — i winowajcy klęczą po kątach, ale nie siedzą między dziewczętami; o to przecież chodziło...

Nasz Juruś, jakkolwiek z Władkiem (tym od kowala) kochał się bardzo, jednak miewał z nim czasem pewne porachunki. Raz obmyślał zemstę, ale to taką wyrafinowaną, bo przewinień Władka niepomszczonych było już za dużo. Trzeba go było tak „sprac“ by jednak nie być ukaranym, ale aby jeszcze Władkowi dyrektor dołożył. Zemstę tak przeprowadził: czemś niby niechcący rozjuszył Władka, a gdy ten nań się rzucił, dał się położyć na podłodze, a następnie trzymając go nogami i lewą ręką na sobie, prawą grzmocił co siły (był od Władka silniejszy), krzycząc przytem rozpaczliwie. Na to wpadł dyrektor, — no, i rozumie się, Władka wezwał na „czarną kawę“ do kancelarji.

— Za co biłeś Jurka?

— Pszę pana dyrektora, to Jurek mnie pobił; on silniejszy!

— Tyś był na wierzchu!

— To on mię tak naumyślnie trzymał i bił, żeby nie było na niego, tylko na mnie!

— Nieprawda! Ja go znam! On nigdy nie był „na spodzie“ w czasie bitki! kładź się!

I biedny Władek oprócz jurkowskiego „masowania“ miał jeszcze wcieranie od dyrektora; zemsta Jurkowi się udała.

Był też nasz „drań“ wybitnym antysemitą. Ale nie chodziło mu wcale o to, by jego rodzinne miasteczko, jak wszystkie prawe miasteczka dawnej Galicji zachodniej zażydzone — „odżydzić“, — nie; nawet rad był, że jest dużo „żydajstwa“, bo jest w czem wybierać, gdy się jakąś hecę urządza. Jurka irytowało to, że żydziaki wszędzie ze sobą gadały po żydowsku, a on nic z tego nie rozumiał; w takich razach bił ich bez miłosierdzia.

— Bo to — powiadał — tak w każdym języku się dogadasz; jak takiego pogana szurniesz w zęby, to zaraz pojmnie, co chcesz od niego. Filistyny i Żydy nie mogły się dogadać, aż Dawid Goltatowi „durkoczem” (kamieniem) przetłumaczył, z kim okoliczność się o co się rozłązi...

Specjalnie zaś niecierpiał młodego jeszcze lichwiarza Chaimek i stale miewał z nim zatargi. Raz jednak chciał wszystkie swe „krzywdy” odbić, a że sam nie mógł, wezwał do pomocy kolegów. Pewnego wieczora umieścił ich kilkunastu w czyjejs sieni, aby byli niewidoczni, sam zaś w pobliżu spacerował. Niedługo nadszedł Chaimek, a Jurek szpetnie doń zagadał. Żyd pooglądał się, a widząc, że nikogo w pobliżu niema — i że Jurek nie ucieka, chwycił go, rozciągnął na drodze i zamierzał porządnie obić. Na żałośliwy krzyk Jurka ukryci koledzy wysypali się z sieni, jak podrażnione osy z gniazda, „nakryli” żyda i urządzili mu straszliwy „sądny dzień”, jakkolwiek do sądnego dnia było jeszcze daleko.

— Masz, żydu, na procent! śmiał się Jurek.

Mimo wszystkich psot, jakie urządzał i jakim przewodził, miał Jurek dobre a nawet miękkie serce; aż go nieraz wstyd było przed samym sobą, że niby to taki prowodyr i drań, a nie mógł się jakoś powstrzymać, by komuś czegoś dobrego nie zrobić. — zwłaszcza najbiedniejszym kolegom. I jak prawie zawsze wykręcał się, gdy coś przeszkrobał, tak nigdy się nie przyznał, gdy komuś coś dobrego uczynił, nawet gdy mu to udowodniono. Raz za znalezione pieniądze pokupił i popodkładał biednym kolegom zeszyty; innym razem, za pieniądze otrzymane od ojca na zabawki — najbiedniejszemu zafundował potajemnie książkę do nauki; a jeszcze innym razem (tego nigdy nie mógł sobie darować), gdy przebrany za indjanina straszył malców, usłyszał głośny krzyk. Skoczył ku drodze i zobaczył, jak kilka psów, poszczutych przez dzieci, opadło żydziaka i już zaczęło kąsać. Jurek porwał jakiś kij i tak nim psiska obrobił, że ze skowytem puciekały. Przerażony, nerwowy żydek z wdzięczności aż w rękę pocałował Jurka, którego, mimo przebrania, zdawał się poznawać.

— Jurek!

— Nieprawda!

— Poznają po oczach!

— Pożyczyłem ich sobie od Jurka! Albo to zresztą tylko Jurek ma takie oczy? Ja też takie mam, choćem Indjanin!

I nie pomogły nazajutrz ani pochwały, ani sowita nagroda, jaką ojciec żydka przeznaczył dla obrońcy; Jurka coś dławilo w gardle, serce jakoś dziwnie mu biło, pocił się, ale się nie przyznał, — a nawet szturchańcem poczęstował kolegę, który go „posądzał“ o obronę:

— Nie rób plotek! burknął; broniłbym Żyda?

A spyta może ktoś, jak się uczył? Co do tego, — to ani go ganiono, ani chwalono, raczej dobrze się uczył, jakby przeczuwał, że bardzo mu się ta nauka przyda już wnet, a jeden z nauczycieli odkrył w nim wielkie zdolności do mechaniki. Odkrycie to jednak na nic — chwilowo — się zdało, bo jak zauważył dyrektor, Jurek nie może ani do szkół pójść, ani do warsztatów... Dlaczego? Bo w rodzinie Jurka coś się psuje... Tak było istotnie.

Ojciec obrabiał buty, nie bacząc, że żona ma się ku innemu... Gdy mu na to zwrócono uwagę, uniósł się strasznym gniewem i postanowił gacha i żonę porządnie przetrzepać! Dla dodania sobie odwagi upił się, ale też w lubem zamroczeniu alkoholizmem przyszły mu inne myśli; jakoś się rozczulił nad swym losem, potem obojgu darował swą krzywdę, obiecując usunąć się im z oczu. Jak? Chyba kiwnąć! I kiwnął — narazie nie śmiertelnie, bo tylko pod ławę...

Odtąd zmienił się bardzo; dowcip i język mu się stępił, Jurka nie strofował, a kochał jeszcze bardziej, — i pił prawie codziennie.

Niedługo to jednak trwało, bo po kilku miesiącach wpadł w dziwną chorobę, której lekarz nie mógł rozpoznać, a sam chory smutno się uśmiechając, postawił sobie diagnozę:

— Doktorciu, ta choroba nazywa się: wnet kiwnę!

Było to bardzo podobne do prawdy, że wnet umrze, bo jego połówica tylko udawała, że go pielęgnuje, a w gruncie rzeczy tylko czekała, kiedy zamknie oczy.

A Juruś? Nie brał serjo choroby ojca, choć go bardzo kochał, a nie pilnowany uganiał po świecie.

Raz posłyszał na drodze huk motocykla. Czy może być większa atrakcja dla takiego urwisa, zwłaszcza, gdy motocykl stanie? A to właśnie się zdarzyło, bo motor stanął: coś było nie w porządku. Jurek już był przy nim. Zmartwiony motocyklista zaczął coś majstrować koło pękniętej opony, tłumacząc jadącemu z nim księdzu, że byłoby wszystko wnet naprawione, gdyby nie to, że niema czem dziury załatać, — a i w motorze coś nie tego...

— Mój tato szewc, ma dużo różnych gum, i ja też! rzekł Jurek.

— Dawaj! zapłacę! — krzyknął uradowany motocyklista. — A macie może jakie śrubki, druty?

— Mam pełne pudło!

— Złotyś, kiciu! dawaj wszystko!

— Jul!

Wnet motor naprawiono; Jurkowa jakaś śrubka ślicznie się przydała, z czego był niezmiernie rad, a w zbiorze gum znalazła się też odpowiednia do naprawienia pękniętej opony. Jurek tak dzielnie i umiejętnie pomagał, że obaj podróżni byli zachwyceni; ale nie wytrzymał, by im nie zrobić figla. W czasie majstrowania niespostrzeżenie odpiął kabel od świecy i przywiązał go do niej nieznacznie sznurkiem. Oczywiście motor ani prychnął mimo wysiłków kierowcy. Podziw podróżnych doszedł do zenitu, gdy wnet figla odkryli.

— A to dobio! majster! Nawet takiego psikusa potrafił! Uczyć takiego, uczyć! Chciałbyś?

— Pewnie, że nie chciałbym być takim „bebłkiem“ (niedolegą). Ale tata chory, a mama... nie może tak się starać o mnie...

— To ty się sam staraj! No! bądź zdrow! Dziękujemy ci? I obdarzywszy go, pojechali.

A Jurek poszedł do ojca opowiedzieć wszystko; lecz chory nie bardzo słuchał, co mu „drań“ opowiadał, tylko jakoś dziwnie nań popatrzył i zagadnął:

— Juruś!

— Oho! coś będzie nowego, bo ojciec dawno tak mnie nie wołał — myślał Jurek.

— Juruś! wnet będziesz sierotą!...

„Drań“ zrazu nie pojął znaczenia tych słów; za wielkie było. Stał chwilę bez ruchu, wpatrzony w ojca i nagle runął na kolana przy łóżku umierającego z rozdzierającym płaczem.

— Tak — mówił ojciec — wnet kiwnę. A będziesz mię dobrze wspominał, bo ten przysły ojczym, to ci będzie dawał takie przezwiska, że to, com ci mówił: „draniu“ to będzie przy nich wyglądało jakbym ci mówił „wielmożny panie“! — Próbowował żartować. — Ale mi przebacz wszystko, com ci dokuczył!

— Tatkull co mówił — łkał Jurek.

— Masz tu, aniołku, pulares z pieniędzmi; trochę¹ zaoszczędziłem. Spraw mi z tego pogrzeb jaknajskromniejszy, żeby ci jak naj-

więcej zostało. A matce nie daj nic! Niby to przykazanie każe ci ją kochać, — tak! módl się za nią, ale pieniędzy pilnuj, bo ci weźmie i „przeputa“! Schowaj dobrze, bo przy ich pomocy może znajdziesz gdzieś zajęcie, opiekę — sieroto!

Wnet potem na rękach Jurka skołał; chłopiec tyle leż wyłał za ojcem, iż zdawało się, że oczy wypłacze. Potem z pomocą stryja zajął się pogrzebem, przez co zdradził się, że ma pieniądze. Po pogrzebie matka zabrała mu je mimo jego przezorności, prawie wszystkie. Zdołał uratować tylko piękny ojcowski pugilares z jakimiś piętnastoma złotymi.



Po pogrzebie ojca, otarłszy łzy, zaczął myśleć o swej przyszłości dość poważnie, bo przeczuwał, że jest matce zawadą. Ale gdzie się podzieje? Możeby odszukać tych podróźnych-motocyklistów? Bo oni pewnie byli z jakiegoś zakładu, — a może z tego dla sierót (na te domysły naprowadził go strzęp podsłuchanej rozmowy w czasie naprawiania motocykla) z Miejsca?

Ech, jeszcze nie, — trzeba użyć swobody!

I używał jej, ale z pieniędzy wydał już trzy złote. Obliczył, że tak niedługo potrwą swoboda; wprawdzie „lepszy w wolności kasek ladażaki, niżli w niewoli przysmaki“, ale to mówił bajkowy wilk, co to mu wolno rabować, — a ja? Niby r, — rabuś, — to przecież nie chciałbym nim być. A pieniądze idą i już trzy złote... Przypomniał sobie znane przysłowie, które po swojemu zmody-

fikował: miej złota beczkę i próżnij mospanie, — i złoto uleci a... beczka zostanie... w tym wypadku piękny pugilares, za który mógłby dostać pięć złotych; a i te wnet pójdą, a wtedy nie będzie i „beczki“.

Ale o! Ktożby tam myślał, co potem będzie!

I — o mało nie został rabusiem, bo dostał się w złe towarzy-



stwo, co wiadomo przecież, że „dobry przykład dokona cudu“, zło — dwóch... Gdy matce zwrócono uwagę, że Jurek zaczyna być najgorszym, zaopiekowała się nim niespodzianie na swój sposób.

— Jurek, jutro pojedziemy do Miejsca!

— Poco?

— Jesteś na szczęście sierotą, tam zostaniesz!

— Możeby tam wprzód napisać? — wymyślał zwłokę.

— Już mi odpisali, że niema miejsca dla ciebie, bo zakład przepełniony!

— No, — to nie przyjmą mnie!

— Przyjmą, tylko muszę im ciebie pokazać i to i owo wytłumaczyć!

Z ciężkiem sercem zegnał nazajutrz rodzinne miasteczko. Żał mu było wszystkiego; ale trudno, — wziął do kieszeni piękny pugilares z jedenastoma już tylko złotymi — i pojechali. Wnet stanęli przed kancelarją dyrektora zakładu. Jurek na korytarzu poznał księdza, który swego czasu jechał na motocyklu i pięknie się z nim przywitał.

— Jurek, a ty tu poco? — zagadnął ksiądz.

— On już sierota, chciałabym go dać do Was — odparła matka.

— Podobno niema miejsca — rzekł ksiądz; ale próbujcie u dyrektora szczęścia, a gdyby wam nie szło, to ja wam pomogę, bo Jurka znam, — dobry chłopiec i zdolny, tylko, zdaje się, trochę urwis!

Ale u dyrektora wcale nie szło; nie pomagało nawet wstawiennictwo księdza, że usunie się tam jakieś szafki i umywalnie z sypialni chłopców, że się zrobi miejsce na łóżko dla Jurka, że Jurek zdolny mechanik, że... że..., dyrektor na wszystko chwiał głową i mruzczał:

— Ksiądz wie, że na strychach i po wszystkich wolnych kątach są „sypialnie”! Zakład za szczupły; możnaby rozszerzyć, rozbudować, ale skąd wziąć pieniędzy? Na rozbudowę najwięcej daje biedota, korzystająca z zakładów, — a bogatsi mało co, prawie nic... dodał z odcieniem goryczy, bo nie znają biedy i nie potrzebują tych zakładów. Dać mało — wstyd, dać hojnie — szkoda, więc prawie nic nie dają! A potem dziwią się że tyle a tyle złoczyńców siedzi po kryminałach; a wielu — wielu między nimi — to zaniedbane sieroty!

Jurek słuchał tego z otwartymi ustami i doskonale zdawał się rozumieć, raczej czuł, że dyrektor mówi gorzką prawdę. Cieszył się, że przywiózł ze sobą trochę pieniędzy, ale jakże ich mało! A matka coś tam niby obiecała dać, ale za ledwie część z tego, co zostawił ojciec; resztę pewnie chowała na powtórne wesele. Cóż? Jurek matki nie zdradzi, że mu zabrała pieniądze.

Ale wszelkie obietnice i wymowa matki i prośby Jurka na nic się zdały. Dyrektor grzecznie, ale stanowczo oznajmił:

— Nie mogę chłopca przyjąć! Gdzie go umieszczę i co mu dam jeść?

Matka jednak nie dała za wygraną, bo Jurkowi wsunęła cichaczem do ręki kilkadziesiąt złotych i zostawiwszy go u księdza, niby to udała się za sprawunkami, — w rzeczywistości zaś odjechała do domu...

Dyrektor dowiedziawszy się, że ma o jedną gębę w zakładzie więcej (boć przecież chłopca, od którego matka uciekła, nie wypędzi, przyjąć musi), gniewał się, ponoć nawet tupał, ale już myślał, gdzie go umieści. A ksiądz próbował żartem uspokoić dyrektora:

Dyrektorciu, — serce trzeba mieć znacznie większe, niż nasze zakłady... a każdą sierotę, co się do nas zgłosi, gdzieś potraficie ulokować!

Jurek, przetęskniwszy we łzach pierwsze dni, prędko się otrząsnął z przykrych wrażeń, — i jakkolwiek znacznie spoważniał, jednak pozostał nadal uczynnym i wesołym dowcipnisiem, to znaczy ulubieńcem wszystkich; a już specjalnie świata nie widzieli poza Jurkiem dwaj mocarze w zakładzie: motorzysta (rozumie się!) i... kucharz (trudniej pojąć). Toteż Jurka można było najczęściej znaleźć albo w hali motoru, albo w kuchni. Nic nie potrafiło zepsuć mu humoru: ani skromne jadło, ani to, że sypiał gdzieś na strychu, ani ograniczona swoboda; zawsze miał w pogotowiu bodaj pomysły figlów. Z motorzystą rozważał, jakby to efektywnie było, gdyby tak kucharzowi pod kuchnię dla rozdmuchania ognia posłać rurą trochę powietrza ze zbiornika, w którym było zgęszczone do 70 atmosfer, — a służyło do uruchomienia motoru.

— Toby kochasiu, — tłumaczył motorowy — wszystkie garczki i baniaki leciały w powietrze, jak aeroplany!

Wiesz, co to 70 atmosfer?

— Wiem; właśnie dlatego wartałoby to zrobić!

Zaś z mistrzem od warzechy naradzał się, jakby to motorzysta łamał sobie głowę, co się stało? gdyby tak do motoru chytrze wpuścić trochę pomyj zamiast ropy.

— Toby motor parską i prychał i kichał, ażby zdechł!

Z licznych jednak pomysłów, niechący jeden zamienił w rzeczywistość.

W kuchni raz pod wieszadłem postawiono ślicznie wyczyszczony kocioł, — a na wieszadle powiesił kucharz swój nowiućki wspaniały czerwony sweter. Jurek niby niechący stracił go do kotła, by kucharz za nim szukał; zaś kucharz, nie zauwa-

żywszy zmiany na wieszadle, kazał pomocnikom w tym kotle gotować barszcz na śniadanie. Ten świadaniowy barszcz, to punkt honoru i ambicji kucharzy zakładowych: ma być ugotowany dobrze, a przytem czerwony, dopiero wtedy będzie smaczny. Ale, gdy się go gotuje, traci barwę, zaś przez dodanie czerwonego surowego, traci smak; wolał więc kucharz lepiej ugotować — bez barwy, ale głowił się, jakby to zrobić, by barwy nie stracił. Tym razem barszcz mimo a raczej w miarę silnego gotowania barwy nie tylko nie tracił, ale zdawał się jej nabierać. Oczywiście wszystkim smakował, bo wiadomo: ugotowany, a z kolorem!... Kucharze rzucili się do mistrza i pilnie notowali receptę na ów cudowny barszcz: tyle a tyle barszczu surowego, takie a takie dodatki, a tak długo się gotuje i t. d., gdy jeden z kuchcików, czyszcząc kocioł, złośliwie dodał:

— Dopiszcie: dodaje się jeszcze jedną czerwoną kamizelę!

— Co? skoczyli doń wszyscy.

— A o! pokazał zblakły sweter mistrza. Można go zjeść — ugotowany...

Zdawało się, że tynk poleci ze ścian, które się zatrzęsły od śmiechu obecnych. Tylko dwaj się nie śmiali: skonfundowany kucharz — i Jurek mimowolny sprawca.

— Ty — draniu! krzyknął kucharz na Jurka.

Draniu! Na to słowo Jurek nie był przygotowany, bo go dawno nie słyszał; przypomniało mu ono wszystko: Rogalów, szkołę, nauczycieli, kolegów a zwłaszcza ojca i — smutne mimo wszystko sieroctwo. Wielka żałość go wzięła i z głośnym płaczem wybiegł z kuchni do ogrodu. Nie mógł się uspokoić, bo to słowo tyle mu wspomnień przyniosło; i nie pomogły najwspanialsze dowcipy kucharza, którymi chciał Jurka rozweselić, — że to będą jeszcze gotować buty młynarza na miękko, a kalosze usmażać, a czapkę motorzysty i skórzaną kurtkę będą „pichcić“ w sosie, — Jurek płakał i płakał. Wreszcie uspokoił się, a nazajutrz spotkawszy znajomego księdza, zaczepił go:

— Proszę księdza, w moim Rogalowie jest więcej takich sierót, jak ja; możeby ich tu jako przyjąć?

— Dobre masz serce i wszyscy cię za to lubimy, ale mimo to śpisz na strychu, bo niema miejsca; gdzieżbyś kolegów umieścił?

— Hm, toby może rozszerzyć zakłady?

— Dobryś — a skąd groszy wziąć na to? Tyś przywiózł 11 złotych, matka dała kilkadziesiąt — to wszystko mało, ale

zawsze coś bodaj na kiepską „wyprawę“; a tu przychodzą tacy, którym trzeba wszystko kupić: ubranie, łożko, pościel, książki szkolne i t. d. i t. d., — to skąd zakłady powiększyć! Wprawdzie dobrzy ludzie dają trochę na sieroty i robią zamówienia w naszych różnych warsztatach, ale to wszystko za mało!

— Może nie wszyscy wiedzą o naszej biedzie; ale w zakładzie jest drukarnia, — możeby tak coś wydrukować do tych ludzi, żeby choć potrosze wszyscy dali, toby i biedny „drań” nie musiał marznąć na strychu i inni dranie-sieroty mieliby tu miejscel

— Dobrze, — spróbujemy!

JULJAN EJSMOND.

Pieśń Obrońców Ojczyzny.

Ojczyzno! składamy Ci dzisiaj ślub,
my, cośmy rozwarli Twój czarny grób,
my, cośmy za Ciebie ruszyli w bój,
my, cośmy walczyli o sztandar Twój, —
składamy ślub...

Dziś w słońcu swobody w radosny dzień
niech wszelka zła troska zapada w cień...
Niech w przyszłość promienny spogląda wzrok,
co podłe i niskie upadnie w mrok,
w zatarty mrok...

A jeśli nam kiedyś zagrozi wróg,
gdy armat złowieszczy zadźwięczy huk
pod twoje sztandary podąży znów
krew przelać gotowy rycerski huf...
składamy ślub...

Z wypracowania ucznia V klasy:

„Antyгона siedziała jak posąg i uśmiechała się tak zimno,
jak tylko kararyjski marmur uśmiechać się może”.

* * *

— Będziemy się bawili w mamę i tatę — proponuje Kazio.

— Nie — odpowiada Danką — słyzałeś przecież, że ma-
musia nie pozwoliła nam hałasować.

Wojna a wychodztwo.

Nie spadła ona na nas jak grom z jasnego nieba. Owszem prosiliśmy wraz z nieśmiertelnym Wieszczem o „wojnę ludów“, gdyż wierzyliśmy, że z tej pożogi wojennej wypłynie — wolna Ojczyzna.

Ażeby dobrze zrozumieć stanowisko i psychę wychodztwa, trzeba przedewszystkiem poznać grunt i tło, na jakim emigrant polski pracował i narodowo się rozwijał. Wypada zaznaczyć, że pierwsi emigranci pochodzili z zaboru pruskiego ze Śląska, Poznańskiego i Pomorza, a więc był to lud zgruntu katolicki a przytem dzięki walkom z kulturkampfem — narodowo uświadomiony. Emigracja z „Galicji“ także była już dosyć narodowo uświadomiona a z nią przybył znaczny procent ludzi o wyższem wykształceniu, ale już rozmaitych poglądów. Nawet ostatni nawał z Królestwa — to lud ze wsi o podkładzie katolickim.

Dlatego też w tem morzu amerykańskiem emigrant naogół skupiał się przy parafjach, na które nie szczędził ofiar. Tu też, w cieniu wież kościołów parafjalnych, zakwitło bujne życie narodowe, podniecone przez duchowieństwo i prasę stojącą naogół pod hasłem: „Bóg i Ojczyzna“.

Szybko rozwinęła się prasa. Początkowo były pisma tygodniowe, ale ze stałym napływem emigrantów powstało kilka pism codziennych. Jednym z najstarszych to „Dziennik Chicagoski“, który za parę lat będzie obchodził złoty jubileusz pracy dziennikarskiej. Życie narodowe grupujące się w wielkich organizacjach jak Związek Narodowy, Zjednoczenie, Sokoli, Macierz, Związek Polek i w wielu innych pomniejszych zrzeszeniach rozwijało się bardzo pomyślnie.

Pilnie wpatrywaliśmy się w nadciągające chmury brzemienne w gromy wojny. Organizacje na sejmach szukały w Polsce kontaktu z ugrupowaniami pracującymi na tle narodowym. Wszyscy żyliśmy nadzieją, że nadchodząca „wojna ludów“ chociaż będzie się przewalała na terenie polskim, jednak mimo bolesnych strat, mimo krwi bratniej, przelanej w armjach naszych ciemiężców, da Polsce wolność, a w każdym razie, jakąś autonomję.

Byliśmy wszyscy w tej niepewności, że tak Moskal jak i Prusak był nam wrogiem. Mieliśmy poniekąd trochę sympatji dla Austrii, gdyż tam jeszcze panowały możliwie znośne stosunki. Więc też trzeba było wybierać między młotem a kowadłem.

Większość wychodztwa, grupująca się przy wyżej wspomnianych organizacjach, a także kler polski stanęły w obozie antyniemieckim. Byli jednak tacy i to ludzie rzutcy, czynni i bardzo ruchliwi, którzy starali się wychodztwo przeciągnąć na stronę państw centralnych. Ich wodzem był człowiek nowy, wtenczas nieznany, który od lat prowadził pod zaborem rosyjskim pracę rewolucyjną a następnie przeniósł się na teren austriacki i zaczął tworzyć swe kadrówki. Tym dla nas nieznanym, a jak się teraz okazuje wielkim budowniczym Polski, był Marszałek Józef Piłsudski.

„Jego ludzie“ w Ameryce należeli przeważnie do partji socjalistycznej, z którą ze zrozumiałych powodów walczyło duchowieństwo. „Czerwonych“, mających może najlepsze chęci, którzy chcieli zapewne tak jak my — służyć Ojczyźnie, uważaliśmy za wywrotowców, radykałów i popsujów, niszczących nasze narodowe placówki.

Więc też na krótko przed wojną powstał w wychodztwie poważny wyłom. Elementy socjalistyczne z orientacją przyszłego Marszałka Piłsudskiego zgrupowały się w Komitecie Obrony Narodowej czyli byli to nasi „Koniowcy“. Reszta zaś stanęła przy poglądach i orientacji pro aljańskiej. W tych ugrupowaniach politycznych przetrwalimy wojnę i prowadzimy dalej pracę narodową.

Organizacje Komitetu Obrony Narodowej, w chwili wybuchu wojny, rozpoczęły czynną akcję w celu zbierania funduszków, a nawet ochotników dla formacyj legjonowych. Reszta zaś uważała tę walkę i bohaterstwo ludzi, bądź co bądź ideowych, za bezcelowe i daremne przelewanie krwi polskiej.

Większość wychodztwa włączając w to wszystkie wielkie organizacje i duchowieństwo wraz z parafjanami utworzyły — Wydział Narodowy. Centrala Wydziału znajdowała się w Chicago a w skład zarządu weszli przedstawiciele wszystkich organizacji o tym poglądzie. Na czele stał p. Jan Smulski, prezes banku North Western Trust. Duchowieństwo reprezentował J. E. Ks. Biskup Paweł Rhode z Green Bay.

Niektóre z organizacyj się już poprzednio opodatkowały po kilka centów od członka na cele narodowe. Te fundusze zbierano już od lat i odsyłało do Rapperswilu w Szwajcarji. Teraz jednak, pod gromem burzy wojennej, rwano się do pracy ratowniczej. Urządzano imprezy, zabawy i wszelkiego rodzaju zbiórki na cele ratownicze. Niemal w każdej osadzie polskiej, szczególnie przy parafjach powstawały komitety ratunkowe.

Ażeby dać pojęcie jak efektownie niektóre polskie placówki funkcjonowały, dam przykład z miasta Deuluth, Muin, gdzie wtenczas byłem proboszczem. Zamieszkiwało w mieście około 100 rodzin, grupujących się przy dwóch parafjach katolickich i jednej narodowej, która jednak zbyt czynnego udziału w pracy naszej nie brała. Otóż wkrótce po wybuchu wojny urządziliśmy „Dzień Polski“. Zebrałiśmy w jednym dniu 3300 dolarów i wysłaliśmy to wprost na ręce Henryka Sienkiewicza. Po tym pierwszym wypadku założyliśmy „Komitet Ratowniczy“, który co miesiąc szedł od domu do domu i zbierał fundusze na sprawę narodową. O ile sobie przypominam, zanim wstąpiłem do armji polskiej, osada dulucka zebrała na cele narodowe przeszło dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Gdy szcasiem powstała w Deuluth placówka rekrutacyjna, wysłano z niej do obozu w Niagara on the Lake sześćset sześćdziesięciu rekrutów włączając w to niżej podpisanego.

Chociaż początkowo ograniczaliśmy się do zbierania funduszy na cele ratownicze, nie omieszkaliśmy także pracować w kierunku pomocy czynnej. Trzeba było rozpocząć kampanję propagandową na rzecz Polski niepodległej. Założono pismo angielskie „Poland“. W tem czasopiśmie ukazywały się artykuły rzeczowe o Polsce i rozsyłano je do bibliotek, czasopism i ludzi wpływowych. O Polsce wtenczas, przynajmniej wśród Amerykanów nikt nie wiedział. Książki o Polsce w bibliotekach były poprostu białymi krukami. Jedyne nazwiska polskich artystów i artystek jak bracia Reszke, Solski, Kochańska, Modrzejewska i wielki nasz artysta Ignacy Paderewski byli jakoby wcieleniem tego ducha i genjuszu narodu polskiego. Sienkiewicza znano z jego powieści szczególnie z Quo Vadis, które jeszcze teraz cieszy się ogromną popularnością.

Szampjonem sprawy polskiej, wprost jej wcieleniem i uosobieniem był i jest dotychczas dla Amerykanów „Mistrz tonów“ Ignacy Paderewski. O nim to właśnie powiedział jeden z wybitnych Amerykanów. „Nikt, zapewne, od niego więcej Polski kochać nie może“. Paderewski stał się dla wychodztwa tym wodzem duchowym. Na jego ogniste słowa rzucili się do pracy narodowej — ratowniczej a następnie do tworzenia siły zbrojnej, która stała się jakoby punktem kulminacyjnym całego wychodztwa.

Trzeba tu podkreślić jeden fakt a mianowicie tę walkę prasową, jaka się rozegrała na łamach czasopism amerykańskich między wpływami angielskimi i niemieckimi. Była to poprostu walka ty-

tanów o posiadanie serca, zasobów i pieniędzy tego kraju. Tak jedna jak i druga strona posiadała miliony sympatyków w swem wychodźstwie i jedna i druga strona rzucała na akcję prasową miliony dolarów. Dzięki kolosalnym głupstwom a szczególnie topieniu okrętów pasażerskich, na których ginęli obywatele amerykańscy, zwycięzcami zostali aljanci. Tu powiedziałbym był początek ostatecznej klęski państw centralnych.

Gdyśmy już byli pewni o zdecydowanej roli Stanów Zjednoczonych, które ewentualnie stanęły czynnie po stronie aljantów, rozpoczęto akcję rekrutacyjną i stworzono — Armję Polską. Nadmienić wypada, że aljanci uznali ją narówni z armjami innych sprzymierzeńców — „cotoligerent“ czyli współwalcząca.

Rząd angielski oddał nam jeden ze swych obozów koncentracyjnych w Camp Niagara on the Lake, w pobliżu wodospadu Niagary, niedaleko miasta Buffalo. Był to dla nas punkt dogodny, gdyż łatwy był dostęp ze wszystkich większych osiedli polskich a przytem łatwy transport do Nowego Jorku i okrętów francuskich, którymi ochotników przewożono do Francji dla dalszych ćwiczeń i ewentualnej walki na froncie. Rząd angielski dostarczył koszar, umundurowania, żywności, oficerów, jednym słowem wszystkiego, co dla początkujących było potrzebne. Rząd angielski uwzględniał ochotników polskich pochodzących spod trzech zaborów a nawet dawał im transport do obozu i pewne udogodnienia. Patrjotyczne organizacje amerykańskie traktowały żołnierza polskiego taksamo jak traktowały żołnierza amerykańskiego.

Pod ognistemi apelami Mistrza Paderewskiego przy wiecach agitacyjnych na balach narodowych i parafjalnych młodzież nasza a z nią inteligent i ksiądz zostawił swój warsztat pracy, stanowisko, posadę a nawet parafję i szedł do obozu. We wszystkich większych osiedlach funkcjonowały placówki rekrutacyjne, pozostające pod kontrolą i płatne przez rząd Francuski. Tą drogą wysłano do Francji przeszło dwadzieścia siedm tysięcy żołnierza. Był to „mulens“ — zaczątek, przy którym się formowały dalsze szeregi czyto z byłych żołnierzy będących w niewoli, czy też ochotników, którzy stale „filtrowali“ do Francji.

Przytaczam tu bardzo ciekawy a charakterystyczny wypadek. W Paryżu była mała polska restauracyjka w okolicy Mont Martre. Zawiadował nią p. „Maciej“ chociaż dokładnie nazwiska sobie już nie przypominam. Chodziliśmy tam na polskie śledzie i jakąś uczciwą polską „wyżerkę“. Więc też pewnego wieczoru poszedłem

na kolację do tej naszej polskiej „dziury”. Na środku małej jadalni zastawiono duży stół. Poinformowano mnie, że oficerowie jednego z naszych pułków urządzają sobie wspólną kolację oficerską. I niedługo przybyła cała „paczka” oficerów przeważnie poruczników. Z rozgwarem i wesołością zasiedli do skromnego obiadu, poprzedzonego paru kieliszkami wódki, jako że bez wódki śledzi się nie jada — nawet w piątki.

Z rozmiłowaniem wielkiem wsłuchiwałem się w wesołą rozmowę swych współtowarzyszów broni. Dowiaduję się, że jeden wy dostał się z armji niemieckiej, kilku innych służyło pod „Francem Józefem”, nie brakowało takich co w carskich pułkach walczyli. Szczególnie jeden z humorem i żołnierską fantazją opowiadał jak na 60-ciu chłopów mieli tylko 17 karabinów a on szedł do ataku z gołymi „pazurami”. Ja siedziałem przy bocznym stoliku i z pewnem rozrzewnieniem wsłuchiwałem się w ich opowiadanie, boć i ja do tej samej armji należałem, ten sam mundur wdziałem, chociaż z urodzenia byłem obywatelem amerykańskim. W tych kilkunastu oficerach widziałem cały naród polski, tego ducha wracającego do życia najpiękniejszych kart naszej historii wojennej. Tak się do nich rozpałiłem, że zawołałem p. Macieja i kazałem postawić tym panom oficerom butelkę koniaku. Nawet wtenczas nie przypuszczałem, że to taka drogocenna wódka. Zapłaciłem za butelkę około piętnastu dolarów, ale warto było tę Polskę wojenną, bohaterską, rwącą się do wolności, poczęstować tak starym i szlachetnym napojem.

Chcę tu tylko na zakończenie podkreślić ten jeden fakt doniosły i w historii wychodztwa bardzo ważny. Zebraliśmy co prawda ponad cztery miliony dolarów na pracę narodową, ale to mniejsza. Najważniejsze jest to, że wychodztwo żyjące zdala od uciemiężonej Ojczyzny zdobyło się na czyn zbrojny, który Polską sprawę postawił silnie po stronie aljantów a w tym wypadku — zwycięzców. Dał nam możności pertraktowania o Polskę ze zwycięzcami a nie ze zwyciężonymi. Niestety często się o tem zapomina a jednak historia kiedyś to bardzo dobitnie podkreśli. Chwilowo brak nam jednak tej dziejowej perspektywy.

Co najtrudniej?

Pytał raz filozof uczniów:
— Powiedzcie, gdy wiecie,
Co najtrudniej człowiekowi
osiągnąć na świecie.

Ci milczeli. Lecz filozof
Dowcipu nie szuka:
„Dla człowieka — być człowiekiem.
Największa jest sztuka“.



KAZET.

Uparty

(Z CYKLU „ORLETA LEGJONÓW“).

Wychudły, szczupły, jak badył, co rośnie
 Na wyniszczonym kłęskami ugorze:
 Przedwcześnie znikły z twarzy barwy hoże:
 W samym zaraniu życia, w samej wiosnie,
 Stał przed komendą... nieznany nikomu,
 Więc przeglądano jego dokumenty.
 On czekał... w oczach tkwił upór zacięty,
 Usłyszał:

— Możesz pan wracać do domu.

— Ja nie chcę!

— Nie chcesz być wolnym? Dlaczego?!

Wszak tu świadectwa lekarza, żeś chory

— Eh! — odparł drwiąco — przemądre doktory,

Jak na złość zrobią z najzdrowszych chorego!
 — Głupstwa waść pleciesz — rzekł komendant chmurny
 Jaki mi rycerz butny i kanciasty:
 Ileż ty lat masz?

— Skończyłem szesnasty —
 Odparł, jak gdyby stanął na koturny.
 — Ależ nam zdrowych i silnych potrzeba!
 A ty chłopczyño z oczkami modremi
 Tak jesteś wiotki, że mógłby cię z ziemi
 Lada wiatr unieść wprost z »pola« do nieba...
 Jemu łzą zaszło bystre, jasne oko...
 Ręką usunął ją niepostrzeżenie
 I rzekł:

— Ja całe opowiem zdarzenie:
 Bo to tak było — odetchnął głęboko...
 Kiedyśmy z »pola« zeszli na spoczynek,
 Przybyła tutaj z domu mama nasza;
 Kobietę zaraz drobna rzecz przestrasza
 I chce, by każdy z nas był: »mamin synek«.
 — Dlaczego mówisz matka nasza?

— Ze mną
 Brat był, my zawsze szli w kompanji z bratem;
 On padł, moskiewskim rażony granatem
 I już wrzucili go w mogiłę ciemną...
 Dokończył ciszej... lecz suche miał oczy...
 Tylko mu wyszły na lica wypieki,
 Jak gdyby refleks pożogi dalekiej,
 Przy której blaskach śmierć swój rydwan toczy;
 Tylko dźwignięte do góry ramiona,
 Odruchem nagłym... na ustach ślad piany,
 Mówiły, że brat był bardzo kochany
 I że śmierć jego musi być pomszczona.
 — Bo to tak było — znów zaczął — gdy mama
 Zjechała, zaraz wymówki, rozpacze:
 »Ze dla niej wszystko na tym świecie znaczę,
 Że ona przecież nie zostanie sama«;
 A doktor pewnie z nią trzymał, więc razem:
 »Zostań! — dość jednej, tak okropnej straty!
 Wracaj do domu! do rodzinnej chaty!
 Licz się z jej łzami! nie bądź przecież głazem!«

I nużę wmawiać, jakąś słabość we mnie:
 Że trochę kaszlę (pewnie z przeziębienia)
 To tylko drobiazg marny, bez znaczenia!
 Taką w człowieka rzecz wmawiać — daremnie!
 — Więc, ty chłopaku chcesz, by zmarła matka?
 Chcesz tak okropną zgotować jej dołę!...
 Podniosło głowę rycerskie pachole,
 Jak gdyby Boga chciał wzywać na świadka;
 W pytającego źrenice zamglone
 Wbił, jak z wymówką — a potem błysk żalu,
 Co się przesunął po źrenic opalu...
 I znów skierował je w dalszą stronę...
 I ujrzał całą swą Ojczyznę cudną
 Tak malowniczą, świetną, pełną krasy:
 Te łąki z tęczą kwiatów, bujne lasy —
 Zmienione dzisiaj w pustynię bezludną!
 I uczuł mocą młodzieńczego serca,
 Że za tę ziemię, którą nam wydarto,
 Za pomstę krzywdy ciężkiej ginąć warto,
 By legł zgromiony ów zbir i morderca!
 Utkwił wzrok w próżnię... tam brata mogiła
 Sieroca, cicha w traw skrwawionych wieńcu...
 I taka wściekłość trysła mu w rumieńcu,
 Taka mu zemsty żądza z oczu biła,
 Gdy wspomniał brata, który padł od kuli,
 Że mu pot zimny wystąpił na czoło...
 Nie myślał o tem, co się dzieje wkoło!
 Zapomniał o swej nieszczęsnej matuli,
 Która bez niego zemrze gdzie w zaułku,
 I zapytany:

— Cóż z tobą się stanie?

Jedziesz do matki? — rzekł twardo:

— Nie, panie!

Ja muszę wracać dziś jeszcze — do pułku.





121401.14

TADEUSZ ZUBRZYCKI

Wymarsz w pole.

(30/IX 1914). Z cyklu: „Szlakiem Karpackiej Brygady”

Pod ziemią budzą się popioły,
Jakgdyby w noc zaklętą —
O, co to znów za szum wesoty?
O, co to znów za święto?!

Czy pomsta wreszcie dziejom zbrzydła,
 Co w głąb nas pchnęły mroczną?...
 Czy znów husarji lotne skrzydła
 Zwycięskie harce poczną?!

Lub może wstaje w pełnej chwale
 Wskrzyszony sen wielkości —
 I pełne znów wawelskie sale
 Dworzaństwa, panów, gości?!...

Tak pod ziemią od krwi zlaną
 Popioły gwarzą zcicha,
 A ponad ziemią nowe rano
 Pomroków chmarę spycha.

Choć płacze dzisiaj ludzi wielu,
 Lecz radość błyska z twarzy —
 Hej, u krakowskich bram Wawelu!
 Trzymają strzelcy strażę.

W Krakowie wielka dziś parada
 Na Błonia wszystko spieszy —
 W bój idzie druga dziś Brygada.
 To serca ludzi cieszy.

Bo wiedzą nasi Krakowianie,
 Nie zlekniem się oręży!
 Legun wahaniem się nie splami,
 W bój pójdzie i zwycięży!

Na klęczki on nie padnie blady
 O losy żebrać lepsze,
 Bez obcej łaski, obcej rady,
 Bagnetem gwałt odeprze!

W Krakowie biją wszystkie dzwony,
 Bo legun żołnierz prawy,
 Przed Legjonami szlak czerwony —
 Co wiedzie — do Warszawy!

Humor Legionowy.

Kiedy jeszcze nie było wojny z Rosją a Oleandry krakowskie już się zapełniały strzelcami i kiedy jeszcze nikt nie wiedział co to jutro przyniesie, a już dowcip i piosnka wesoła były panem chwili, a humor tryskał całym morzem zdrowia i coraz większe kręgi brał w swe posiadania. Legun kpił ze siebie i swoich, drwił z intendenta i lekarza, dowcipkował piechur na widok ułana, śmiał się z taboryty, a ci znów nie byli dłużnymi pierwszym. Było to jedyne na wojnie wesołe wojsko.

Miał jeszcze Legun parę szóstek w kieszeni, był jeszcze syty po obiedzie w domu rodziców skonsumowanym, były jeszcze buty całe i spodnie niewytarte — a już ciskał dowcipem i drwił z Krakusów, z ich kiepskiej kiełbasy lub zimnej kawy. Z humorem wyszli strzelcy w pole i tak ginęli...

W kielcach mieli przysięgać cesarzowi Austrii, jako naczelnemu wodzowi a także rzekomo przyszłemu królowi polskiemu. I gdy ugodowo służalczą tramtadacja rozbijała legjony czepiając się tej właśnie — przysięgi — niektórzy leguni radzili między sobą co czynić należy; a jakiś tam gdzieś aż z pod Tater — zadecydował: „możemy przysięgać śmiało i tak na wojnie po drodze zgubimy tę przysięgę — jak koń podkowę“. I przysięgali w Kielcach: „a w kilka chwil potem już w szeregach brzmiała pieśń wesoła:

Austryjacki generał, sam przysięgę odbirał —

Wiara strasznie si ciszyła, ręce nogi podnosiła —

A to ci frajda była!

Na morzu czy na lądzie, czy kto stanie czy siądzie

Czy kto spaśny czy mizorny

Kużden mo być Austrji wierny

O Boże miłosierny...

Drudzy znów śpiewają inną piosenkę przysięgową i kończyli.

...Poczekaj cysarzu — nie mierz tak wysoko —

Jeszcze kiedyś ci pokażą strzelcy perskie oko...

i pokazali w dwa lata później. Tak to znaczyło wesołe wojsko swą drogę humorem, jakiego dotychczas nie było. W Legionach były wszystkie warstwy społeczeństwa, w szeregach szedł profesor z uczniem, artysta malarz z rzeźnikiem, stary z młodym

a każdy kochał i czcił swego komendanta bataljonu czy kompanji. Nazwiska obywateli Rydza, Beliny, Króla, Herwina, Wyrwy, Zosika i innych Grzmotów stawały się symbolem. Kochali i szanowali ich chłopcy — ale dowcipkowali i drwili.

W jednej z pierwszych utarczek pierwszego pułku Strzelców Piłsudskiego pod Winiarami, trzymał się dzielnie Wyrwa ze swoimi chłopcami, chociaż było bardzo gorąco. Wśród ognia przyłazi do Wyrwy legun, dziś profesor we Lwowie, i mówi: — „obywatelu komendancie, jak to dobrze, że brak wam jednego „y“. Co takiego pyta Wyrwa? A — no odpowiada legun — „y“ — bo Wyrwa a nie wyrywa“. Ogólna rodość i dalej na wroga poszły nasze: Baryłki, Pokusy, Wiatry, Sobaki, Hiszpany, Trzmielę, Bachury, Wilki, i tyle innych, których dziś jeszcze znamy o wiele lepiej po pseudonimach aniżeli z nazwisk.

Razu jednego, gdzieś tam przy kuchni, swarzą się leguny, jeden drugiemu w oczy skacze — o mało że się nie zjedzą. Za chwilę temperatura obniża się a jeden z nich klnie siarczyście: „bodaj cię moja żona swoim mężem nazwała“. I nastąpiła cisza...

Jak się legun chciał pozbyć zwłaszcza swego wierzyciela, zawsze mu mówił: „obywatelu, przyjdźcie do mnie podczas najdłuższej bitwy, to ja wam odpowiem i oddam“. A jak się pokłócił o „cienkiego“ z drugim, to już nie przebierał w słowach: „to ty sitwa jeźdeś? żółta rozpacz jeźdeś, taborycka twoja dusza. Ja ci śmierci nie żałuję a ty mi cienkiego pożałowałeś?“

Prowjantowców nazywali odrazu kamienicznikami. Czwartaków przezywali biskupami, bo czapki ich były wysokie jako mitry biskupie, pierwszaków nazywano zaś obywatelami; docinki te trwały do końca 1915 roku. I kiedy wszystkie pułki legjonowe krwawiły się nad Styrem — złączyły się one duchowo i wtedy ustały wzajemne docinki.

Do oficera przyłaził nieraz taki leguński „pitula“ i melduje: obywatelu poruczniku, co będzie z tym papierosem oficerskim, co mi obywatel wczoraj obiecał? — Ja was wczoraj przecież nie widziałem, mówi porucznik, ale szybko się orientuje, wyciąga papierośnicę i częstuje oficerskim. Legun ma dobry chwyt i dotyka jednego — lecz reszta lgnie do jego palców, jak opłki do magnesu.

...A teraz kilka kawałów: w pierwszych miesiącach wojny Austriacy dostali porządnego łupnia w Królestwie; generał Dankl wraca autem z frontu i spotyka po drodze większy oddział

pierwszego pułku leg. Ucieszony, jakaś rezerwa spieszy ku frontowi, wita ich ręką i woła: braw, braw, vorwärts... a chłopcy nasi jak na zawołanie... „wiejesz, draniu, wiejesz?“ Dankl pewny, że go witają i wiwatują — salują, kłania się i dziękują.

Gdzieś tam na błotach bukowińskich znów druga brygada dokazywała cudów waleczności, wymęczona przez austr. komendantów armji i korpusów. Jedyne wojsko, które się mocno biło i nie cofało — to legjoniści, i tą garstką legunów utrzymywał front gen. Pflancer-Baltin. I tak jak potrzebował legunów i używał ich — tak ich nie lubił. I razu jednego wydał rozkaz, by oficerowie i podoficerowie zrzucili gwiazdki i naszyli rozety, takie bowiem było austrjackie zarządzenie przy powstaniu legjonów. Była to złośliwość wcale nie wojennej miary.

Znikły z kołnierzy naszych bohaterów gwiazdki, rozetek nie naszyto a w godzinę potem chłopcy — całymi kompanjami śpiewali na nutę pieśni góralskich:

„Pflanceru — Pflanceru — jelemożny panie,
Zabrałeś nam gwiazdki — trarara na nie...

to trarara — było bardziej dobitne...

A gdy wiadomość o tych gwiazdkach doszła do siedziby Dep. Wojsk. w Piotrkowie, — gdzie pracował czasowo por. dr. Sternszus, znakomity badacz sztuki, satyryk i dowcipniś, a który potem zrezygnował z szczytu austrjackiej i zginął jako szeregowiec w I-szej B-dzie — ten zaraz ogłosił, że zmienił nazwisko z „Stern — na Rosetten-schuss“ — niech się pan Pflancer cieszył Śpiewki chłopców i dowcipy a propos tych gwiazdek doprowadziły do tego, że gen. Pflancer zniósł ten rozkaz nieszczyśliwy.

Nieźle też były przysłowia leguńskie — oto kilka przytoczę: „Gość w dom — to granat w okopach“ — „Gdzie kucharek sześć — tam bycza kwatery“ — „Jak sobie pościelisz — to napewne będzie alarm“ — „Kto pod kim dołki kopie — ten zakłada minę“ — „W starym piecu można zgotować herbatę — jeżeli las blisko“ — „Kto rano wstaje — temu się spieszy — na urlop“ — „Lepszy jeden cienki w garści — niż sto w prowjanturze“ — i tyle innych.

Paradny kawał urządziło kilku legunów, którzy — jako tłumacze znaleźli się na froncie serbskim. Gdy zaczęły kursować pociągi Berlin — Konstantynopol — dwóch legunów, z tej paczki, sfabrykowało sobie pieczętkę „K. u. K. Łazikenkomando“ —

i wyjechało do stolicy Turcji. Chłopcy dojechali do celu. Tam jeden z nich — nawet Lwowianin — przedstawił się jako generał a drugi jako adjutant. Przyjęli ich dostojnicy tureccy, wydawali śniadania, urządzali wojskowe parady, wozili po mieście i honorowali.

Nawet pożyczyli pieniędzy niotrochę. Aż razu jednego ambasador austr., któremu nie podobał się ten za młody generał — zwrócił się do austr. nacz. komendy armji z zapytaniem — co to za generał polski i jaka jego misja w Turcji. Wnet przyszedł telegram, by ich aresztować i odstawić do Kozienic, gdzie się mieściła kadra legionowa.

W kilka dni później — już nasze „kanarki“ dostawili tych generałów i meldują o tem komendantowi kadry płk. Zielińskiemu. Stary pułkownik — przypasał szablę, przybrał postawę zasadniczą i melduje: ponie jenorale — płk. Zieliński — melduje się posłusznie jako komendant kadry w Kozienicach. Stan ludzi taki i taki...

Generał turecki — zbaraniał... — A może pon jenorał — zakomenderuje na spoczniej — nie chcesz pon — co? — No to se sam zakomenderuję.

A no siadaj pon i opowiadaj — jak tam było z Turkami? — Dziękuję — zcicha mówi legun-generał. — Siadaj pon mówię, bo i tak czas dłuższy posiedzisz — mówi płk.

Jużto z płk. Zielińskim — wiąże się jeszcze wiele kawałów. Oto kilka: Pod Oekermezo — spotyka płk. Zieliński dwóch łazików i zaraz: — a panowie gdzie? — Do praczki — z bielizną — meldują... — A któż wam pozwolił? — My sami uchwalili — w plutonie! — No — a który z was jest komendantem? My tu oba komendanty — serjo odpowiadają leguny.

Pokiwał głową stary Zieliński i dowcipu tego nie zapomniał do końca życia.

...Innym razem widzi płk. leguna, który pod plecyma coś trzyma w lewej ręce.

...A cóż tam w ręku macie... pyta generał... — Kure, panie komendancie...

...Ukradł? — Nie... już zcicha odpowiada legun... Ukradł, z naciskiem powtarza Zieliński.

Zafasował — mówi legun. Nie wstyd ci? — a czy ty braacie — już widział kiedyś oficera — by, po twojemu, fasował — kury? — Nie — panie pułkowniku, bo oficery mają do tego — ordynansów — odpowiada legun...

Raz znów — chłodno i głodno było, dowozu brakło — ludzie głodni — narzekali. Któryś z oficerów w marszu — znalazł w taszce suchara z poprzedniego jeszcze roku — i gryzł. Skądś — wziął się płk. Zielinski... i nie patrząc nawet na oficera — mówi: „nie ruszaj pon gębą — bo ludzie pomyślą, że pon isz...

Płk. mówił z mazurska. Tak to humor leguński i starych oficerów wziął w swe posiadanie.



Kiedy indziej płk. Zieliński wyszedł przed chałupę, — gdzie stał kwaterą. Widzi na posterunku rekruta. Podchodzi i zapytuje — „zjadłbyś bracie czekolady? — Dlaczego nie, panie pułkowniku...

— To na a postaw karabin i bierz...

Żołnierz karabin oparł o ścianę i zabiera się do jedzenia. A płk. dodaje: tylko opakowanie — nie wyrzucaj, bo poznają, żeś karabin odstawił i zamkną na 7 dni.

Z kawałów osławionego kaprała Szczapy, którego uwiecznił ob. Krzewski — wymienię tylko jeden. Oto raz przy wydawaniu

wieczornej kawy, chlupnęło coś w menażce Szczapy, który wnet wydobyl z menażki chustkę. Ucieszony, że może zgnębić kogoś z taborytów — pędzi do komendanta bataljonu i melduje o tem.

Komendant zrugął Szczapę, iż kłamie, bo to nie chustka ale szalik...

Szalik — Bogu przysięgam — że szalik — mówi Szczapa.

A widzicie i już kapitan chciał odejść — ale kapral Szczapa — nie dał za wygraną i głosi urzędowo: Obywatelu kapitanie — kapral Szczapa prosi imieniem całego plutonu, żebyśmy faszowali osobno kawę a osobno szaliki...

I tak wojowali Strzelcy śpiewając: „dziarski strzelec idzie, z każdej biedy szydzi“...

Czy myślicie, że Komendanta Piłsudskiego — kawały legjonowe — omijały? Ależ gdzie. Gdy Komendant w 1914 r. w grudniu, w N. Sączu, ogolił brodę — chłopcy udawali, że go nie poznają i nie oddawali z miejsca honorów, dopiero po minięciu się — wracali i „oj — to Komendant — psiepraszam“ i skoczył w bok, zaszalutował i w nogi. Często gęsto — pomrukiwali „oddaj brodę“. Raz znów nad Styrem pracował Komendant nad czemś, — gdy nagle jakaś strzelanina wszczęła się na pobliskim froncie. Ni z tego ni z owego — jak to u nas mówiono — strzelano w niebo...

Komendant polecił służbowemu wystać łącznika i zapytać dlaczego strzelają. Wnet mignął tam jakiś dłubinosik, melduje się na odcinku i powiada, że pytają w komendzie dlaczego strzelają? — Powiedz tam, że wojna — pouczyli go.



Łącznik duchem! wraca i posłusznie melduje, że strzelają, bo wojna...

Uśmieł się Komendant i często o tem wspomina.

Gdzie indziej, kiedy Austriacy pobici na głowę, wypełniali lukę I-szą B-dą; a ludzie z umęczenia wprost padali — gdzieś

w nocy — ukazał się Komendant na koniu — i mijając kolumnę zapytał: — chłopcy — gdzie dowódca bataljonu? Wiara już po głosie poznała Komendanta i ktoś tam — zawołał — na przodzie — ob. Komendancie.

A z szeregów I-szej kompanji, jakby z rozkazu, — odezwał się jakiś niestrudzony wesolek:

Gdzie przód, gdzie tył — my nie wiemy.

„Dziadku — prowadź, bo giniemy“...

i wnet cała kolumna — na jakąś tam nutę, śpiewać zaczęła ten dwuwiersz.



Naturalnie śmiechu nie było końca. Serdecznie uśmieł się i Komendant.

I takich kawałów było bez liku.

Zakończę — jednym; autentycznym opowiadaniem: było to w Karasinie. Wyszedł sobie legun z ziemianki i chciał zapalić papierosa, lecz nie miał zapalek. Wtem patrzy wśród ciemności nocy wołyńskiej majaczy się sylwetka z zapalonym papierosem; legun podchodzi i prosi ognia. Odpalił i dalej w pogawędkę. A wy skąd? Ja z B-dy, mówi legun z papierosem. Z B-dy? — to

wy blisko dziadka, to i politykę znacie. Powiedzcie mi, będzie Polska, czy nie będzie?

Uśmiechnął się — ten pierwszy i pyta: a wy jak myślicie? — Nic nie myślę, choć widzę, że — nam Niemcy coś w parady włożą, — ale od tego jest Dziadek a ten ma łeb jak koń, to i z Niemcami da sobie radę... ale pozwólcie zapalek, bo mi ogień zgasł.

Wtem, przy blasku ognia, poznał nasz gawędziarz, że to sam Dziadek stoi przy nim. Wyprostował się jak struna i nie wiedział co począć. Wybawił go z tego Komendant, pytając: a co obywatelu, będzie Polska? Będzie, ob. Komendancie — będzie... będzie i czmychnął, bo zląkł się tego porównania końskiego.

Nie było to już wynikiem dobrego humoru — ale serdecznej troski leguna — i jego wiary do Komendanta. I nie omylił się — ten wesoły legun, wierzył tylko w Komendanta i z wszystkiego innego mógł śmiało drwić...

Król Zygmunt August wręczył Franciszkaninowi nazwiskiem Lismanin znaczną kwotę pieniędzy i wysłał go zagranicę, żeby za nie kupił książek. Raz ujrzał Stańczyka coś piszącego na tabliczce i zapytał, co pisze? — Na to błazen: zapisuję głupców i właśnie ciebie, Miłościwy Królu, zapisałem. — A za co? pyta król. — Za to, żeś zawierzył Lismaninowi i taką wielką sumę mu dałeś. — Ja ufam, że Lismanin powróci. — Jak on powróci, to ciebie, królu, wymażę, a jego między głupców zapiszę. — Lismanin nie chciał być zapisany między głupców i nigdy do Polski nie wrócił.

*

Po straceniu Barnevelda dwaj jego synowie zawiązali spisek na życie ks. Oranii, który skazał ich ojca. Matka ich udała się do Stathudera z prośbą o ulaskawienie synów. — A on jej rzekł: dziwna rzecz, że pani błagasz za synami, a za mężem twym nie prosiłaś. — Na to ona: W. Ks. Mości! nie prosiłam o łaskę dla męża, bo był niewinny, ale proszę za synami, bo są winni.

*

Król Karol II. przyjmował raz pewnego urzędnika sypiąc z kapelusza okruszyny chleba swym ulubionym kaczkom. Król pyta: czego pan chcesz? — A urzędnik: nie wypowiem mej prośby, aż Wasza Królewska Mość włoży kapelusz na głowę. A król: ależ panie! ja nie przed panem zdjąłem kapelusz, tylko przed mojami kaczkami.

*

Raz filozofa Dekarta zaprosił na obiad pewien bogaty, ale prostacki szlachcic. Obiad był smaczny i filozof z wielką przyjemnością zjadał. Szlachcic gruboskórny chciał trochę przyciąć gościowi i rzekł: nie wiedziałem że filozofowie są tak łakomi na smaczne jadlo. — Na to Dekart: mój panie! czy pan myślisz, że natura stworzyła smaczne rzeczy tylko dla głupców.

Trzej bracia Brzózkowie

Legjoniści 5 P. P. Leg. Pol.

Nazywali się bracia Brzózkowie. Pono prawdziwe to było imię, może „pseudomja“, jak mówią chłopcy. Może wychodząc w pole od matki staruszki, trzej bracia w tem imieniu narodowego bohatera, ostatniego powstańca z walki o wolność, chcieli znaleźć usprawiedliwienie, uspokojenie.

Zostawili biedną matkę staruszkę... Wbrew najelementarniejszym obowiązkom, zgodnie z prostym, jak ludowa wiara, głosem ochotniczej ofiary z życia i krwi na ołtarzu wyzwalającej się Ojczyzny.

Najmłodszy z braci, Wincenty, urodził się w roku 1898; w czasie wojny był uczniem którejs tam szkoły średniej w Warszawie.

Przy pierwszej nadarzającej się sposobności połączył się z dwoma starszymi — Aleksandrem i Władysławem.



Wszyscy trzej znaleźli się w 6 kompanji 2-go baonu majora Wyrwy.

Gdy rozszalała walka w dniach 4 i 5 lipca 1916 r. pod Kościuchnowką, trzej bracia zadziwiali wszystkich swą zimną krwią i zwyczajną odwagą. Nadzwyczajna odwaga wśród naszych żołnierzy jest tak zwykłym zjawiskiem, że nikogo już nie dziwi, nikt jej nie zauważa.

Kompanja, pluton czy sekcja nawet zapomina na drugi dzień o takich faktach, jak to n. p., że sierż. Ożóg Antoni wyprowadzał niejednokrotnie żołnierzy z niebezpieczeństwa, kiedy oficer padł ciężko ranny lub został zabity, że szeregowiec Sykul Michał zabrał do niewoli podczas kontrafaktu na „Polską Górę“ 9 Moskali, że Sitkowski Zygmunt, szeregowiec, rozbroił 4 Moskali.

Ale zachowanie się trzech braci Brzózzków w tragiczne dni lipcowe długo, długo wyrte zostanie w pamięci szeregow 6 kompanji.

Po wściekłym ostrzeliwaniu huraganowym ogniem rezerw w „Polskim Lasku“, po atakach i kontratakach, w których szeregowiec 5 pułku wprost wymieszał się kilkakrotnie w bagnie, piachu i ziemi, nastął poranek 5 lipca. Moskale walili od świtu granatami i szrapnelami z kilkudziesięciu dział w „Polski Lasek“ — w tę nową Olszynkę Grochowską w dziejach walk oręża naszego.

Prozaiczne rezerwy nasze zdecydowały „po kawie“ — umyć się w pobliskiej bagnistej rzeczce.



Toaletę utrudniały bardzo gęsto latające pociski armatnie... — Wicek, chodź, umyjemy się — zawołali dwaj bracia znienacka.

— Idę — odrzyknął wśród huku armat najmłodszy Brzózko. Na oczach całej kompanji, wpadając w leje od granatów, ruszyli trzej bracia „robić toaletę“.

Ten czyn podniósł bardziej ducha wśród wiary naszej, niż przemówienia, w których tak często nadużywa się święte imię Ojczyzny.

Po chwili obłok błotnistego pyłu, jakiś potwornych rozmiarów czarny kaktus wystrzelił w górę tam, gdzie trzej bracia najspokojniej się myli...

— Zginęli! — przeszedł ogólny krzyk w szeregach. Wesoly śmiech Brzózków i młode głosy radością tchnące, były odpowiedzią.

— A to nas zabrudziło! Nowa robota! Oleś, zaczerpnij ponownie wody, muszę koszulę wziąć świeżą.

Odwrót. Wśród lasów, bagien, piachów, wlecze się Szlak Amarantowy, obficie krwią barwiony, hojnie użyźniany ciałami Żołnierstwa Polskiego.

Trzej bracia Brzózkowie razem, wciąż razem. Wesoly ich głos, żarty, niefrasobliwe przekleństwa mieszają się z hukiem wystrzałów...

— Wicek, nie wybiegaj tak w kontrataku naprzód. Spokojnie, uważaj, czapkę zgubisz!

Wtem zachwiał się młodszy z braci.

Rana najstraszniejsza w odwrocie. Rana w brzuch. Ekrazytówka moskiewska stargała trzewia...

Dał ostatni strzał i zwałił się w żółty piach przy grobli, w rów.

— Zostawcie mnie — szepcze cicho do braci.

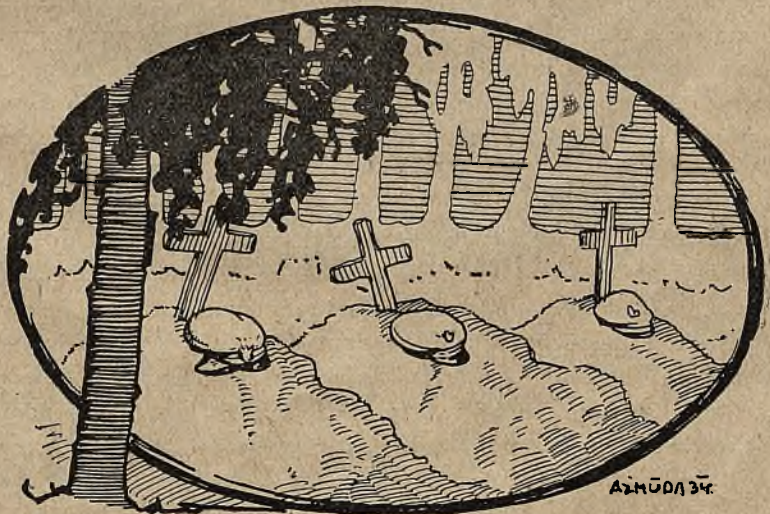
— Za nic w świecie.

— Dźwigaj go Władek, ja tu Mochów utrzymam, dobiegnę zaraz...

Widziano ich ostatni raz za jakimś drzewem, może brzozą srebrną, barwioną amarantem krwi.

Dwaj starsi, jak napoleońskie wiarusy, strzelali, stojąc przy drzewie, w zbitą ciżbę Moskali, odpowiadających salwami. U stóp drzewa konał Wicek. Las cały łkał i zawodził nad stratą tych trzech Polskich Machabeuszów.

Ciężkie, a jednak lotne łyzy padały wokoło.



Patrol Beliny w Oblągorku.

Było to w samych początkach naszego długiego romansu w wojenkę, z tą przedziwną panią, dla której słodkich a straszliwych uroków giną chłopcy malowani. Z początkowej siódemki rozrósł się pierwszy patrol konny Beliny wdwójnasób: czternastu już nas było pierwszych polskich kawalerzystów z okresu ostatnich walk o niepodległość. Dowodził nami Belina, w szeregu zaś braterskim, poszczekując strzemieniem o strzemię, jechali: Orlicz-Dreszer, Janusz Głuchowski, Stach Skotnicki, Kmicic-Skrzyński, Hanka Kulesza, Edzik Kleszczyński, Sęp-Sępiński, mały Kolec-Smoleński i nieodżałowanej pamięci, żołnierz urodzony, Antek Jabłoński (zginął w r. 1920) i zapalczywy, ogromny jak dąb, Krak-Dudzień (zginął pod Tarłowem) i Bończa-Karwacki, nieustępliwy i uparty (zginął w boju pod Kostiuchnówką), i swawolny, beztroskliwy, do bezczelności odważny, Skaut-Bańkiewicz (zginął pod Koszyszczami). Ale wówczas żaden z nas nie myślał o śmierci. Rozpierała nam serca radość niezmierna, upajająca, radość najradośniejsza, że nadszedł ten czas, — nasz czas, — że i nam Pan Bóg pozwolił, — że nareszcie i my — jak ojcowie i dziady — na koniach, z pałaszem u boku, z karabinem w dłoni — w polu. Pijani tą radością uganiałiśmy od rana do nocy po Kielecczyźnie w pogoni za wiadomościami o ruchach nieprzyjaciela, śmiejąc się do sosen w woniejących żywicą lasach, do wystraszonych a zaciekawionych zarazem dziewczek, przyglądających się nam z za węglów chat, lub z cienia śliwowych sadów, głaszcząc z konia serdeczną dłonią jasne czupryny dzieciaków, i tak samo płowe a równie bliskie i drogie łany szumiącego zboża. Śmiałiśmy się do własnego głodu, i do nieokraszonych kartofli, do naszych kasztanków i gniadoszów, parskających rażno w kłusie, i bezmała do ran na plecach, zadanych celownikami długich piechotnych manlicherów, a nawet do bardziej jeszcze dokuczliwych choć równie trudnych do oglądania rezultatów naszych forsownych marszów, któremi angielskie siodełka mściły się za niegodną ich dystynkcji poniewierkę na tej części ciała, gdzie, jak powiada Prus, nogi tracą swoją szlachetną nazwę. Przebyliśmy już chrzest ogniowy

w pierwszej, niezapomnianej, jak pierwszy pocałunek, potyczce z dragonami pod Szydłówkiem, mieliśmy już za sobą walkę uliczną w Kielcach, kiedy to »w Kielcach na rynku wyszedłszy prosto szynku« (bo zabraliśmy się właśnie do rzetelnie zapraco-



Beliniacy.

wanych kotletów w kieleckim »Bristolu«), wyparliśmy z miasta atakujących Moskali, powąchaliśmy już armatniego prochu pod Czarnówkiem, zaznajomiwszy się pod Brzegami z gromkim hukiem werndlów naszej piechoty i ze zrzędliwem gdakaniem rosyjskich karabinów maszynowych. Byliśmy słowem prawdziwymi

już żołnierzami. Radości z tego powodu i prostej zrozumiałej dumy, że my, my właśnie, byliśmy pierwszymi żołnierzami zmartwychwstającej z grobu niewoli Polski, nie odbierze nam nikt, a zazdrościć nam będą wszyscy, zwłaszcza zaś... ale niech ich tam — Bóg z nimi.

Szliśmy tedy przed strzelecką piechotką, którą Komendant okrężną drogą prowadził po raz drugi na Kielce, nie pamiętam już dziś jakimi drogami. Dość, że po przejściu dziwnie pocziwej Bizuryndy, za Małogoszczą, w jakichś Gęsicach czy Gąsienicach dowiedzieliśmy się od Beliny, że nazajutrz rano, t. j. 18 sierpnia, czeka nas niezwykle ciężkie zadanie, mianowicie podjazd daleko od zachodu i północy okrążający Kielce, z koniecznością, być może, przemykania się za zasłoną rosyjskich patroli w celu przyniesienia Komendantowi dokładnych danych o sytuacji i zamiarach wroga. Drapał się przytem w głowę Belina z troski o konie, gdyż droga, jaką nam przez dzień jutrzejszy wypadało przebyć w myśl rozkazu, wynosiła 147 wiorst. Drapaliśmy się i my także, nie jestem tylko pewny czy w głowy (te przeklęte siodła!), ale w gruncie rzeczy było nam wszystko jedno, dokąd będziemy jechali, jak daleko i poco. Jechaliśmy wczoraj, jechaliśmy dziś, pojedziemy i jutro, wpadniemy gdzieś na Moskali, albo nie wpadniemy, postrzelają oni do nas, a my do nich, ktoś z nas będzie wiał, najprawdopodobniej oni, w najgorszym zaś wypadku my, czyż można sobie wyobrazić życie upojniejsze, bardziej podniecającą, słodką zabawą?

Pokładliśmy się spać w stodółce, ubezpieczając się jednak wartą od strony nieprzyjaciela.

Równo ze świtem zbudził nas rozkaz, ze wszystkich najtrudniejszy do wykonania, rozkaz najprzykrzejszy i najnielitościwszy:

— Wstawać!

Zerwaliśmy się z wonnego siana, postawili przemocą na na nogi jakiegoś bardziej przywiązanego do sennych rozkoszy śpiocha, bełkocącego nawpół przytomnie, »żeby mu pozwolić jeszcze choć pół godziny — tylko pół godzinki — że na tem nikomu zależeć nie może, bo to nikomu nie zaszkodzi, a jemu bardzo, jak Boga kocham, bardzo pomoże« — posiadaliśmy konie i poszli... przed siebie, za Beliną — najpierw przez zroszone w mgle porannej pola, potem przez miasteczko z ko-

ściółkiem o dwóch strzelistych wieżach, — zdaje się, że mu było na imię Piekoszyn, — potem znowu przez pola i łąki, potem drogą przez las, później przez jakąś wioskę i znów przez lasek i przez drugą wieś za rzeczką koło młyna i raz jeszcze przez łąki i lasek i wioskę — i wciąż było to samo, a zawsze coś innego. Jechaliśmy ostro, gwarząc ze sobą, dokazując i pośpiewując od czasu do czasu — wiadomo — jak ułani.

Popaśliśmy konie i podkarmili siebie w jakiejś ukrytej w lasach wiosczynie i ruszyliśmy w dalszą drogę.



Patrol Beliniaków.

— Dojeżdżamy do Oblągorka — objaśnił jadący przede mną w pierwszej dwójce Grzmot-Skotnicki.

— Do jakiego Oblągorka? — zapytałem — czyżby...?

— A do jakiegożby innego?, — przerwał mi Grzmocik, — myślisz może, że wdzięczny naród, w oczekiwaniu twoich przyszłych zasług, na wszelki wypadek postarał się o drugi?

Nie odpowiadając na jego złośliwą zaczepkę, dałem memu kasztanowi ostrogę i wyskoczyłem przed oddział do Beliny.

— Wybacz komendancie, — zwróciłem się doń, — chcę ci coś powiedzieć, coś ważnego. Dojeżdżamy pono do Oblągorka.

— Tak jest — potwierdził Belina.

— Otóż, uważasz, — myślę, że nam trzeba tam zjechać, choć na chwilę. Przecież tak obojętnie minąć go nie możemy. A jeśli tam jest on — no, Sienkiewicz. Przecież my musimy mu się zameldować, my pierwsi polscy ułani, toć trzeba nam zaszalutować przed twórcą »Ogniem i mieczem«, »Potopu« i »Pana Wołodyjowskiego«. Czyż nie on nas wychowywał, czyż nie on nas przygotowywał do żołnierki, do służby pod rozkazami Komendanta. Któż o polskiej jeździe piękniej kiedy pisał?

— Byczo! — zawyrokował lakonicznie Władek — nie strzęp darmo języka, kiedy masz słuszność.

Dojeżdżaliśmy właśnie pod dwór. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, że w wypadku zastania Sienkiewicza ustawimy się tylko przed pałacem, nie zsiadając z koni, w ostateczności zaś Belina sam wejdzie do wnętrza i w imieniu swego oddziału pokłoni się dostojnemu gospodarzowi, lękaliśmy się bowiem, by odwiedzinami naszymi nie przysporzyć mu kłopotu i nie narażać go na możliwe zawsze represje ze strony rosyjskiego żołdactwa.

Tak rzecz rozstrzygnąwszy, skręciliśmy w bramę wjazdową i po okrążeniu gazonu, zatrzymaliśmy się przed oszkloną na froncie pałacu werandą.

Nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej począć. Zwykle pewny siebie Belina stracił rezon, jakby za chwilę miał stanąć przed Komendantem. Na szczęście natychmiast prawie otwarły się drzwi werandy i wyszedł z nich, schodząc powoli po kamiennych stopniach w towarzystwie córki i syna, — nasz pierwszy nauczyciel.

Patrzałem na twarz jego bladą, o rysach jakby zmęczeniem czy chorobą wyciągniętych, subtelnych i niezmiernie wykwin-tych, na przysłonięte szklami mądre, przenikliwe, zatroskane przytem oczy i ze wzruszeniem, nad którym nie mogłem i nawet nie chciałem zapanować, myślałem: »To on — to jest ten człowiek, który mej młodości dał wrażenia najgłębsze, najżywsze, niezapomniane. On, z którego książkami nie rozstawałem się przez całe lata — kochałem wskrzeszonych przez niego w moje życie żołnierzyków i junaków osławionych — zazdrościłem im na jawie, a towarzyszyłem w snach, w nieskończenie długim cyklu przygód, wyjawiałem Kmicicowi w porę zdradę Janusza Radziwiłła, odbijałem dlań Bogusławowi Oleńkę, jeździłem z panem Zagłobą za Jahorlik, po Helenę Kurcewiczównę, rato-

wałem od męczeńskiej śmierci Longina Podbipiętę. Przez niego brałem w gimnazjum dwóje z niemieckiego i z greki, przez niego przesiedziałem tyle razy w niedzielę w karczerze, za czytanie tych rycerskich opowieści podczas nauki, ale dzięki niemu — przedewszystkiem dzięki niemu — nie utonąłem w szarzyźnie i miątkości uczuciowej, nie uwierzyłem, że najpiękniejszym czynem patrijotycznym jest podwojenie dochodów, a jedynie mądrymi radami są wskazania w tak popularnych u nas przysłowia-
 wiach, jak te, które uczą, że »pokorne ciele dwie krowy ssie« (a ćpały nas wtedy trzy świnie), że »czasem i djabłu trzeba zapalić świeczkę« — i w to rozgrzeszające wszystkie podłości i wszystkie słabości »trudno mój kochany, cóż zrobić — życie to jest życie«.

To samo czuli i tak samo z pewnością myśleli wszyscy moi towarzysze. Podczas tego niemniej od nas wzruszony Belina tłumaczył Sienkiewiczowi cel naszych odwiedzin, — że my właśnie, jako ci pierwsi, uważaliśmy za powinność naszą i obowiązek jemu hołd nasz żołnierski złożyć, że nas tu przywiodły serca proste i gorące.

Muszę wyznać, że nie słyszałem nawet dobrze jego słów. Mówił z pewnością dobrze, bo szczerze, bo mówił to, co czuliśmy wszyscy.

Zobaczyłem, jak Sienkiewicz dłoń mu podał, usłyszałem uprzejme słowa podziękowania, życzenia szczęścia w naszych zamierzeniach, brzmiące dla mnie jak błogosławieństwo. Widziałem na bladej twarzy wzruszenie, a zarazem troskę głęboką, obawę i niepokój o przyszłość, o losy wojny, która na naszych ziemiach rozgorzała, o Polskę... może i o nas, obszarpanych, obdartych, nielicznych, ale pierwszych.

Spostrzegłem po geście Beliny, że zamierza się już zegnać.

— Komendancie, czy pozwolisz mi przywitać się z panną Sienkiewiczówną? — zapytałem z szeregu.

Skinął przyzwalająco głową. Podjechałem więc do panny Jadwigi ze słowem przywitania. Miałem zaszczyt znać ją z czasów mego pobytu w stolicy świata, w Paryżu. Po wyrazie twarzy uprzejmie zakłopotanym zobaczyłem, że w wychudłym szerniałym obdartusie nie poznaje paryskiego — co tu obwijać w bawełnę — niezbyt sympatycznego gagadka.

Wymieniłem swoje nazwisko. Po przywitaniu, w krótkiej rozmowie wyjaśniłem, jak się dostałem do kraju i do szeregow

Piłsudskiego. Rozpoczęły się zapytania o wspólnych znajomych. Padają różne nazwiska.

— A co się dzieje z panem Stanisławem?

Nie wiedziałem, co porabia pan Stanisław, nasz wspólny dobry znajomy, który wraz ze mną należał do paryskiego »Koła Nauki wojskowej« najpierw, a później do »Strzelca«, któremu jednak, podobnie jak wielu ludziom, walecznym w imaginacji, ciężkie obowiązki rodzinne, materjalne i jeszcze kilka innych nie pozwoliły — oczywiście niestety — na speł-



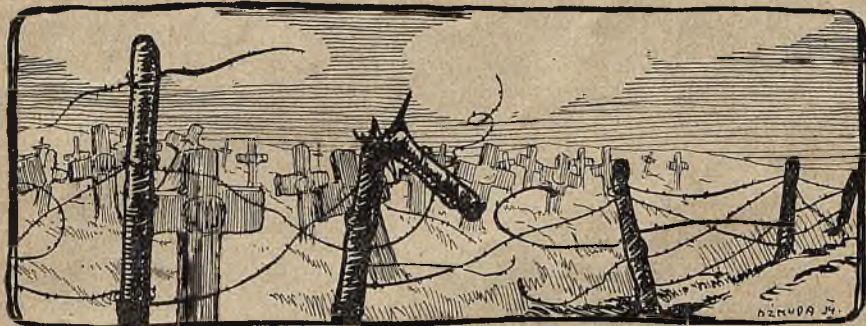
Beliniacy.

nienie najszczytniejszych niezaprzeczenie, ale również niezaprzeczenie lekkomyślnych pragnień. Biedny człowiek!

Panna Sienkiewiczówna, ośmielona obecnością jakiejś znajomej figury, zaczęła nalegać, żebyśmy zabrali jej klaczkę, że jej tem radość zrobimy prawdziwą, a jej ulubienicy zaszczyt. Nie zgodził się na przyjęcie tego podarunku Belina, z tych samych powodów, z jakich odwiedzinom naszym nadaliśmy tak powściągliwy zewnętrznie charakter.

Czas palił. Droga czekała nas jeszcze daleka i żmudna. Pożegnaliśmy się tedy żołnierskim ukłonem i dwójkami od prawego ruszyliśmy ku bramie.

I znowu pomknęliśmy przez pola i łąki, potem drogą przez las sosnowy, później przez jakąś wioskę i znów przez lasy i przez drugą wieś, za rzeczką koło młyna — i znowu wciąż było to samo, a zawsze coś innego. Jechaliśmy ostro, gwarząc ze sobą, dokazując i pośpiewując od czasu do czasu, żeby pokryć serc naszych wzruszenia i sentymenty — wiadomo — jak ułani.



Gdy królowi Fryderykowi II. doniesiono, że jeden o nim źle mówił, zapytał król czy tenże ma sto tysięcy wojska? — Nie ma, była odpowiedź. — Król: gdyby miał, tobym mu wojnę wypowiedział, a tak muszę mu wybaczyć.

*

Uczony Duval, bibliotekarz króla francuskiego, był skromny i często mówił: „nie wiem”, gdy czego nie wiedział. Pewien dworzanin chcąc mu dokuczyć (gdy na swe pytanie otrzymał odpowiedź „nie wiem”) rzekł mu: „powinieneś pan wszystko wiedzieć, bo król ci za to płaci”. — Na to uczony: król płaci mi tylko za to co wiem, bo gdyby chciał płacić za to, czego nie wiem, toby mu pieniędzy brakło.

*

Sobieskiemu po elekcji wierzowali panowie i prosili o różne łaski. Jeden z dworzan zapytał: a mnie co za łaskę uczynisz, miłościwy królu? — A Sobieski żartobliwie: ciebie mianuję królem cygańskim. — A ten: Miłościwy Panie! jeszcze nie po koronacji, zresztą korona polska niepewna. Radziłbym więc jeszcze zatrzymać koronę cygańską w rezerwie i nie dawać jej nikomu. — Obecni zaczęli śmiać ostro karcąc, a on zawołał: „miłościwy mój pan obran jest królem polskim, a mnie mianował królem cygańskim. Król z królem się pokłóci i król z królem się pogodzi, a wy się między dwóch królów nie wtrącajcie”. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a najbardziej śmiał się Sobieski.

*

Garibaldi tak raz napisał w rozkazie dziennym do swych ochotników: „koledzy! wyście największymi bohaterami na świecie, wyście wybrani z narodów, niezwycześni i mężni jak lwy. Ale jedno wam powiem: oto nie przystoi takim bohaterom jak wy, uciekać z placu boju. Gdy jeszcze raz znajdzie się między wami taki tchórz, to go bez litości rozstrzelać każę”.

Obrona Morza.

Polska weszła już na lądzie do rzędu wielkich mocarstw, zajmując pod względem obszaru, liczby ludności, znaczenia politycznego i siły armji szóste miejsce w Europie, zaraz po Włoszech i przed Hiszpanją. Ale na morzu państwo nasze pozostaje daleko w tyle nie tylko za Włochami i Hiszpanją, ale też za Holandją, Szwecją, Norwegją, Finlandją; a maże nawet za Jugosławją i Estonją. Wszystkie te państwa mają już utrwaloną pozycję na morzu: posiadają już ufortyfikowane wybrzeża, urządzone porty, dobrze zaopatrzoną flotę wojenną i marynarkę handlową, mogącą utrzymać komunikację z najdalszemi częściami świata.

Polska opóźniła się w tym względzie: zrazu z własnej winy, później nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności została odsunięta od morza i skierowana w swej ekspansji ku wnętrzu lądu. Statyści polscy, z małemi wyjątkami, nie doceniali znaczenia morza, wyższe warstwy narodu, kierujące polityką, zaniedbały tę sprawę, a jednostki wyjątkowe, poszukujące przygód morskich, żadne odkrycia i poznania nowych ziem, oddały swe siły i zdolności na usługi obcym. Polska racja stanu, polska ideologia, wyrażająca się w poezji, w powieści, w sztuce, pamiętała o Litwie, o Ukrainie, o Podolu, ale o Morzu Polskiem zapomniała. I jak po zniemczeniu książąt panujących na Śląsku i idącej za nimi szlachty, tylko prosty lud zachował nieprzebrane skarby podziemne węgla dla Polski, tak samo tylko wierności Kaszubów dla starodawnej mowy polskiej zawdzięcza wybrzeże Bałtyku powrót swój do Macierzy.

To cudowne ocalenie naszego morza musi olśnić i nawrócić Polaków ze złej drogi, musimy skierować nasze siły twórcze, naszą energję narodową, nasz patriotyzm — ku morzu, dającemu wylot w świat szeroki, otwierającemu perspektywy oceaniczne i kolonialne, niezbędne dla duszącego się w zamkniętych granicach państwowych szybko rozrastającego się narodu.

Niestety, wąskie 75-kilometrowe wybrzeże, które się nam dostało, z trudem tylko podołać może swemu zadaniu w 33 milionowem państwie. Tem więcej musimy je ocenić i tembardziej rozwijać. Szczupłość geograficzną trzeba zrekomensować intensywną eksploatacją.

Jest to prawda nietylko wyznawana teoretycznie, lecz wcielana już w życie.

Wybrzeże Bałtyku, przyznane Polsce Traktatem Wersalskim, zmieniło się od tego czasu nie do poznania. Stanowiło ono pod zaborem pruskim smutne i puste wydmy piaszczyste, których jedyną ozdobą był Gdańsk, piękny starą architekturą, i obumarły w dumnych wspomnieniach z czasów polskich: kwitł on wtedy, jako największy port Rzeczypospolitej, ku któremu Wisłą spływały jej rolne i leśne bogactwa; rozsadzała go pycha do tego stopnia, że buntował się przeciwko swej żywicielce. W zwadzie jednak, czy w wiernej przyjaźni z Polską, żył on dostatnio, bujnie, szczęśliwie.

Pod panowaniem pruskim spadł Gdańsk do rangi portów trzeciorzędnych, zajmujących w 1913 roku co do tonnażu okrętów, które go odwiedziły — 13 miejsce na Bałtyku. Dopiero Polska Niepodległa podźwignęła go z tego upadku. W r. 1929 zajął już trzecie miejsce (po Kopenhadze i Stockholmie), podnosząc swój roczny obrót towarowy z 2.112 mil. tonn do 8.560 mil. tonn, czyli czterokrotnie, a dzisiaj dalej posunął się naprzód, chociaż wszystkie porty wskutek kryzysu wykazują mniejszy obrót.

Ten niesłychanie szybki rozwój Gdańska nie był nawet hamowany powstaniem tuż obok niego drugiego portu — Gdyni; w miejscu, gdzie przed 10 laty istniało zaledwie kilkanaście chat rybackich, teraz wznosi się 50-tysięczne miasto i jaknajbardziej nowoczesny port, którego obrót towarowy w 1932 r. wyniósł ponad 6 milionów tonn, który pod względem tonnażu statków prześcignął już Gdańsk i Stockholm.

Niedość tego: rozszerzono i zmodernizowano rzeczny port pomocniczy w Tczewie, pogłębiono stary port w Pucku, dostosowując go do potrzeb kutrów wybudowano przystanie rybackie w zatoce na pełnym morzu; zapoczątkowano dalekomorskie rybołówstwo polskie na Morzu Północnym.

Przez wprowadzenie tej nowej gałęzi przemysłu morskiego, przez umożliwienie rybakom kaszubskim ekspedycji na dalekie morze, dających nieporównanie większe rezultaty od połowów przybrzeżnych — podniesiono dobrobyt ludności nadmorskiej, ledwie wegetującej w czasach zaborczych. Przyczynili się też do tego letnicy. Dawniej, poza Sopotami, zaledwie Puck i Hel ściągały na lato po kilkanaście rodzin. Dziś cały brzeg Małego i Wielkiego Morza polskiego stanowi nieprzerwaną linię plaż,

usianą gustownymi willami, wielkimi hotelami, wspaniałymi sanatorjami i schludnymi przebudowanymi i uporządkowanymi domami rybaków, oddanymi na cały sezon letnikom. Przepyszna autostrada łączy miejscowości, do których dawniej tylko łódką można się było dostać. Rzucona w morze klinga Helu staje się jedynym w świecie parkiem nadmorskim — olbrzymim bulwarem. Wszędzie panuje ruch, wre praca, kipi życie. Puste przed wojną wybrzeże kaszubskie, piaszczyste, smutne i biedne, z roku na rok nabiera barwy i okazałości. Stanowi to najwymowniejszy, nieodparty argument, jak Polsce morze jest potrzebne i jak je ona umie zużytkować. To dopiero początek — pierwsze 10-lecie naszej gospodarki nad Bałtykiem. Czeką nas jeszcze dalsza praca: po uporządkowaniu i doprowadzeniu do stanu używalności gospodarczej wybrzeża, musimy zaludnić okrętami samo morze. Nasza flota handlowa i wojenna znajduje się dopiero w zalążku. Cztery przedsiębiorstwa żeglugowe, trzy parowce transatlantyckie, trzydzieści mniejszych statków towarowo-pasażerskich o łącznym tonnażu 60 tysięcy — oto cała nasza flota handlowa. O jej niedostateczności świadczy fakt, że zaledwie 7 i pół procent obrotów towarowych portów polskich odbywa się pod naszą banderą.

To samo dotyczy marynarki wojennej; składa się ona zaledwie z 2 kontrtorpedowców i 3 łodzi podwodnych nowego typu, oraz kilku starych niemieckich torpedowców, kilkunastu monitorów i innych jednostek pomocniczych, niemogących zapewnić bezpieczeństwa nawet bardzo niewielkim wybrzeżom. Dla skutecznej ich obrony potrzeba przynajmniej paru linjowych i kilku lekkich krążowników, czterokrotnie większej od posiadanej ilości łodzi podwodnych i kontrtorpedowców, oraz 2 stawiaczy min, ogółem 60 — 80 tysięcy ton, nie licząc okrętów pomocniczych. Jest to program minimalny, którego wykonanie powinno nastąpić w ciągu najbliższych lat, a zacząć się bezwzględnie. Od tego zależy bezpieczeństwo naszych wybrzeży i naszego dostępu do morza, bez którego nie może istnieć Państwo Polskie.

Zrozumienie konieczności dla nas posiadania morza pociąga za sobą świadomość potrzeby jego obrony.

Z tego powodu tegoroczne „Święto Morza“, będące wyrazem naszego uczuciowego stosunku do polskiego Bałtyku, połączono ze zbiórką na „Fundusz Obrony Morza“. Niedosć jest bowiem żywić sentyment; trzeba umieć jeszcze przetopić go w czyn pozytywny. Tego wymaga od nas troska o przyszłość Polski.



MIECZYŚLAW JAROSŁAWSKI.

Rosnąca choinka.

Nowela.

Od kilku dni już noszono choinki — ulicą obok pięciopiętrowej kamienicy. Co pewien czas ktoś wracał z placyku, gdzie je sprzedawano, przechodził przez obdrapaną z tynku bramę i windował się ciężko po schodach frontowych klatek.

Przyniosła już choinkę Staśka dla dzieci doktora Baranieckiego — Jacka i Magdzi; przyniósł sam pan buchalter z trzeciego piętra — dla bladego Tadka; pani Kociejska — dla Szymka, Jagusi i Zośki; pijany zawsze szewc Brodek dla piegowatego Janka i maglarka i sklepikarz choć dzieci wcale nie miał — wszyscy lokatorzy znosili małe drzewka. Nawet na czwarte i piąte piętro — nie wiedzieć dla kogo — wniesiono dziś dwie małe choinki.

— Pewnie dla tej... — zdecydowali chłopcy i odprowadzili telepiącego się ciężko posłańca w czerwonej czapce aż na trzecie piętro. Byliby dotarli za nim na miejsce przeznaczenia, gdyby dozorca nie spędził ich ze schodów.

— Cholera was tu nosi po piętrach! Jazda nadół, bękartyl Władek zsunął się po poręczy, a Ignas, że jeszcze nie dał rady — stoczył się za bratem, jak kula po wyżłobionych schodach. Obejrzeli się dopiero na podwórku.

— A co, jak on się pomylił, ten posłaniec? — spytał Ignas wpijając się świecącym, rozpalonym wzrokiem w twarz brata.

— Głupis! Omylił się! Taki się nie myli. To dla tej...

„Tą” nazywała się lokatorka z piątego piętra. Tak nazywali ją ojciec i matka, więc i dzieci nie znały innej dla niej nazwy.

Po chwili posłaniec zszedł z piętra bez choinki. Odprowadziły go rozczarowane oczy do bramy i wyprowadziły cichaczem aż na ulicę. Ale zapytać żaden z chłopców nie śmiał. Taki posłaniec nie odpowiadałby przecież.

— A kto jeszcze u nas nie ma choinki? — spytał Ignas.

— Kto? Chyba wszystkie już. Żeby jeszcze pan dozorca... odparł po namyśle Władek.

Pod wieczór wszakże i dozorca sprowadził sobie choinkę. Ba — i to jaką choinkę. Nie chciała się zmieścić. Aż obcinać musiał. Ignas i Władek czyhali na gałęzie, ale dozorca zebrał odpadki dokumentnie, a skradającym się chłopcom rzucił opryskliwie:

— Pójdziecie wy stąd, wisielce!

Przyczaili się więc na schodach spadających w głąb piwnicy. Tam w kącie podwórza mieszkali. Przez nawpół rozwarte, cofnięte w głąb fundamentowych murów okienko buchały kłęby pary. Matka prała. Ojca, jak co dnia, nie było w domu. To i myszkowali po podwórku, a i po ulicy, żeby się zwiedzieć, gdzie, kto, co i jak... I oczy napaść tą wonną zielenią świąteczną.

— A naco panu dozorczy choinka, kiedy nie ma dzieci? — szepnął Ignas. Władek nie odpowiadał. Myślał o tem kiedy ojciec przyniesie choinkę. Ale ojciec wracał do domu późno. Chłopcy zwykle już spali i dopiero dnia następnego dowiadawali się od matki, że choinki jeszcze nie przyniósł. Więc znów na podwórko, do bramy i na ulicę, po schodach tam i spowrotem, dopóki dozorca ich nie przyłapał, nie sklął i uszu nie nakręcił.

Tak czatowali aż do wilji. Matka wyszła od samego rana do zajęcia. Ojciec przypilnował żytnich zacierek na wodzie, żeby nie wykipsały, zjadł trochę i resztę rozdał chłopcom.

— Pamiętajcie — ostrzegał, zamykając drzwi — żebyście się tu nie pobili, bo jak wrócę — lanie. A na ulicę ani na krok.

Chłopcy nie myśleli wszakże dzisiaj o biciu się. Na ulicę zaś — jak się uda. Wyjdą, bo ulica ciągnie, bo ulicą noszą choinki, bo ulicą przyjdzie przecież wreszcie i ojciec z choinką dla nich. Więc Ignas pisnął, jak co dnia:

— Tata, a kiedy tata przyniesie dla nas choinkę?

Drwał spojrzął na chłopca matowym wzrokiem.

— Wszystkie już w kamienicy majom — dorzucił Władek. — Sami liczyli. Ojciec uśmiechnął się. Oczy dzieciaków patrzyły weń chciwie, ufnie. Odmówić nie sposób. Więc przyrzekł.

— Będziecie mieli dziś wieczorem. Ino spokój, powiadam. Zaledwie ucichły kroki ojca na schodach wiodących z suteryny na podwórze, a chłopcy jęli się kuksać — z radości. Mało brakowało, żeby się na dobre pobili, bo Ignas nie miał jeszcze ani tej wprawy, ani siły, jaką odznaczał się starszy o dwa lata

Władek. Szczęściem katastrofie zapobiegła zbudzona naraz chęć wyjścia na ulicę. W izbie było ponuro i nieprzytulnie. Po ścianach spływały ślisgie strugi wilgoci, żelazna płytką piecyka wystygła, drewek na podłodze już niebyło a z kranu monotonnie ciurkała w żelazny zlew woda.

Władek owinął Ignasia strzępem jakiejś włóczkowej chusty, tak jak to czyniła zwykle matka, wcisnął wielką czapę na uszy i zdecydował:

— Ignaś, to pójdziesz ze mną na róg do Gałązkowej. Może mi da jakie kurjery do sprzedania. Chiałbyś zjeść cukierka?

Ignasiowi rozjaśniło się blade liczko. Lubił podczas nieobecność rodziców wymykać się cichaczem z bratem na ulicę i sprzedawać z nim gazety, a potem zjeść cukierek, albo nawet i obwarzanek, bo Gałązkowa za dwie sprzedane gazety dawała grosz. Czasem udało się sprzedać przez cały dzień pięć albo i więcej.

— Ale te, Ignaś, pamiętaj, żeby matce ani ojcu nic...

Zastrzeżenie wprawdzie było niepotrzebne, bo Ignaś nie wygadał się dotychczas nigdy. Jak tajemnica, to tajemnica. Ich sprawa. A rodzice mogli zabronić — zamknąć w mieszkaniu, albo i łać nawet. A cukierki smaczne. Od kogo to dostaną? Ignaś lubił te długie malowane. Władek odgryzał zwykle kawałek, wjmował z ust i podawał bratu ze słowami:

— Na, tylko nie gryź, a ssaj, żeby było na dłużej.

Z gazetami chłopcy zapędzili się aż na niewielki placyk, gdzie wyrastał las choinek. Zagapili się zachwyceni, oniemieli i byliby może weszli w ten ciągnący ich wonią żywiczną i urodą las świerkowy, gdyby Ignaś nie szarpnął ostrzegawczo za rękaw brata.

— Władek, patrz — tata.

Zobaczyli ojca, jak zacierając ręce, przeskakiwał z nogi na nogę tuż pod zielonego lasku. Cały niemal pokryty był śniegiem — piękny jak ten gwiazdor z obrazków w sklepiku z papierem, piękny jak te drzewka przykryte bielą śniegu — niezwykły, nieznanany ojciec.

Ignasiowi zakręciły się w oczach łzy.

— Wiesz, Władek... Tata przyniesie nam dzisiaj taką choinkę.

— Skąd wiesz? — odezwał się trzeźwiej Władek.

— Bo taki z obrazka nosi zawsze choinki...

Ale Władek nie bardzo przejmował się tem, co mówił Ignaś. Ujął go przezornie za rękę i cofnął się.

— Chodźmy lepiej stąd, bo jak tata zobaczy...

— To myślisz, że wtedy nie przyniesie?

— Ale... i lanie jeszcze da.

Odeszli skwapliwie, przytuleni do siebie wzajem. Władek w innem miejscu próbował wtykać przechodniom gazety. Nadaremnie. Ignas łykał ślinę, marzył, aż zaczął wreszcie płakać. Zmierzchało. Wrócili do izby. A ojciec ich chuchał w czerwone od mrozu dłonie, przeskakiwał z nogi na nogę i czekał. Mało choinek kupowali dziś ludzie. Jedni już mieli, a inni — większość nie mieli za co kupić. Drwal dotychczas nie odniósł jeszcze ani jednej. Każdy — sam. Na plecy, jeżeli większa, pod pachę — małą. Albo i do dorózki. A drwal stał, to znów skakał. Czekał. Dzieciom musiał przynieść choinkę. Obiecał. Świeczki miał od zeszłego Bożego Narodzenia. Lichtarzyki również. Nawet dwie nadtłuczone nieco, kolorowe kule ze szkła.

Handlarze, ciepło ubrani, raz wraz klęli: klientelę, mroź i wogóle. Wypili już trzy flaszki wódki na rozgrzewkę. A wróciło się dopiero może za dwie. Handel jak nigdy dotąd. A jeżeli już kto zdecydował się kupić — chciał za darmo. Nie zwracał nawet kosztów. Zajadli byli na tych „psich klientów“, spojierali na nich ponuro i odpowiadali półgębkiem, przez ramię.

O zmierzchu sprzedawali już choinki za własną cenę. A drwal przeskakiwał z nogi na nogę — skulony, zziębnięty, siny, z głodu i mrozu. Nie odniósł dotychczas ani jednej. W ostatniej godzinie przychodzili jeno tacy, którzy prosili, aby im dać za darmo choć parę gałązek — że to i tak wiele zostanie na placyku. Odważył się więc.

— Chciałem panom pomóc... — zagadnął uprzejmie.

— A w czym to? — odburknął handlarz.

— Żeby odnosić te...

— Lepiejbyś pan poszedł do funduszu bezrobocia, żeby dał.

— Nie dadzą już... — westchnął drwal — jestem od pięciu miesięcy bez roboty.

— Wiadomo, dziś każdy... — rzucił zbywająco handlarz i już nie zwracał na drwala uwagi.

Ale drwal przyobiegał dzieciom. Widział jak się ucieszyły, jak mu ufały. Wiadomo — ojciec. Więc znów zagadnął:

— Gdybym był odniósł i zarobił, to byłbym taką jedną maleńką u pana kupił...

— Obędzie się.

— Choćby i za ten ostatni grosz, żeby te dziecka miały na święta. — Handlarz już nic nie odpowiedział.

Niebo powlokło się czernią. Jął padać gęsty śnieg. Wiał ostry wiatr i miętili, kurzył. Przez mgławicę z trudem przebijały się blaski gazowych latarni. Domy zniknęły, niebo spadło niby brudna, postrzępiona płachta. Przed oczyma drwała piętrzyła się nieforemna, tajemnicza góra drzewek, związanych kołującym, białym oprzędem śniegu. Jeden z handlarzy odszedł do pobliskiej karczmy. Drugi przycupnął w gąszczu. Zrobiło się cicho, gwar i tupot kroków ustały. Ludzi ani na lekarstwo. Tylko ten wiatr zamiata a gwizdże.

Obiecał. Matka chyba już wróciła, Może i przyniosła co na wilję od krawcowej, gdzie szykowała... A on... Niechby chociaż tę choinkę. Przykucnął, objął za pień, pierwszą z brzegu, niepozorną i uniósł. Była lekka jak piórko. Sam wiatr niósł ją w stronę jego domu. Pochwycił go, zamiótł za nim ślady. Słyszał za sobą krzyk, gwizdek, ale pędził tak, że ani obejrzał się, kiedy znalazł się w bramie. Odetchnął. Przez okna widział rozjarzone światła choinek. Dozorca zapalał u siebie również świece. Wsunął łeb przez okienko, popatrzył i rzucił za drwalem szyderstwo:

— A skąd to pan masz tego chojaka? No, no, czy aby nie kradzione?

Drwal skurczył się i chyłkiem wpadł do ciemnej wnęki piwnicy. Otrzeptał ze śniegu dziurawe buciska, otrząsnął choinkę i ześlizgnął się po schodach w głąb wilgotnych fundamentów kamienicy. W izbie było ciepło. Uderzył go w nos zapach nie-mytych śledzi, rozkrojonej już cebuli i kwaśnej kapusty. Kartofle w łupinach perkotały w garnku na żelaznej kuchence. Matka w świetle zakopconej lampki pitrasila coś w wyszczerbionej misce. Raz w raz rozlegał się jej suchy kaszel. Chłopcy kuksali się w ciemnym kącie na podłodze, pokwikując radośnie. Kiedy ujrzeli ojca — przysiedli, oniemieli. Potem rzucili się ku niemu i nuże dotykać chojaka i skubać i głaskać, a kłuć się rozkosznie świeżymi jego igłami.

Ustawili drzewko na stołku. Ojciec przybił je gwoździem i powtykał w gałązki lichtarzyki ze świeczkami. Matka ujęła przez fartuch opłatek. Dzielili się. Potem kasząc podawała śledzie — każdemu do ręki po kawałku. Po kartofle sięgali do wyszczerbionej miski. A na ostatku jedli kluski z makiem.

Dzieci ujadły się, umazały gęby, oblizywały się. Wtedy ojciec zapalił świece na choince i zanucił kolendę.

— Bóg się rodzi... Moc truchleje... wyciągnęła chrypiącym głosem matka i zakasała się.

A chłopcy, już piszczeli i dociągali wysokie nuty nawyści.

Migotliwe światło, ciepła para gotującej się na jutro kapusty i melodia kolendy były w małe, niżej poziomu podwórka oprawione okienko — były, usiłując wybuchnąć radosną nowiną nazewnątrz, aż ku wysokim piętrům poza piętra, ku zwisającym ciężko nad miastem, zaśnieżonym niebiosom.



Dozorca, sprawdzający nastroje świąteczne w kamienicy, stanął tuż nad okienkiem drwala, zajrzał, splunął, mruknął i odszedł do swych dwóch pokojów na parterze, gdzie na stole stała rozpoczęta butelka owocowego wina.

— Skąd takiemu tak wesoło? — skrzywił się i wzruszył ramionami. — Komornego, jucha, nie płaci, w pysk nie ma co wziąć, a bachory żebrzą... Przysadzista, żona podała mu filiżankę czarnej kawy i rzekła karcąco:

— Pij i nie gadaj, patrz w swoje, kiedy masz, a do cudzego nie zaglądasz, żeby ci nie kazali mu dać.

Kolendy w drwalowej izbie śpiewano tak długo, dopóki dzieci nie zmorzyło. Ignas sennie już pytał:

— Tata, a to ta choinka rośnie?

— Wiadomo — podchwycił z radością ojciec — układając nasyconego świętem chłopca.

— To jutro będzie wielka?... To tata postawi bez stołka na podłodze?

Wiadomo — potwierdził ojciec. — Ale żeby urosła, to musicie być grzeczne.

— To już będziemy, tata, grzeczne...

Matka zakasała sucho. Kran nie przestawał ciurkać. Ściany błyszczały wilgocią. Władek patrzył niedowierzająco, ale nie miał już siły do protestu i wyjaśnień. — Jakże to święta choinka mogła rosnać? — myślał, zasypiając.

Kiedy już wszyscy w domu zasnęli i tylko zrzadka pokazywała matka, ciurkał kran wodociągowy i parskała dogasająca lampka, drwal wdział łatany kubrak, nacisnął czapę, pozdejmował z choinki lichtarzyki, odpiął dwie szklane kule, oderwał drzewko od stołka, westchnął ciężko i wyszedł z niem z izby.

— Dokąd znów z tą choinką?! — spytał drwiąco dozorca.

Drwal nie odpowiedział. Chyłkiem wysunął się z bramy. Poclapał do placyku, gdzie wznosiła się tajemnicza ośnieżona góra drzewek. Cicho tu było. Nie zachowując żadnych zgoła ostrożności, z rezygnacją postawił choinkę na miejscu, z którego niedawno ją urwał. Już odchodził, gdy nagle wyrósł przed nim handlarz. Schwycił go pod gardziel i dalejże wypominać.

— A wy ta czego?! Znów po choinę?! Mało wam było jednej! Czekajcie dam ja wam teraz choinę!

Ale zaskoczony drwal nie bronił się, nie wrywał się.

— Odniosem — usprawiedliwiał się. — Ja tylko tak, bo obiecałem dzieciom, to mi nijak było do domu bez choinki. Aby zapaliłem na niej te kilka świeczek i odśpiewałem, jak co roku, kolendy o Narodzeniu Pana Jezusa. A kiedy dziecku zasnęły, tom wziął i przyniosłem spowrotem, żebym nie miał na sumieniu. To już niech pan daruje z uwagi na te dzieci...

W miarę jak mówił, handlarza ogarniało zdumienie. I trochę zażenowania i trochę wstydlivej litości.

— Tak?... No, no... To i niepotrzebnie odnosiłeś pan, bo zostało ich tam dosyć jeszcze. Psi handel latoś.

— Ale to sobie myślałem, żeby nie było krzywdy i obrazy Boskiej w święto — usprawiedliwiał się drwal.

— A jak będzie jutro, kiedy te dzieciaki się pobudzą?

Drwał ponuro opuścił głowę. Wreszcie odrzekł:

— A no... jakoś będzie... mówiliśmy, że bez noc choina urosnie... to i powiem im, kiedy się obudzą, że tak urosła, że się nie zmieściła w niskiej piwnicy...

— Hm... — zadumał się handlarz. — To pan masz takie małe dzieci?

— Mam... Dwoje: pięć i siedem lat.

— Hm, a ja nie mam. I mówiłeś pan im, że ta choinka bez noc ma urosnąć?

— A mówiłem.

— No, to musi urosnąć — uśmiechnął się. — Wybierz no pan takiego chojaka, co się u pana w izbie zmieści... żeby pod sam pułap! No!

Zdumiony drwał zgrabiałymi łapami jął gorączkowo otrze-pywać śnieg. Wdarł się w sam środek białej góry i wybrał drzewko — piękne, rosłe... Wziął je na plecy, podziękował i truchtem pobiegł z niem do domu. Długo stał przed bramą zanim dozorca raczył mu otworzyć. Ledwie go wpuścił z tą choiną.

— A to znów skąd taki galanty chojak? Nie inaczej, tylkoś znów pan ściągnął. Kary na was nijakiej niema!

— Stul pan pysk! — warknął drwał i śmiało skierował się ku swej izbie piwnicznej.

Kiedy ustawił już drzewko na podłodze, że sięgało czubkiem pod sam pułap, uśmiechnął się, myśląc o tem, jak to jutro obudzą się dzieci, a ujrawszy choinkę, uwierzą, że urosła i będą słuchać ojca i matki.

Żywczy, zdrowy zapach wypełniał małą izbę. W balsamicznem powietrzu kaszel matki uspokajał się.



Chrystus i Święci.

Nakaz Chrystusowy, podstawowe hasło Ewangelji głosi: „Bądźcie doskonałymi — jak Ojciec wasz w niebieszech doskonałym jest“¹⁾. Pierwowzorem zatem naszym ma być sam Bóg. Ale przecie ten Bóg — według słów św. Pawła — mieszka „w światłości niedostępnej“²⁾.

Bóg jednak zstąpił z niedostępnych kręgów światłości niebieskiej, „opuścił tron nieba i z ludźmi się zbratał“³⁾. Stał pomiędzy nami i byśmy nie mieli najmniejszej wątpliwości, powiedział: „kto mnie widzi, widzi i Ojca“⁴⁾. A będąc jako Bóg-Człowiek, „jasnością chwały Ojcowej“⁵⁾ i „obrazem Boga niewidzialnego“⁶⁾ wskazał na siebie jako na nieomylną drogę, po której kroczyć mają ci, co chcą być doskonałymi jako Ojciec niebieski.

Pierwowzór nasz w Panu Jezusie Chrystusie nie da się porównać z żadnymi, jakimi chciano ludzkość „uszcześliwić“ przedtem czy potem. W Chrystusie bowiem znalazła ludzkość nietylko naukę o świętości, ale żywą pełnię świętości i cnót. W nim zogniskowało się wszelkie dobro i piękno przez to jedno, co wiara tylu pokoleń zmieściła w tym prostym, krótkim akcie modlitewnym: „Niech będzie uwielbiony Jezus Chrystus, prawdziwy Bóg i Człowiek“. I dlatego ci, których „Bóg Ojciec przejrzał i przeznaczył (do chwały wiecznej) muszą być podobni obrazowi Syna Jego. A Syn Boży (w ten sposób) staje się: pierworodnym między wielu braćmi“⁷⁾.

Ci, którzy naśladowanie Chrystusa, jako pierwowzoru świętości, uczynili — jasno i wyraźnie — celem swego życia; ci którzy w naśladowaniu tem nie uznawali odchyień i kompromisów; ci, którzy konsekwencje tego naśladowania uznali za szczyt swych marzeń życiowych — to są Święci.

Oczywiście, że nie wszyscy Święci jednakowo zbliżyli się do tego pierwowzoru, jakim jest Syn Boży. Żaden z nich nie

¹⁾ Mat. 5, 48.

²⁾ 1 Tym. 6, 16.

³⁾ Z kolędy: „Z nieba wysokiego“...

⁴⁾ Jan 14, 9.

⁵⁾ Żyd. 1, 3.

⁶⁾ Kolos. 1, 15.

⁷⁾ Rzym. 8, 29.

mógł się pokusić, by osiągnąć wyżyn świętości, które były udziałem Najświętszej Duszy Chrystusowej. Ale całą treścią zasadniczą ich świętości było mniej lub więcej doskonałe kopjowanie tych rysów cnoty i doskonałości, jakie promieniają z Osoby Zbawiciela. I w tem znaczeniu można powiedzieć najdosłowniej, że ile Chrystusa w Świętych naszych — tyle w nich prawdziwej świętości.

Program tej świętości nakreślił sam Boski Mistrz w ośmiu wielkich hasłach, zwanych przez nas powszechnie „Ośmiu błogosławieństwami“. Dlatego Kościół św. czyta Ewangelię o „ośmiu błogosławieństwach“ w dniu WW. Świętych, chcąc nam żywo uprzytomnić, jakie zasady poprowadziły Świętych Pańskich na „świętą górę“ doskonałości. Zapominać nam wszakże nie wolno, że w tym manifeście doskonałości, ogłoszonym na „górze błogosławieństw“ nasz Boski Mistrz odłonił rąbek Swej własnej świętości, którą uczniom swym podał jako wzór do naśladowania. To była zresztą jego naczelną metoda: „Uczcie się ode mnie“.

W świętości Chrystusa Pana uwypukić musimy pewne zasadnicze elementy, które — jeśli się tak wyrazić wolno — stanowią tło jego psychiki ludzkiej. Bo jako Bóg „mieszka w światłości niedostępnej“.

Ci, którzy starali się wniknąć w tajniki Duszy Chrystusowej, znaleźli w Jej pokładach trzy zasadnicze elementy Jej świętości¹⁾.

1. Pierwszym z nich jest niezmiennie i stałe nastawienie całej ludzkiej istoty Chrystusa Pana w kierunku zupełnego oddania się woli Ojca Niebieskiego. Jest w tem nastawieniu konsekwencja, drga w niem żar bezwzględnej ofiary całopalnej.

Już w duszy dwunastoletniego chłopca bucha płomień tego żaru — niepowstrzymany. „Nie wiecie iż w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba, żebym był?“ (Łuk. 2, 49). A, kiedy jako mąż dojrzały stoi u kresu swej misji, w ogniu walki, wyznaje głośno, iż „pokarmem jego i chlebem codziennym jest pełnienie Woli Jego Ojca“ (Jan 4, 34). I u kresu życia, w ostatnim akcie dramatu odkupienia, na Golgocie, wszystkie siły swej duszy i wszystkie jej przeogromne skarby składa w modlitwie ofiarnej: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego“. (Łuk. 23, 46).

Ale nie tylko sam oddaje się w całopalnej ofierze na ołtarzu najświętszej Woli Ojca niebieskiego. On tej Woli najświęt-

¹⁾ Porów. Karl Adam: „Pfungstgedanken“, 1933, München str. 15 i n.

szej pragnie złożyć w ofierze całą ludzkość, której jest Głową, by ta ludzkość cześć oddawała Najśw. Imieniowi Ojca, by Jego Wolę spełniała, by Jego Królestwo stało się jej udziałem na ziemi i kiedyś w niebie.

To bezwzględne podporządkowanie się hegemonji Woli Bożej, kładzie Chrystus Pan najpierw głęboko w dusze Swych najbliższych, Swych Apostołów i uczniów. Nakazuje im nie tylko brać krzyż na każdy dzień, ale nawet: opuścić ojca, matkę, żonę i dzieci, rodzeństwo, by oddać się w zupełnej ofierze Woli Ojca niebieskiego.

By im jednak tę ofiarę ułatwić, urzeczywistnia sam na sobie to, co głosi: — stając się żertwą Woli swego Ojca. Całe jego życie na tej ziemi nosi na sobie stygmat Woli Bożej.

Nie istnieją dlań dobra tego świata, a „siostra bieda“, wyrzeczenie i cierpienie towarzyszą mu na drodze, wiodącej do spełnienia Woli Ojca.

„Ojciec“ i „Jego Królestwo“ — w tem streszcza się wszystko, co było istotną treścią Jego życia i Jego śmierci. Życie Jego i śmierć. Życie Jego i śmierć ogniskowały się w tych dwu pojęciach: najistotniej.

Stąd to zrodził się ten specjalny styl Jezusowy, styl nawskróś męski, zdecydowany, w którym niema miejsca na chwiejność i niezdecydowanie.

Jezus to prawdziwy „mąż Boży“. Męska wola i moc pali się w Jego słowach i w Jego uczynkach. Hartują się one w całopalnej ofierze, składanej bezustannie Ojcu Niebieskiemu.

Często nie rozumiemy Świątych i nieraz fałszywie ich oceniamy, bo mało zdajemy sobie sprawę, że wcielali oni w życie ten styl Jezusowy: bezwzględnego oddania się Woli Bożej. Tem nas przerastają i tem odrzynają się od naszej przyziemności..

2. Wolą swą, zdecydowanie oddaną Ojcu niebieskiemu, urasta w oczach naszych Chrystus Pan do jednolitej granitowej bryły, w której niema skazy ani szczeliny najdrobniejszej. Ale — Jezus nie jest zimną skałą.

W Jego ludzkiej psychice widzimy drugą dominantę, którą jest bezgraniczne poświęcenie się dla ludzi, poświęcenie pełne delikatności, które zniewala najbardziej zatwardziałe serca.

Ewangelja cała jest jedną wspaniałą epopcją miłości, opiewającą oddanie się Zbawiciela dla ludzi i to przedewszystkiem

dla tych, co najbiedniejsi, wzgardzeni, a nieraz nawet napiętnowani. Serce Zbawicielowe otwarte dla pogańskiego setnika, dla chanańskiej niewiasty, dla kacerskich Samarytan, których miłość bliźniego przeciwstawia śmiało „oficjalnej“ sprawiedliwości i pobożności zimnych faryzeuszów. Celnicy i grzesznicy, „zbierani po opłotkach“ goście, robotnicy przychodzący w ostatniej godzinie dopiero do winnicy — oto orszak wprowadzany przezeń na „gody“.

Może rzadko przyglądaliśmy się naprawdę wnikliwie rozmachowi miłości bliźniego w Duszy Chrystusowej. Rozmach ten jest naprawdę na miarę Ojca niebieskiego. Opasuje on wspaniałą wstęgą cały świat. W miłości Chrystusowej Boża naprawdę druga nuta, tak inna od małej miłości naszej.

I znów trzeba powiedzieć, że dlatego niejednokrotnie nie rozumiemy Świętych, bo oni miłości bliźniego uczyli się w całej pełni u Chrystusa Pana, podsłuchiwali ją w jego Najświętszem Sercu.

„Król miłości“ i „Mistrz miłości“ podpowiadał im tę miłość bliźniego, która wprawiała w podziw ludzkość.

„Uprzywilejowanie“ w tej miłości: biednych, nędzarzy, chorych, grzeszników — to sekret czerpany wprost ze Serca Bożego. Szczęśliwi ci, którzy ten sekret sobie przyswoili.

3. I jeszcze jedna cecha psychiki Chrystusowej, element jego świętości, tak rzadko doceniany przez nas należycie i tak lichy przez nas rozumiany: **ukochanie przyrody**. Ukochanie to płynęło ze Serca Ojca niebieskiego w Serce Jezusowe tak jak i miłość dla ludzi: żywo i bezpośrednio.

W tym względzie przeciwstawił się Pan Jezus współczesnym Esseńczykom, ascetom-pustelnikom, nawet św. Janowi Chrzcicielowi, uciekającemu od świata.

Gdybyśmy nie mieli żadnego innego świadectwa umiłowania przyrody przez Chrystusa Pana, tylko jego wspaniałe przypowieści i porównania z zakresu przyrody, jużby one same wystarczyły, by nas upewnić w stwierdzeniu żywego ukochania przyrody przez Zbawiciela, który widział w niej na każdym kroku „technienie Ducha Bożego“ i ułamkowe odzwierciedlenie Jego piękna.

Nie będziemy tu powtarzać rzeczy tak dobrze nam znanych z Ewangelji. Czy bowiem uprzytomnimy sobie P. Jezusa śpiącego przy wtórze szemrzących fal jeziora Genezaret, czy modlą-

cego się na górze pod konarami drzew i pod baldachimem nieba zasianego gwiazdami w pogodną noc, czy idącego wśród łąnu zboża z Apostołami, wszędzie łatwo podpatrzymy to umiłowanie przyrody, które w niej szuka mądrości i opatrności Ojca niebieskiego. O tej mądrości i opatrności ojcowskiej mówią doń szare wróbelki i skromne lilje polne...

Ukochaniem przyrody należy tłumaczyć szczególniejszą miłość Pana Jezusa dla dzieci, które przecież wnoszą w życie akcent najbardziej naturalny i bezpośredni, najbliższy pięknu i prostocie przyrody.

I znów zauważyć trzeba: nie rozumiemy Świętych, gdy idąc w ślady Jezusowe — w uwielbieniu i miłości pochylają się nad pięknem przyrody, wielbiąc w tem pięknie odblask Bożej piękności, szczyptę Bożego czaru niezrównanego.

„Biedaczyna z Assyżu“, śpiewający hymn do słońca, pieszczący każdy jego promyczek, rozmawiający z ptaszkami, niejednemu z nas „dziwnym“ się wydaje.

Wprzągnięci w zmechanizowane przez współczesną technikę życie nowoczesne, tak obce zrozumieniu przyrody, lub prowadzeni w świat przyrody jednostronnie i płytko, zatraciliśmy tę nić złotą, co wiodła Świętych — po szlakach myśli Bożej, znaczonej po tej ziemi, — aż do Źródła i do Celu...

Nie trzeba tak rozumieć Świętych — jak to nieraz się czyni — że odrywa się ich niejako od ziemi i nie patrzy na nich inaczej jak przez nimb i ołtarz. Ale i tak nie można rozumieć Świętych Pańskich — jakoby tylko swemi siłami, przez konsekwentne naśladowanie prawzoru świętości, własnym wysiłkiem doszli do świętości, która ich wyniosła na ołtarze. Potrzebowali oni wszyscy łaski Bożej, „mocy z wysoka“.

Św. Paweł ujmuje tę prawdę w klasycznym tekście, który pozostanie na zawsze najgłębszym ujęciem stosunku wysiłku ludzkiego do wielkich zadań, nakreślonych Wolą Bożą. Mówi on: „wiem że mieszka we mnie, to jest w ciele mojem, dobre. Albowiem chcieć przy mnie jest (t. zn. jest w mej mocy), ale wykonać dobre nie znajduję (siły). Bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, to czynię“. A parę wierszy dalej: „widzę (inny) zakon w członkach moich“... Wkońcu rzuca św. Paweł pytanie: „kto mnie wybawi od ciała tej śmierci

(t. zn. od tego śmiertelnego ciała i jego słabości)?” I odpowiada: Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa¹⁾”.

Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa — to krynica, to źródło prawdziwej świętości. Wzór bowiem może nam świecić jak słup światła wśród ciemności, jak jasna gwiazda wśród odmetów i otchłani, ale do naśladowania trzeba mocy. I im wyżej sięga doskonałością nasz wzór — tem więcej trzeba siły, by podążać za nim. Ponieważ zaś wzór nasz jest Boski, więc Bożej potrzeba nam mocy i Bożej siły.

Moc tę i siłę Bożą wysłużył nam Pan Jezus i daje nam ją w sakramentach świętych, które uczynił niejako kanałami rozprawdzającymi siłę Bożą w biedne, słabe, kruche serca ludzkie. One tłumaczą nam to bohaterstwo i ten wysoki poziom świętości i cnoty, jaki podziwiamy w Świętych Pańskich. I gdybyśmy dziś mogli posłyszeć tętno ich serca, to biłoby ono w takt hymnu podziękii uwielbiającej, jaki danem było słyszeć umiłowanemu uczniowi Chrystusowemu, gdy w niebiosa wzrok swój orli zapuszczał — na skrzydłach Bożego natchnienia. „W czarach wonności pełnych, które są: modlitwy Świętych²⁾“ niosą oni przed Tron Barankowy pienie, głosząc podziękę za to, „iż jest zabity i odkupił nas Bogu przez Krew swoją — ze wszelkiego pokolenia i języka i ludu i narodu. I za to, że uczynił nas Bogu naszemu królestwem³⁾”...

Liturgia św. tak często nazywa Chrystusa Pana mianem zapożyczonem z Malachjasza „słońcem sprawiedliwości⁴⁾”. Jak ze słońca idą promienie ciepła i życia i dają przyrodzie krasę, piękno, barwę, owoc, życie, — tak i z Jezusa Chrystusa i przezeń na dusze Świętych padają posilne promienie łaski. Pod ich działaniem wykwita Boże, nadprzyrodzone życie. Tu leży tajemnica ich świętości i najwłaściwsze jej wytłumaczenie.

Taż sama liturgia św. nazywa Matkę Bożą „speculum iustitiae”, zwierciadłem sprawiedliwości. Za wzorem „Królowej Wszystkich Świętych” każdy ze Świętych Pańskich był i jest tem „zwierciadłem sprawiedliwości”, w którym promienie „słońca sprawiedliwości” odbijają się z mniejszą lub większą siłą, dokładnością i harmonją. Wszyscy oni z jednego i tego samego czerpią źródła-słońca, jedni mniej, drudzy więcej. Stąd ta różnolitość typów naszych Świętych.

¹⁾ Rzym. 7, 18—25., ²⁾ Objaw. 5, 8., ³⁾ Objaw. 5, 9., ⁴⁾ Mal. 4, 2. „Sol iustitiae“, porówn. Officium 8 Septembris.

PROGRAM I CEL TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOLA

oraz sposoby i warunki, przy pomocy których każdy może się przyczynić do rozwoju Towarzystwa i jego Zakładów wychowawczych dla sierót i opuszczonej młodzieży.

Cel naszego Towarzystwa jest religijno-społeczny: praca nad udoskonaleniem własnym oraz wychowanie sierót i opuszczonej młodzieży. Przyjmujemy do zakładów naszych:

I. Kandydatów na członków-zakonników Towarzystwa:

Wiek, stanowisko lub zawód są rzeczą podrzędną. Aby zostać zakonikiem, czyli członkiem Zgromadzenia, trzeba odbyć odpowiednie studia, nowicjat i złożyć śluby zakonne. Przy wstąpieniu wymagane są następujące dokumenty:

1) Metryka urodzenia i chrztu, 2) świadectwo moralności od proboszcza, 3) ostatnie świadectwo szkolne i ewentualnie świadectwo wyzwolin, względnie pracy, oraz 4) lekarskie świadectwo zdrowia.

Żyjemy odpowiednio do naszego hasła „Powściągliwość i Praca“ ubogo, na wzór włóścian. Utrzymujemy się w wielkiej mierze z ofiar ludzi miłosiernych, więc niesłuszną byłoby rzeczą żyć zbyt kownie za pieniądze tych, którzy żeby nas wesprzeć, nieraz sobie od ust odejmują. Nadto wychowując młodzież ubogą i ucząc ją przestawać na małym, musimy jej świecić pod tym względem przykładem, który jest w wychowaniu czynnikiem najważniejszym. Tytoniu u nas nie wolno palić.

II. Dzieci na wychowanie.

Na wychowanie przyjmujemy dzieci ubogie i opuszczone od m. w. 12-tu lat. Stałego jednak terminu przyjęcia nie pазnaczamy. Dziecko biedne i opuszczone czekać nie może, więc o ile jest miejsce, przyjmuje się takowe kiedy się zgłosi.

Zakłady nasze nie są zakładami ściśle naukowymi, ale w pierwszym rzędzie zakładami wychowawczymi. Wielu jednak nas nie rozumie i wskutek tego stawia bardzo często zakładom naszym zbyt wielkie wymagania. Mimo to, wychowankowie nasi mają możliwość wyuczenia się różnych rzemiosł, a obok tego mogą zdobyć odpowiednie wiadomości szkolne potrzebne w obranym zawodzie. Nauki średnie i wyższe ułatwiamy tylko kandydatom na zakonników, którzy mają powołanie do stanu duchownego i którzy jako kapłani lub bracia poświęcają się pracy w duchu Towarzystwa.

Dzieci chorych i moralnie zepsutych nie przyjmujemy pod żadnym warunkiem. Jest jednak gorącym naszym pragnieniem założyć osobny zakład poprawczy, aby i tych najgorszych sprowadzić na drogę cnoty. Narazie jednak ciężkie stosunki obecne nie pozwalają nam urzeczywistnić naszych zamiarów.

Do podania o przyjęcie dołączyć należy: 1) metrykę chrztu, 2) świadectwo moralności od proboszcza, 3) świadectwo ubóstwa z gminy, potwierdzone przez urząd parafjalny, 4) świadectwo szkolne, o ile dziecko do szkoły uczęszczało, i 5) lekarskie świadectwo zdrowia i szczepienia ospy.

U W A G A: Do wszelkich podań i korespondencyj wymagających odpowiedzi w sprawach przyjęć, upraszamy dołączyć znaczek pocztowy.

Członkowie wspierający.

Wielki nasz Założyciel, śp. Ks. Bronisław Markiewicz, zakładając zakłady dla sierót i opuszczonej młodzieży, zdawał sobie dokładnie sprawę

z tego, że aby można było wychowywać dzieci opuszczone, trzeba mieć także moralne i materialne poparcie ludzi miłosiernych. W tym to celu założył Towarzystwo „Powściągliwość i Praca“, pod sztandarem którego skupili się wszyscy ci, którzy głęboko zrozumieli i przejęli się jego ideą i którzy dla niej pracują; jedni jako członkowie zakonniczy w zakładach w charakterze nauczycieli, wychowawców i majstrów, — inni zaś, żyjąc na świecie, jako członkowie wspierający, pomagają zakładom moralnie i materialnie, jak kogo stać i ak kto może.

Na wspierającego członka Towarzystwa wpisać się może każdy, posyłając swój dokładny adres i ofiarę, na jaką go stać.

Od chwili przyjęcia, każdy członek otrzymuje bezpłatnie nasz miesięcznik „Powściągliwość i Praca“, zaś po kilku miesiącach dyplom członkowski.

Obowiązki członków wspierających.

Obowiązkiem członków wspierających naszego Towarzystwa jest przede wszystkim przykładowe życie według zasad katolickich, oraz:

- a) moralne i materialne wspieranie zakładów naszych wedle sił i możliwości przez ofiary własne i zbieranie składek na cele Towarzystwa;
- b) zjednywanie nowych członków wspierających;
- c) zachęcanie pobożnej i przykładowej młodzieży do poświęcenia się życiu zakonnemu w naszym Towarzystwie w charakterze kapłanów lub braci;
- d) rozpowszechnianie w swej okolicy wydawnictw (książek) i miesięcznika „Powściągliwość i Praca“, organu Towarzystwa, zawierających artykuły dostosowane do religijnych i narodowych potrzeb naszego społeczeństwa, aby rozpalić w niem gorącą wiarę ojców naszych i szlachetną miłość ojczyzny, aby uświęcić życie rodzinne i zachęcić do dobrego i przykładowego wychowania dzieci;
- e) zjednywanie członków majątnych, którzyby, mając ku temu możliwość i warunki, wspierali ofiarami i jałmużnami nasze Zgromadzenie i jego Zakłady Wychowawcze dla sierót i opuszczonej młodzieży, zaopatrywali je w aparaty religijne, utenżyli szkolne, książki do nauki i biblioteki, bieliznę, odzież, obuwie (nawet używane), przyrzędy do gier i zabaw dzieciennych i t. d.

Społeczeństwo nasze coraz żywiej interesuje się sprawą wychowania najuboższych i uznaje jej doniosłość, ale jeszcze nie w tym stopniu, jak ona tego wymaga.

Polska ma do wychowania setki tysięcy sierót, które nie mając opieki giną w haniebnym sposobie w nurtach wszelkiego zła i zgnilizny moralnej. Czyż nie lepiej byłoby, gdyby wszystkie te dzieci wychowały się na chwałę Boga i pożytek Ojczyzny i zamiast przeklinać, błogosławiły swój naród, boć przecież i te wydziedziczone istoty są dziećmi jednej i tej samej Matki-Ojczyzny i mają prawo domagać się od swoich rodaków pomocy i miłosierdzia. Na to jednak trzeba ogromnych funduszy i ludzi pełnych zaparcia się i poświęcenia. Za jedno i drugie Pan Jezus sownie zapłaci „bo coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili“.

Wszelką korespondencję w sprawach Towarzystwa upraszamy kierować pod adresem:

*Towarzystwo Świętego Michała Archaniola
w Miejscu Piastowem (Małopolska).*

Okruszyny.

Pewien magnat chcący zostać kanclerzem rzekł raz do króla Zygmunta Starego: ludzie plotą, że mam być kanclerzem. — A król: nie dbaj waszmość; czego oni nie plotą?

*

Gdy raz Batory kazał swemu kanclerzowi napisać przywilej dla pewnego dzielnego męża, rzekł kanclerz: na co mu dawać, kiedy nie prosi? — A król: aż nadto prosi, kto wiernie służy.

*

Jakób I. król angielski, któremu natrętna mucha ciągle na twarzy siadała, spędzając ją rzekł: mam trzy królestwa; czy w nich nie możesz znaleźć sobie innego miejsca, gdziebyś siadła?

*

Gdy pewnego dzielnego Spartanina nie obrano do Rady Trzystu, on zamiast się rozgniewać, rzekł: cieszę się, że w Sparcie trzystu mężów jest lepszych ode mnie.

*

Raz ksiązę Radziwiłł zobaczywszy stłuczone naczynie, srodze zbił sługę Jana, który mu się pod rękę nawiniął. Niewinnie skrzywdzony sługa zawołał: za co mnie J. Pan bije? naczynie to rozbił Michał, nie ja. — Ksiązę się zawstydził i rzekł: musisz wybaczyć! ale na przyszły raz gdy ty zawinisz, Michał za ciebie kije dostanie. — Wtedy Jan zawołał: a ty gałganie! to taka twoja ksiązęca sprawiedliwość? Osieł jesteś! — Ksiązę ostupiał, wreszcie skoczył, żeby go za tak wielką zniewagę ukarać, ale Jan krzyknął: Jaśnie Panie! to Michał ma dostać, nie ja. Przecie dopiero J. Pan tak powiedział.

*

Talleyrand był naczelnikiem rządu po upadku Napoleona i restauracji Burbonów. Raz król Ludwik XVIII czytał mu projekt konstytucji, a premier rzekł: N. Panie! Tu jest luka. — Jaka? — Pensje posłów. — Przecie posłowie powinni honorowo i bezpłatnie spełniać swe obowiązki. — Ale toby zbyt drogo kraj kosztowało, rzekł Talleyrand, znawca ludzi.

*

Raz Ludwik XVI grał w karty z jednym z parów. W ciągu gry odzywa się król: ja wygrałem. — Jego partner rzekł skromnie: W. Królewska Mość daruje, ale wygrana po mej stronie. — Nie, rzecz król, wygrana moja. Obecni dworzanie milczą dyskretnie, wtem przybywa ksiązę Gramont. Król zwraca się do niego i pyta: powiedz, kto ma słuszność? — Ksiązę spojrział na milczących kłopotliwie dworzan i odrzekł: W. Królewska Mość w każdym razie słuszności nie ma. — Król: a to co znaczy? gry nawet nie widziałeś, a twierdzisz, że nie mam słuszności... Ksiązę: ale widzę miny i milczenie dworzan; gdybyś W. Król. Mość miał słuszność, oni pewnie nie żałowaliby swych gęb, aby walczyć w obronie W. Król. Mości. — Znał ludzi.

*

Marszałek Villars rzekł raz do króla mając odjechać na plac boju: Sire! jadę bić nieprzyjaciół W. Kr. Mości, ale zostawiam Cię wśród moich nieprzyjaciół.

Taryfa pocztowo-telegraficzna, telefoniczna i lotnicza

w obrocie krajowym i zagranicznym obowiązująca od dnia 1 października 1934 r.

Obrót krajowy.

Rodzaj przesyłki	Obrót krajowy iz W.M. Gdańsk.	OPŁATA		Rodzaj przesyłki	Obrót krajowy iz W.M. Gdańsk.	Opłata	
		Miej- scowa	Zamiej- scowa				W a g a
Listy	do 20 gr	15	25	Druki dla ociemniałych	do 5 kilogramów	5 gr.	
	ponad 20 gr do 250 gr	30	50				
	" 250 " " 500 "	40	80				
	" 500 " " 1000 "	60	1.20				
Listy zam. nadawane przez niezawodowych podoficerów i szeregowców służby czynnej z wyjątkiem szeregowych nadterminowych oraz szeregowych rezerwy powołanych na ćwiczenia, nadawane za pośrednictwem właściwych dowództw				Wymiar jak dla listów.			
do 20 g. 15 gr.				Papiery handlowe	do 100g.	15 gr.	
ponad 20 do 100 " 20 "					ponad 100 gr do 250 "	25 "	
kartki poczt. zamiejsc. 10 "					" 250 " " 500 "	50 "	
				" 500 " " 1000 "	60 "		
Wymiary: 45 cm. w każdym kierunku rułony 75 cm. dług. 10 cm. średnicy.				Wymiar jak dla listów.			
K artki pocztowe	pojedyncze	10	15	Próbki towarów wysyłane pojedynczo	do 100g.	15 gr.	
	z opłac. odpow.	20	30		ponad 100 gr do 250 "	25 "	
Wymiary: najmniejsze 10 X 7 cm. " największe 15 X 10 cm.				" 250 " " 500 "	50 "		
Druki wysyłane pojedynczo	do 20g.	5 gr.	jednocześnie w ilości	" 100 do 500 szt. 70 ^o / _o	opłata za przesyłki towarów odpowiedn. wagi		
	ponad 20 gr. do 50g.	10 "		" 500 " " 1000 " 65 ^c / _o			
	" 50 " " 100 "	15 "		" 1000 sztuk 60 ^o / _o			
	" 100 " " 250 "	25 "					
	" 250 " " 500 "	50 "					
	" 500 " " 1000 "	60 "					
" 1000 " " 2000 "	70 "						
Pojedynczo wysyłane tomy do 2 kg.				Wymiary: 45 x 20 x cm. x 10 rułony: 45 cm. na dł. 15 cm. w średn.			
Druki prywatno jednocześnie w ilości	ponad 500-1000szt.	70 ^o / _o	Przesyłki mieszane (druki, próbki papiery hand- lowe)	do 100g.	15 gr.		
	" 1000-1500 "	65 ^o / _o		ponad 100 g. do 250 "	25 "		
	" 5000-10.000 "	60 ^o / _o		" 250, " 500 "	50 "		
	" 10.000 szt.	50 ^o / _o		" 500, " 1000 "	60 "		
	Opłaty za druki odp. wagi.						
bezadresowe w ilości	ponad 1000-5000 szt.	8 zł.	nadawane jedno- razowo z zawartością tylko druków pró- bek towarów w ilości	" 100 do 500 szt. 70 ^o / _o	opłata za przesyłki mie- szane odpowiedn. wagi		
	" 5000-10.000 "	7.50		" 500 " " 1000 " 65 ^o / _o			
	" 10.000-50.000 "	7.—		" 1000 sztuk 60 ^o / _o			
	" 50000-100000 "	6.50					
	" 100.000 szt.	6.—					
				Waga i rozmiary nie mogą prze- kraczać norm przepisanych dla każdej z te części.			
ulożki w ilości	ponad 1000-5000 szt.	7 zł.	Opłata za doreczenie listów wartościowych	do 100 zł. — 10 gr.	Za doreczenie zagran. listów wartościowych nie pobiera się opłaty.		
	" 5000-10.000 "	6.50		" 1000 " — 20 "			
	" 10.000-50.000 "	6.—		" 5000 " — 50 "			
	" 50000-100000 "	5.50		" 10.000 " — 100 "			
	" 100.000 szt.	5.—					
Wymiar jak dla listów.							

Listy wartościowe

(Łącznie z obrotem z P. U. P. Gdańsk).

- 1) Opłata za list polec. odpow. wagi.
 - 2) Opłata asekuracyjna za każde 100 zł. 10 gr.
- Przy listach otwartych . . . 30 „
Najwyższa dopuszczalna wartość 10.000 zł.

Obrót z Woln. Miastem Gdańskiem.

- 1) Opłata za list odpowiedniej wagi
 - 2) Opłata asekuracyjna za każde 300 złotych 50 gr.
- Najwyższa dopusz. wart. 10 000 zł.

Przekazy pocztowe

łącz. P. U. P. Gdańsk.

Opłata przy nadaniu		Opłata za doręcz.
ponad — zł. — 20	20gr	10 gr.
„ 20 „ — 50	40 „	10 „
„ 50 „ — 100	60 „	20 „
„ 100 „ — 500	1.— „	40 „
„ 500 „ — 1000	1.50 „	60 „
„ 1000 „ — 2000	2.— „	60 „
„ 2000 „ — 5000	3 — „	60 „

Za doręczenie przekazów czek. P. K. O.

	do 50 zł. 10 gr.
ponad 50— 100 „	20 „
„ 100— 500 „	40 „
„ 500—5000 „	60 „

Zaopatrzeń emerytalnych powyżej 50 zł. — 10 gr. bez względu na wysokość wypłaconej kwoty 10 gr.

Przekazy telegraficzne

- 1) Opłata jak za zwykłe przekazy.
 - 2) Opłata manip. 20 gr.
 - 3) Należ. za pośpiesz. doręcz. 50 „
 - 4) Należytość za telegr. przekazowy i ewentualnie korespond. osobistą.
- Przekazy poste-restante wolne są od opłaty pod 3.

Obrót zagraniczny.

Rodzaj przesyłki	Obrót zagraniczny		Opłata	Rodzaj przesyłki	Obrót zagraniczny		Opłata
	W a g a				W a g a		
Listy	do 20 g.		55 gr.	Druki dla ociemniałych	za każde 1000 g.		5 gr.
	za każde dalsze 20 „		30 „		Do Austrii, Czechosłow. i Węgier		do wagi 5 kg.
Do Austrii, Czechosłowacji, Rumunii i Węgier	do 20 g.		45 „	Najwyższa waga 5 kg. Wymiary: jak dla listów.			
	za każde dalsze 20 „		25 „				
Najwyższa dopuszczalna waga 2 kg. Wymiary: 45 cm. w każdym kier. Rulony: 75/10.				Papiery handlowe	za każde 50 gr. najmniej	10 gr. 60 „	
Kartki pocztowe	pojedyncze z opł. odpow.		30 gr. 60 „	Najw. waga 2 kg. Wym. jak dla list.			
	pojedyncze z opł. odpow.		25 „ 50 „	Próbki towarów	za każde 50 gr. najmniej	10 gr. 20 „	
Wymiary największe: 15 x 10,5 cm. „ najmniejsze: 10 x 7 cm.				Najwyższa waga 500 gr. Wymiary: 45 x 20 x 10 cm. Rulony: 45 x 15 cm.			
Druki	za każde 50 gr.		10 gr.	Przesyłki mieszane (druki, próbki towarów, papiery handl.)	za każde 50 gr. jeżeli przesyłka składa się z druków i próbek towarów najmniej	10 gr. 20 „	
					w innych wypadkach najmn.	60 „	
Najw. waga 2 kg. Pojed. tomy 3 kg. Wymiary: jak dla listów.				Waga i wymiary poszczególnych części składowych przesyłki nie mogą przekraczać norm, przepisanych dla każdej z tych części.			

Listy wartościowe.

- 1) Opłatę za list polecony odpowiedniej wagi.
- 2) Opłatę asekuracyjną za każde 300 złotych 50 groszy.

Wartość podana nie może przekraczać 5000 fr. w złocie, jeżeli w obrocie z niektórymi krajami nie obowiązuje kwota niższa.

Przekazy pocztowe

(łącznie z obrotem W. M. Gdańskim).

Opłaty przy nadaniu.

Do krajów, z którymi wprowadzono obrót przekazowy, z wyjątkiem

Kanady, Stanów Zjedn. Ameryki, Wielkiej Brytanji i krajów, z którymi obrót przekazowy odbywa się za pośrednictwem Wielkiej Brytanji: do 100 zł. 80 gr. za dalsze 100 zł. lub ich część 50 gr.

Do Kanady, Stanów Zjedn. Ameryki, Wielkiej Brytanji i krajów, z którymi obrót przekazowy odbywa się za pośrednictwem Wielkiej Brytanji: do 100 zł. . . 1 zł. za dalsze 100 zł. lub ich część 1 zł.

Przekazy telegraficzne.

Opłata za przekaz.
Opłata za telegram.
Opłata za pośpieszne doręczenie.

Paczki prywatne i urzędowe

OPŁATA WEDŁUG ODLEGŁOŚCI

Waga	ODLEGŁOŚĆ				Za doręczenie do wagi	Opłata
	100 klm.	300 klm.	600 klm	ponad 600		
	O I strefa	P Ł II strefa	A T III strefa	A IV strefa		
do 1 kg.	50 gr.	50 gr.	60 gr.	60 gr.		
" 3 "	70 "	80 "	1.20 "	1.40 "		
" 5 "	90 "	1.30 "	1.80 "	2.30 "	5 kg.	30 gr.
" 10 "	1.30 "	2.30 "	3.00 "	2.50 "	10 "	40 "
" 15 "	1.70 "	3.00 "	4.50 "	5.00 "	15 "	60 "
" 20 "	2.00 "	3.80 "	5.80 "	7.00 "	20 "	80 "

Paczki zawierające urzędowe wydawnictwa polskie i zagraniczne oraz książki

Paczki żywnościowe oraz paczki z oprzędami jedwabnymi

Waga	S T R E F A				do 5kg	100 klm.	300 klm	600 klm	ponad 600klm.
	1	2	3	4					
	do 1kg	25gr.	25gr.	30gr.					
" 3 "	35 "	40 "	60 "	70 "	" 6 "	50	50	1.20	1.50
" 5 "	45 "	65 "	90 "	1.15 "	" 7 "	50	70	1.30	1.70
" 10 "	65 "	1.15 "	1.50 "	1.75 "	" 8 "	50	80	1.50	2.00
" 15 "	85 "	1.50 "	2.25 "	2.50 "	" 9 "	60	90	1.60	2.30
" 20 "	1.00 "	1.90 "	2.90 "	3.50 "	" 10 "	60	1.20	2.00	2.90
					" 15 "	80	1.60	3.00	4.50
					" 20 "	1,00	2.20	4.00	5.50

PACZKI TYTONIOWE

Waga	Opłata
do 5 kg.	75
" 6 "	90
" 7 "	1.05
" 8 "	1.20
" 9 "	1.35
" 10 "	1.50

Paczki ochronne.

1) Opłata od wagi o 50% wyższa.

Paczki z podaną wartością.

1) Opłata taryfowa.

2) Należytość asekurac. za każde 100 zł. lub część podanej wartości 10 groszy.

Wartość podana nie może przekraczać 10.000 zł. przy paczkach prywatnych.

Pobrania pocztowe.

- 1) Opłaty przewidziane dla przesyłek listowych poleconych listów wartościowych oraz paczek zwykłych i wartościowych.
- 2) Opłata manip.: dla paczek żywn., tyt. i oprzędami jedwabnymi 30 gr.
- 3) Dla innych przesyłek 50 groszy.

Zlecenia pocztowe.

- 1) Za list zlecienny opłata jak za list polecony odpowiedniej wagi.

Za sporządzenie protestu.

Za weksel do 100 zł. 2.— zł.	Za weksel 500— 600 zł. 6.10 zł.
ponad 100—250 " 2.50 "	ponad 600—1000 " 8.10 "
" 250—300 " 3.10 "	" 1000—2000 " 12.20 "
" 300—400 " 4.60 "	" 2000—5000 " 13.30 "
" 400—500 " 5.60 "	" 5000—10000 " 18.30 "

za każdy dalszy rozpoczęty 1000 zł. 30 gr.

Podatek komunalny 1/20/0 od zaprotestowanej sumy.

Za sporządzenie i wysłanie odpisu protestu 50 groszy.

TELEGRAMY.

- 1) Za telegramsy zwykłe od wyrazu miejscowe 5 gr. zamiejscowe 15 gr.
Nadto od każdego teleg. opl. zasadn. " 25 " " 25 "
- 2) Za teleg. pilne —D— miejscowe . . . 10 " " 30 "
Nadto od każdego teleg. opl. zasadn. 25 " " 25 "
- 3) Za teleg. listowe —ELT— opłata od wyrazu 5 "
najmniej jednak za 25 wyrazów t. j. 1.00 "
Nadto od każdego teleg. opłata zasadn. 25 "
- 4) Za telegramsy gratulacyjne —XLT— opłata od wyrazu . . . 5 "
najmniej jednak za 15 wyrazów t. j. 75 "
Nadto od każdego telegramu zasadnicza opłata 25 "

Za telegram na blankiecie ozdobnym w zaklejonej kopercie . 50 "

Treść telegramu gratulacyjnego może zawierać tylko życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Wielkiej Nocy i tp. wszystkich wyznań, następnie z okazji wesel, urodzin, imienin i uroczystości jubileuszowych. Telegramy gratulacyjne wydaje się w kolejności po telegramach zwykłych i doręcza się przez gońców.

Opłata za rozmowy telefoniczne

za rozmowę miejscową 6 minutową 15 groszy.

ROZMOWY MIĘDZYMIASTOWE.

Odległość w kilo- metrach	Za 3-minutową rozmowę				Za przesłane uprzedzenia lub wezwania do rozmowy przy rozmowie		Za posłanie przy rozmowach z wezwaniem do rozmowy	Za cofnięcie rozmowy zwykłej pilnej lub za wyszuk. Nr. telef.
	W godzinach silnego ruchu		w godz. sł. ruchu od 19 do 8		5	6		
	zwykła	pilna	zwykła	pilna				
	1	2	3	4	5	6	7	8
do 10 km	20	40	15	30	5	10	Dodatkowa opłata za posłanie w miejscowym okręgu doręczeń 50 gr.	5
" 15 "	30	60	20	40	5	10		5
" 20 "	40	80	25	50	10	20		10
" 25 "	50	1.00	30	60	10	20		10
" 50 "	1.00	2.00	60	1.20	20	40		20
" 100 "	2.00	4.00	1.20	2.40	40	80		40
" 200 "	3.00	6.00	1.80	3.60	60	1.20		60
" 300 "	3.50	7.00	2.10	4.20	70	1.40		70
" 400 "	4.00	8.00	2.40	4.80	80	1.60		80
" 500 "	4.50	9.00	2.70	5.40	90	1.80		90
" 600 "	5.00	10.00	3.00	6.00	1.00	2.00		1.00
" 700 "	5.50	11.00	3.30	6.60	1.10	2.20		1.10
" 800 "	6.00	12.00	3.60	7.20	1.20	2.40	1.20	
" 900 "	6.50	13.00	3.90	7.80	1.30	2.60	1.30	

UWAGA: opłaty dodatkowe, (uprzedzenie, wezwanie, posłanie i cofnięcie) przy rozmowach zgłoszonych w godzinach słabego ruchu t. j. od 19 do 8 rano pobiera się według stawek wykazanych w rubr. 5, 6, 7 i 8.

Zlecenia inkasowe

Za wykonanie zlecenia inkasowego miejscowego

do 5 zł. 15 gr.	ponad 30— 50 „ 40 gr.
„ 10 „ 20 „	„ 50—2000 „ 55 „
ponad 10— 30 „ 30 „	Za doręcz. wezw. do zapł. 5 „

Kra- jowe	Należytość dodatkowa	Zagra- niczne
Oplata gr.	Przy nadaniu	Oplata gr.
30	połączenie przesyłek list.	45
25	zwrotne poświad. odbiór lub wypłaty	55
50	za pośpieszne doręczenie listów, przekazów i paczek	1.00
30	za nadanie przesyłki rejestrowanej lub przekazu telegraf. poza godzinami urzędowymi	30
	Oplata „poste restante“	
10	przesyłki listowe i przekazy	—
50	paczki i listy wartościowe z wyjątkiem paczek żywn.	—
	Po nadaniu	
50	zwrotne poświadczenie odbioru lub wypłaty	1.10
55	zmiana adresu lub zwrotu przesyłki pocztowej	1.10
50	Reklamacja przesyłki pocztowej	1.00
50	Poświadczenie za zagubiony dowód nadania	50
55	zmiana pobrania lub zlecenia	1.10
30	za doręczenie paczek żywnościowych i tytoń bez względu na wagę i miejscowość	—
50	Za zawiadomienie nadawcy któremu adresatowi doręczyć paczkę	—
	Przy odbiorze	
20	składowe za każdy dzień zwłoki od paczki. Najwyżej 8 zł.	—
10	składowe za każdy dzień zwłoki od listu wart. Najw. 2 zł.	—
50	za zawiadomienie o niedoręczeniu paczki	1.00
50	Upoważnienie do wypłaty w razie zagubienia przekazu przez odbiorcę	1.00
2.00	za przyjęcie pełnomocnictwa poczt.	—
25	za przyjęcie pełnomocnictwa jednorazowo	—
	Za skrytki i przegródki	
2.00	dla przesyłek listowych, listów wartościowych i przekazów	—
30 zł.	dla paczek	—
	Należytość za wymianę niezdatnych do użytku znaczków pocztowych.	
2	od naklejonego znaczka	—
2	od kartki	—
1	od każdej przesyłki listowej z wytłoczon. znaczk. maszyn.	—
4.50	Spis Urzędów Poczta-Telegraficznych.	—

OPŁATY ZA PRZEWÓZ LOTNICZY

Obrót wewnętrzny i z W. M. Gdańskiem.

Kartka pocztowa	10 gr.
Przekaz pocztowy	10 „
Inne przesyłki listowe do 20 gr.	10 „
„ 50 „	20 „
„ 100 „	30 „
„ 250 „	80 „
„ 500 „	1.50 „
„ 1000 „	3.00 „

Obrót zagraniczny.

EUROPA

Wszystkie kraje europejskie. Kartka pocztowa	20 gr.
inne przesyłki listowe za każde 20 g.	25 „

Rosja Sowiecka (Z. S. R. R.)

Część Europejska za kartkę pocztową	20 gr.
Inne przesyłki listowe za każde 10 g.	10 „
Część Azjatycka — kartka pocztowa	40 „
Inne przesyłki listowe za każde 10 g.	50 „

AFRYKA

Afryka zachodnia francuska	Listy za każde 5 g. 80 gr.
Mauretania, Niger, Senegal.	Inne przesyłki listowe za każde 25 g. 1 30 zł.
Afryka Południowa za każde 5 g.	1.00 gr.
Afryka Wschodnia Portugalska za każde 5 g.	80 „
Algier, Marokko, Tunis i Egipt za każde 5 g.	30 „

AMERYKA

1. New-York Miasto za każde 10 g.	20 gr.
Wszystkie inne miejscowości z Stanach Zjedn. Ameryki za każde 5 g.	40 „
2. Alaska za każde 5 g.	40 „
3. Antyle Małe: Antigua, Barbados, Barbuda, Dominica, Guadelupa, Martynika, Św. Łucja, Św. Wincenty, Trinite i Tobogo, Panama — za każde 5 g.	1.20 „
4. Antyle Wielkie: Kuba, Haiti Jamajka, Portoriko — za każde 5 g.	80 „
5. Antyle Holenderskie: Saba, Sw. Eustachy i Św. Marcin za każde 5 g.	80 „
6. Argentyna, Paragwaj, Boliwia, Chile, Peru, i Urugwaj — za listy za każde 5 g.	4.10 „
za inne przesyłki listowe za każde 25 g.	4.40 „
7. Brazylja listy za każde 5 gr.	3.80 „
inne przesyłki listowe za każde 25 g.	2.60 „
8. Haiti, Jamajka, Kuba, Wyspy Bahama, Wyspy Dziewicze, Dominikańska, Republika, i Porto Rico — za każde 5 g.	80 „
Meksyk — za każde 5 g.	90 „
9. Kanada — „ „ 5 g.	40 „
10. Kolumbia — za każde 5 g.	1.90 „
11. Wenezuela, Gujana bryt. fr. i hol. za każde 5 g.	1.70 „

AZJA

- | | |
|---|--------|
| 1. Afganistan, za każde 5 g. | 60 gr. |
| 2. Chiny Północne: Mandżurja, Mongolia, za każde 5 g. | 70 " |
| 3. Chiny Południowe: Hongkong, za każde 5 g. | 1.10 " |
| 4. Filipiny, Indochiny fran., za każde 5 g. | 1.10 " |
| 5. Indie Brytyjskie, za każde 5 g. | 70 " |
| 6. Indie holenderskie, za każde 5 g. | 1.10 " |
| 7. Palestyna, Cypr, Kreta, Rados, za każde 5 g. | 25 " |

AUSTRALJA

- | | |
|---|----------|
| 1. Australja ląd, za każde 5 g. | 1.10 gr. |
| 2. Nowa Zelandja, N. Koledonja, N. Hebrydy, za każde 5 g. | 1.60 " |



„ROLA“ Ilustrowany Be-partyjny Tygodnik
ku pouczeniu i rozrywce

20 stron druku dużego formatu zawiera: 2 powieści z ilustr., opowiadania, gądky, legendy, gawędy, humoreski itp. — Podróż po dalekich krajach z przepięknymi ilustracjami oraz ulubiony

„Maciek Bzdura gada“ (wesole opowiadanie parobka wiejskiego) w każdym numerze. Oprócz tego ilustrowana **Kronika krajowa i zagraniczna**. W końcu zagadki do nagrody, giełda i humor. — Prenumerata: kwart. zł. 3'40, półroc. zł. 6'50, rocznie zł. 12. — Numery okazowe wysyła się — Adres Administracji:

Kraków, ul. św. Tomasza 32/A. — Konto poczt. Nr. 406.301.

ZDROWIE TO SKARB

używaj zatem

ZIOŁA Dra BREYERA

które stosuje się w nast. chorobach:

	Cena
Nr. 1. — w katarach płucowych, kaszlach, astmie	2.50
Nr. 2. — w złej przemianie materji, reumatyzmie, artretyzmie, chorobach skórnych, nieczystości cery	3.00
Nr. 3. — w chorobach żołądkowo-kiszczkowych, żółtarzce	2.70
Nr. 4. — w chorobach nerwowych i przy ogólnem osłabieniu, mogą zastąpić nerwowo chorem herbatę chińską	3.60
Nr. 6. — w biednicy i niedokrwistości	4.50
Nr. 7. — w chorobach nerwowych i pęcherzowych	3.20
Nr. 9. — przeczyszczająca	1.50

Do nabycia w oryginalnem opakowaniu w aptekach, składach aptecznych i drogerjach lub w wytwórni:

„POLHERBA“ Kraków-Podgórze. Skrytka Nr. 48.

MIŁY DLA OKA OBRAZ

sily i świeżości przedstawi człowieka zdrowego, niecierpiącego, posiadającego zapal do pracy i dobry apetyt. Natomiast obrazem nędzy jest człowiek kiedy wskutek bólu jest niezdolny do pracy i nie może chodzić. Znamy ednak doskonały środek Fluid „Elsa“ Fel-



lera, który te cierpienia szybko usuwa. Także usmierza i łagodzi bóle twarzy, w krzyżach i boku. Chroni też od wszelkich dolegliwości powstających wskutek przeziębienia, wiatru, przeciągu, wilgoci w powietrzu i mieszkaniu, w szczególności kaszlu, kataru, zaflegmienia i bólu gardła, i dlatego „Elsa“ Fluid powinien być zawsze w domu.

Przy znuczeniu, osłabieniu, przeciążeniu pracą i bezsennością wywołują zmywania i masaże Fluidem „Elsa“ rozkoszne samopoczucie.

Jak dobroczynnie działa Fluid „Elsa“ przeciw bólowi reumatycznemu i gościowi (gicht) świadczą liczne listy dziękczynne, w których

prawie codziennie donoszą nam, że nawet zastarzałe cierpienia reumatyczne usunięte zostały przez Fluid „Elsa“.

FLUID FELLERA z prawnie zastrzeżoną marką ochronną „Elsa Fluid“ jest do nabycia we wszystkich Aptekach.

PRZECIWIW BRAKOWI APETYTU, zgadze, odbijaniu się pomagają skutecznie przeczyszczające pigułki rumberbarowe z marką „ELSA“.

POLECAMY POZATEM:

Fellera pomadę do twarzy „Elsa“,
Fellera „Elsa“ pomada do włosów,
Fellera „Elsa“ mydło z mleka liliowego,
Fellera „Elsa“ mydło boraksowe,
Fellera „Elsa“ plaster turystyczny,
Fellera „Elsa“ tran z wątroby dorsza,
Fellera „Elsa“ szwedzkie krople,
Fellera „Elsa“ zagorjański syrop przeciw

kaszlowi i bólu piersi,

Fellera „Elsa“ Mentolowy sztyft.

CENY: Narazie nie możemy podać stałych cen, jednakże jednocześnie sprzedajemy po najniższych cenach.

MIEJSCA SPRZEDAŻY: Prawdziwe preparaty „Elsa“ aptekarza E. V. Fellera są do nabycia:

W Polsce: Polska Stacja wysyłkowa nr. 703 preparatów „Elsa“ Bielsko, aptekarz A. Gutwiński, Rynek 15.

Dla wszystkich innych krajów: Aptekarz Eugen V. Feller, Stubica Donja Nr. 703 (Jugostawia).

TAK MY ROBIMY! I my próbowaliśmy raz tego, raz owego, jak to zresztą robią wszyscy ludzie, póki nie nabiorą doświadczenia. Ale teraz zaniechamy próbowania raz na zawsze. Wszak ciągle dochodzi się do przekonania, że bez Fellera FLUIDU „ELSA“ w domu obejść się nie można. Nie chcemy mieć kataru, ani chrypki, nie chcemy być zaflegmieni, my nie kaszlamy, my śpimy i oddychamy dobrze, mamy zdrowe mięśnie i ścigną i silne członki, ale używamy stale Fellera FLUID „Elsa“. Feller „ELSA-FLUID“ jest do nabycia we wszystkich aptekach.

Cieszymy się dobrym apetytem i stale zdrowym żołądkiem, nie mamy zabarzeń żółdkowych, odkąd używamy prawdziwych przeczyszczających pigułek rumberbarowych Fellera „ELSA“ z marką „ELSA-PILLEN“.

W Polsce preparaty „ELSA“ są do nabycia w Bielsku nr. 703 u aptekarza A. Gutwińskiego Rynek 15.

NASZE ŻONY I CÓRKI stale dochodzą do przekonania, że dla zdrowia ich jest jednak najkorzystniejszym używanie do pielęgnowania ciała i urody higienicznie czystych i bezwzględnie skutecznych preparatów „ELSA“ aptekarza Fellera. Do pielęgnowania skóry służy doskonale „ELSA“ pomada dotwarzy FELLERA „ELSA-CREME“ do włosów zaś Fellera tanno-chinowa pomada na porost włosów „ELSA“. — Fellera mydła piękności i zdrowia „ELSA“ a mianowicie: liliowo-mleczne mydło „ELSA“ boraksowe mydło „ELSA“.

W Polsce preparaty „ELSA“ są do nabycia w BIELSKU NR. 703 U APTEKARZA A. GUTWIŃSKIEGO RYNEK 15.

ISKRA i KARMAŃSKI

FABRYKA FARB I PRZYBORÓW MALARSKICH W KRAKOWIE

Od szeregu lat zwalczająca skutecznie konkurencję niemiecką, dziś pozwala nam całkowicie uniezależnić się gospodarczo od fabryk zagranicznych w tej gałęzi przemysłu. Dlatego każdy Polak — atrament, lak, przybory kancelaryjne i rysunkowe, tusze, kredki, pastele, farby akwarelowe i olejne kupuje jedynie z fabryki

ISKRA i KARMAŃSKI W KRAKOWIE.

Do nabycia we wszystkich składach krajowych.
W niczem nie ustępują zagranicznym, a są lepsze
od wszystkich wyrobów piśmiennych krajowych.

**KAWA
SŁODOWA KNEIPPA
z PRAWDZIWA
FRANCKA
w PUDEŁKACH**

*Najzdrowszy napój
codzienny!*

